

Iga Karst

**PAN SAMOCHODZIK
I ELDORADO**

95

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WAKACJE NA WSI • PRZEBOJOWA TERESA • WODOROSTY CZY PIEROGI? • SŁÓW

KILKA O SPADKU • LAMPA CIOTKI ADELI • DRZEWO PŁONĄCE W DESZCZU •

PORANNE ROZPOZNANIE TERENU • SKLEPOWE PLOTKI • JAK WPLĄTAĆ SIĘ W

PRZYGODĘ? • MOTYLE W BRZUCHU

Idąc ulicą Piotrkowską w Łodzi cisnęłam do kosza na śmieci plik folderów z ofertami biur podróży. Wracalam właśnie ze spotkania z kolegą ze szkoły podstawowej, Maksymem Wiznerem.

Zaproponował wyjazd z paczką znajomych do jego ciotki, która niedawno odziedziczyła dom niedaleko Kątów Wrocławskich i właśnie go odnawiała. W zamian za pomoc w pracach remontowych oferowała noclegi i wyżywienie.

- W dwa dni pomalujemy kilka ścian, a później będziemy mieć czas na odpoczynek i zabawę.

Dwadzieścia minut zajmie nam dotarcie do któregoś z wrocławskich klubów - zachęcał Maks. - Nie wiem, czy słyszałaś, że Wrocław słynie z tego, że clubbing można uprawiać praktycznie bez przerwy.

- No, może z wyłączeniem poniedziałków - uściśliłam. Poniedziałek był bowiem jedynym dniem, kiedy miasto odpoczywało od rzesz rozbawionych ludzi.

Kolega nie musiał mnie długo namawiać. Planowałam co prawda wakacje za granicą jednak z tropikalnymi plażami zdecydowanie wygrała perspektywa spędzenia wolnego czasu z przyjaciółmi.

Wyjazd zaplanowaliśmy na następny dzień, więc wstąpiłam do fryzjera, żeby zapytać, czy mogłabym przyspieszyć wizytę. Tak się złożyło, że akurat miał wolny termin i po jakimś czasie wyszłam z salonu całkowicie odmieniona.

- Ścięłaś włosy - stęknął zdziwiony Maks, kiedy nazajutrz pojawiłam się w umówionym miejscu.

- Rude? Do twarzy ci w tym kolorze - Dorka pochwaliła mój wybór.

- Kto poprowadzi? - zapytał Olaf, bardziej zainteresowany moim samochodem niż włosami.

- Zośka! - powiedział Maks.

- Chyba Źe ty masz ochotę - potrząsnęłam kluczykami.

- Skoro nalegasz... - Maks chwycił kluczyki i momentalnie zasiadł za kierownicą.

Dorka z Olafem zajęli miejsca na tylnym siedzeniu. Rozpoczęliśmy kilkugodzinną podróż na Dolny Śląsk.

Bryłę przeszło stuletniego domu otaczał równie stary ogród. Prostopadle do budynku mieszkalnego stały stodoła i szopa. Po tej ostatniej wiło się pnącze z pomarańczowymi kwiatami w kształcie dzwonek.

- Nie widzę samochodu ciotki, pewnie pojechała po zakupy. Zaczekamy w ogrodzie, bo nie mam kluczy - powiedział Maks.

Podróż w sierpniowej duchocie dała się nam we znaki, więc nie mieliśmy ochoty na zwiedzanie ogrodu. Rozleniwieni usiedliśmy na półokrągłych schodach prowadzących do domu.

Kwadrans później na podwórze wjechał jeep w kolorze malinowym. Ryczący potwór wzbił w powietrze tuman kurzu, a gdy drobiny piasku opadły, naszym oczom ukazała się drobna kobieta siłująca się z torbami pełnymi zakupów.

- Cześć! - pomachała do Maksa. Chłopak podbiegł do niej i zabrał się do wyciągania toreb z bagażnika. Pomoc ofiarował także Olaf.

1

- Maks nie mówił, Źe oprócz naszej paczki, przyjedzie jeszcze jakaś dziewczyna - szepnęła mi do ucha Dorka.

- Nie musisz być zazdrosna - odparłam. - Jest po trzydziestce. Za stara dla Maksa.

Cała trójka z zakupami w rękach podeszła do drzwi. Olaf natarczywie wpatrywał się w nieznaną. Na włosach kobiety, ostrzyżonych na pazia, oparło się słońce, wydobywając z czarnej czupryny, piękny granatowy poblask.

- To Teresa - powiedział z dumą Maks, a mnie coś ścisnęło w gardle. - Moja ciotka! - dodał.

Poczułam, jak kręci mi się w głowie.

- Ciotka? - Olaf wydał się rozszalony.

- Ciotka nie ciotka! - zaśmiała się. - Mówcie do mnie Teresa, tak jak od dziecka robi to Maks.

- To tobie będziemy pomagali w remoncie? - z niedowierzaniem dopytywał Olaf.

- Trzeba uporządkować parę szpargałów. Ciężką pracą zajmie się profesjonalna ekipa. Zresztą parter jest już wykończony. Dlaczego nie weszliście do środka?

- Nie mamy klucza - powiedział Maks. Teresa zmierzyła go wzrokiem i jak gdyby nigdy nic nacisnęła na klamkę.

- Drzwi były otwarte! Wystarczyło sprawdzić... - rzuciła z politowaniem i zwróciła się do wszystkich. - Maks pokaże wam dom, wybierzcie sobie pokoje, a później zjemy kolację.

Przyrządę coś specjalnego, pod warunkiem, że nie będziecie mi przeszkadzali!

Zabraliśmy z ferrari walizki i Maks zaprowadził nas na piętro. W domu unosił się zapach emulsji i lakieru do drewna. Chłopcy byli na tyle uprzejmi, że zaproponowali, żebyśmy z Dorką zajęły odnowiony pokój i co najwładniejsze z dwoma łóżkami. Sami wybrali pomieszczenie ze skośnie ściętym sufitem. Było jeszcze nie odmalowane i prócz przyzwoitych szaf, nie było w nim żadnych mebli. Zamiast tego na podłodze znaleźli przygotowane przez Teresę materace i pompkę.

Odświeżeni po podróży, zeszliśmy na kolację. Posiłek czekał przygotowany w ogrodzie.

- Tu jest mało miejsca - narzekał Maks, gnieżdżąc się na krzeselku turystycznym pomiędzy krzakami porzeczek. - Nie mogłaś postawić stołu od frontu?

- Sąsiedzi - mruknęła. - Są wyjątkowo wścibscy i chętnie wpadają bez zaproszenia.

Teresa sprawnie uwijała się przy stole, nakładając na talerze danie, na widok którego zrobiliśmy niepewne miny. Składało się z ryśu soltego niczym mleczko w pełnym rozkwicie, ciemnozielonych strzępków niezidentyfikowanej substancji, krewetek, pomidorów i innych dodatków.

- Z tego wszystkiego nie przedstawiłem was - stwierdził Maks, odwracając wzrok od ryśowej papalugi. Wstał. - Zatem, cioteczko droga, oto są moi przyjaciele. Dorota zwana Dorką o cerze tak mlecznej, że przebija przez nią błękitna krew dziewczki - stwierdził i natychmiast oberwał od koleśki sporego kuśca.

- Daruj sobie!

- A to Zośka i Olaf - dokończył i usiadł nieco naburmuszony.

- Oj, Maks! Twoje poczucie humoru zgubi cię kiedyś - stwierdziła Teresa.

- Słuchaj starszych! - przykazała Dorka. - Ciotki zawsze mają rację!

- Starszych? Wypraszam sobie! - broniła się Teresa. - A teraz spróbujcie mojego specjału.

Smacznego Sycę.

Maks natychmiast zaproponował:

- śycie mi miłe!

- Nie narzekaj - wtrąciła Dorka. - Całkiem smaczne.

- Lepiej zapytaj Teresę, z czego to upichciła.

2

- Ryś, krewetki, kurczak, pędy bambusa, czosnek, wodorosty - wymieniła.

- Olaf, zdaje się, że twoja babcia zaopatrzyła cię w słój pierogów ruskich. Chodź, odsmaśmy je na patelni! - nalegał Maks.

- Panie wybaczą - Olaf wykonał głęboki ukłon.

Chłopcy pobiegli kucharyć, więc przy stole zostały same kobiety. Nadchodzący od wschodu mrok zatopił w ciemności wianuszek lasu okalający wieś. Nagrzany roślinom ulgę przyniosły pierzyny mgły. Pod koniec sierpnia dni były wciąż upalne, ale wieczory stawały się chłodne.

Opatulone w swetry, w przeciwieństwie do kolegów, z apetytem pochłaniałyśmy kolejne porcje potrawy. Popijałyśmy zieloną herbatę, zastanawiając się, czy aby kuchnia Teresy przetrwa męskie eksperymenty.

- Możesz nam opowiedzieć, jak to było z tym spadkiem? - zapytała Dorota.

- Dom, ogród i sad należały do ciotki mojej i Maksa. Jeśli uściślić koligacje, ciotka Adela była siostrą mojego dziadka...

- Czyli siostrą pradziadka Maksa? - przerwałam.

- Właśnie tak. Ciotka przeprowadziła się do tego domu zaraz po wojnie, kiedy wraz ze świeżo poślubionym mężem wyjechała na tak zwane Ziemie Odzyskane. Nie utrzymywała bliskich kontaktów z resztą rodziny. Od czasu do czasu przypominała o sobie kartkami świątecznymi. Nie odwiedzała nas w ogóle, my byliśmy u niej zaledwie kilka razy, nawet nie wiem, czy Maks ją kiedykolwiek poznał. Co prawda przyjechała do Łodzi na pogrzeb brata, ale Maks chodził wtedy jeszcze w pieluchach, więc nie sądzę, by to pamiętał.

- Jak to się stało, że dom trafił akurat w twoje ręce? - dociekała Dorka.

- Ciotka zmarła w styczniu, niedługo później u notariusza nastąpiło oficjalne odczytanie testamentu i okazało się, że odziedziczyłam dom razem z całym wyposażeniem. Rzecz jasna, w najmniejszym stopniu nie spodziewałam się tego. Ciotka nie miała dzieci, więc i wnucząt, ale jednak były osoby, które były bliżej z nią spokrewnione... Mniejsza z tym... Ciotka Adela zawsze była nieprzewidywalna, przynajmniej tak mówili rodzice. Chociażby ta przeprowadzka na drugi koniec Polski w niepewnych, powojennych czasach. Szaleństwo!

- Może po prostu bardzo kochała męża? - rozmarzyłam się.

- Kochać? - Teresa obruszyła się. - Kobieta powinna być niezależna. Nie można poświęcać wszystkiego dla faceta, nawet księcia z bajki.

- Wtedy były inne czasy - powiedziała zupełnie serio Dorota. - Kobiety były w pełni uzależnione od mężczyzn. Poza tym nie mam nic przeciwko prawdziwej miłości.

Teresa udała, że nie słyszała uwagi.

- Ciotka Adela była szalona. Bo jak wytłumaczyć to, że źle sytuowana staruszka z wysoką emeryturą po mężu, całkiem sprawna, przynajmniej jak na swój wiek kobieta, na własne życzenie, z nieprzymuszonej woli, idzie do domu pogodnej starości? Spakowała torbę, zamknęła drzwi i z ogromnego domu przeprowadziła się do jednego pokoju.

Dołożyłam sobie egzotycznej potrawy, która posmakowała mi.

- Z daleka od rodziny pewnie czuła się bardzo samotnie - myślałam na głos.

- Samotnym można być wśród tłumu w wielkim mieście, ale nie na wsi, którą zamieszkiwało się od ponad pół wieku. Zresztą nic nie usprawiedliwia tego, że staruszka zmieniła miejsce zamieszkania, nie powiadamiając rodziny! Szukaliśmy jej przez policję...

Do moich nozdrzy dotarł zapach złoconych na maśle pierogów. Nabrałam ochoty na ten tradycyjny specjał. Na szczęście chłopcy rozdzielili między nas symboliczne porcje. Jedliśmy, walcząc z armią nieznośnych komarów.

3

Mgliste powietrze niesło ze sobą aromat dojrzałych jabłek. Spod płotu wychylała się maciejka, osładzając miodowym zapachem winną woń owoców. Gdyby nie uciążliwi goście, wredne brzęcząco-gryzące owady, wieczór określiłabym mianem błogiego!

Rozwścieczona Teresa pognęła do domu i wróciła z solną świecą.

- Antykomarowa - zapewniła.

- Masz jakiś świecznik? - zapytała Dorka.

- Nakapiemy stearyny na podstawek i przykleimy świeczkę - zaproponował Olaf.

- Mam pomysł - oznajmiła Teresa i ponownie znikła. Wróciła po kilku minutach z jakimś przedmiotem.

- Nie mam pomysłu - skrzywiła się. - Klejcie świeczkę na talerz, bo pośrą nas te krwiożercze bestie. Myślałam, że ciotka zostawiła jeszcze świecznik, ale to lampka oliwna.

- Pokaż! - Maks wyrwał Teresie przedmiot.

- Kiedy przyjechaliście, nie było mnie, bo rano dostałam telefon z domu pogodnej starości, w którym ostatnich dni dożyła ciotka Adela, z prośbą żeby ktoś wreszcie zgłosił się po odbiór reszty rzeczy świętej pamięci staruszki. Przywiozłam stamtąd torbę ubrań i tę lampę.

- Mieszkałaś w Łodzi, a chcesz przeprowadzić się na dolnośląską wieś? - zapytałam.

- Mam przecież działającą firmę, która nie zobowiązuje mnie do przebywania w mieście.

Zlecenia mogę wykonywać tu i przysyłać do siedziby Internetem. Raz na jakiś czas wpadnę do Łodzi i to wystarczy.

- Tere fere! - zaśmiał się Maks. - Przypomnieć ci, jaka byłaś szczęśliwa, kiedy dostałaś spadek? Narzekałaś przez miesiąc, że ciotka uraczyła cię ruiną!

- Zmieniłam zdanie. Remont zmierza ku końcowi. życie na wsi toczy się wolniej niż w mieście. Tutaj nie czuje się napięcia, stresu, nie uczestniczy się w granicznym z paranoją wyścigu szczurów do kariery.

- Niezła zabawka - powiedział Maks, stawiając lampkę na stole. Sięgnął po zapalniczkę i małe dzieło sztuki rozbliło ciepłym światłem. - Knot jest prawie nowy, zbiorniczek napełniony oliwą. Ciotka Adela lubiła lampkę i używała jej regularnie - wywnioskował.

Nachyliłam się, żeby obejrzeć lampę. Na twarzy poczułam ciepło światła odbitego od lusterka zamontowanego za kryształowym kloszem. Lampa miała około trzydziestu centymetrów wysokości. Jej podstawę w kolorze butelkowej zieleni zdobiła sieć malowanych złotem gałązek, które w centralnym miejscu spletały się, tworząc wianuszek z wpisaną wewnątrz niego literą „K”.

Klosz ze zdobionego szkła był osadzony w mosiężnym uchwycie, łączącym go z podstawą i lusterkiem.

- Ładne cacko - powiedziałam.

- Może być coś warte? - zaraz podchwycił Maks.

Pokręciłam głową.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Ty? Poszukiwaczka skarbów, siostrzenica Pana Samochodzika? - parsknął Olaf.

- Przesadzasz! - syknęłam.

- To ty jesteś...

- Ciiii! - przerwałam Teresie. - Jestem Zośka i to na razie musi wszystkim wystarczyć.

- Ach! Incognito?

- Niech będzie, Śe incognito - przytaknęłam.

- Nie wiem, czy moŜna pozostać incognito, jeŜdŜąc ferrari - skomentował Maks.

W tym momencie płomień lampy gwałtownie zamigotał. Nasze włosy zaczął targać wiatr, 4 który zerwał się nagle i nie wiadomo skąd. Zebraliśmy naczynia i schroniliśmy się w domu.

Raptownie mgłę nad lasem rozjaśniły zygzyki piorunów. Waliły wściekle w drzewa stojące samotnie na polnej drodze wijącej się od wsi do lasu. Mgłę zdławił deszcz najpierw gruby i leniwy, a potem coraz drobniejszy, zaŜarcie atakujący kaŜdą suchą drobinę, jaką napotkał.

Teresa wyrzała przez okno w kuchni. Uczyniłam to samo. Obraz zamazywały strugi wody, ale dostrzegłam bielący się w oddali dom sąsiadów i tłące się w oknie światło.

- Zapalili gromnicę - stwierdziła lekcewaŜącym tonem. Nowoczesnej kobiecie zwyczaj przodków wydał się zapewne średniowiecznym zabobonem. Ale mnie ten widok lekko zaniepokoił.

Przełknęłam głośnie ślinę, czego nie było słychać pośród grzmotów. Najchętniej praktykowałabym tradycję, ale w najodwaŜniejszych snach nie spodziewałam się znaleźć u Teresy gromnicy. No, chyba Śe ciotka Adela upchała gdzieś świecę pomiędzy obrusami...

Wtem Śarówka w kinkiecie wydała ciche pyknięcie i kuchnię zalała ciemność.

- Wyłączyli prąd! - krzyknął Maks. - W przedpokoju Śyrandol teŜ nie działa.

- Trzeba nalać wody do garnka - stwierdziła Teresa i juŜ słyszałam odgłos napełnianego naczynia.

- Co ma prąd do wody? - zapytała Dorka.

- Tutaj, na wsi, jak wyłączają prąd, najczęściej nie ma równieŜ wody. Przepompownia nie działa - wyjaśniła. - Jeśli w czasie burzy zerwą się przewody wysokiego napięcia, czasem trzeba czekać kilka dni, zanim z powrotem podłączą napięcie.

Dwie świece trudno porównywać z najsłabszymi nawet Śarówkami, ale i tak byliśmy zadowoleni, kiedy Teresa znalazła je w szufladzie kredensu. Pomogły nam dostać się na piętro.

Teresa udała się do sypialni. Olaf z Maksem po omacku przeciągnęli swoje materace do naszego pokoju i we czwórkę oddaliśmy się rozmowie o nocnych zjawach. Kiedy z łóŜka Doroty dobiegło nas regularne pochrapywanie, skręciliśmy knot oliwnej lampki stojącej przy ścianie. Co kilkanaście sekund pokój rozświetlały flesze błyskawic. Deszcz bębnił o dachówki z narastającą siłą, potem na moment łagodniał, by po chwili uderzyć w ceramiczne płytki z jeszcze większą zaciekłością.

Ulewa złagodniała. Zasnęłam. Spałam moŜe kwadrans, a moŜe godzinę. PotęŜny grzmot, który uderzył w któryś z sąsiednich domów zbudził mnie raptownie. Nie odzyskawszy jeszcze pełnej świadomości, kątem oka dostrzegłam rozkrzewioną na niebie błyskawicę. Trwało to ułamek sekundy. Zaraz po tym w chmury strzeliła sięgająca kilku metrów fontanna iskier. Poczułam się nieswojo,

serce waliło mi jak oszalałe, choć nigdy wcześniej nie bałam się burzy.

Wyrzebałam się spod kołdry i podeszłam do okna. Przez szpary w ramie przeciskało się z dworu zimne powietrze. W oddali, w miejscu gdzie przebiegała szosa, płonęły gałęzie rozczapierzonego dębu. Iskry były więc efektem uderzenia pioruna w drzewo. Pomyślałam, że nie trzeba wszczynać alarmu, bo dąb rósł w pewnej odległości od zabudowań i płomienie nie stwarzały zagrożenia. Tym bardziej że potoki wody lejące się z nieba powoli, ale skutecznie dławiły śnieg.

Co by było, gdyby piorun uderzył w dom albo stodołę? Z wrażenia zaschło mi w gardle.

Wizja wędrowni po obcym, tonącym w ciemnościach domu nie zachwycała mnie. Postanowiłam poszukać resztek napoju pomarańczowego w torbie. Ugasiłam pragnienie i wróciłam do łóżka.

Ułożyłam się tak, by móc patrzeć przez okno. Deszcz ustał zupełnie. Skłębione nad wsią chmury, urywały się gwałtownie nad lasem, gdzie oczyszczone niebo posrebrzył księżyc. Zanim pogrążyłam się w błogostanie, zobaczyłam jeszcze samochód parkujący przed posesją sąsiadów...

Kąłuś, które zebrały się pod płotem, były ostatnią pozostałością po nocnej ulewie, moś poza paroma gałęziami ukreconymi przez wichurę. Wstałam po szóstej, przyjaciele jeszcze mocno spali, więc postanowiłam zrobić sobie spacer. Wykradłam się z domu po cichu i ruszyłam na 5

rozpoznanie terenu.

- Zośka! - usłyszałam, zbliżając się do granicy posesji. - Zaczekaj. Dokąd się wybierasz?

- Po bułki na śniadanie - rzuciłam to, co pierwsze przyszło mi do głowy.

Maks wskazał na drogę biegnącą przez wieś.

- Tędy?

Zatrzymałam się.

- Co cię tak dziwi?

- Sklep jest dopiero w następnej wsi. Główną drogą to jakieś trzy kilometry...

- Za daleko jak na poranny spacer - skrzywiłam się.

- ...ale leśnym duktem niecały kilometr - dokończył. - Przejdziemy się razem?

Zawróciliśmy. Droga na skróty zaczynała się za sadem naleśnym do Teresy, dalej wzdłuż gospodarstw, wreszcie skręcała w pole z lewej strony ograniczone sosnowym zagajnikiem.

Szliśmy ramię w ramię, nasycając się zapachem wilgotnej ściółki. Wspominaliśmy czasy, kiedy naszymi największymi zmartwieniami były oceny końcowe z matematyki, fizyki i chemii.

Ale szkolne lata to nie tylko dłuŜące się godziny w szkolnych ławkach. Na szczęście pamięć przywodziła na myśl równieŜ znacznie ciekawsze chwile jak pierwsze imprezy i ukradkowe pocałunki. Nic nie łączy ludzi silniejszymi więzami niŜ wspólnie spędzone dzieciństwo...

Dotarliśmy do asfaltu, który ostrym łukiem powiódł nas wprost do sklepu. Za plecami zostawiliśmy niewielką budowlę w kształcie walca. Nie zainteresowaliśmy się wykonanym z jasnego kamienia tworem, bo zaczęliśmy uzgadniać, co zakupimy na śniadanie.

W sklepie było tłoczno. Tubylcy nawet nie spostrzegli, Őe między nimi pojawiły się dwie obce twarze. Wykorzystaliśmy z Maksem ich zaaferowanie rozmową Őeby posłuchać najświeŜszych plotek.

- U Maniaków teŜ! - stwierdził jakiś męŜczyzna.

- I u Zalewskich! - powiedział inny głós.

- Do nas teŜ próbowali wliźć, ale ich Bury przegonił.

- Jakem zliczyła, będzie to razem pół wsi! Masowy rabunek! - sapnęła przysadzista sprzedawczyni. Była ubrana w sweter z kołnierzykiem ze sztucznego futra tygrysa, narzucony na ramiona granatowy fartuch, a we włosy miała wpiętą bawełnianą koronkę, natomiast oczy zaznaczone papuzio-zielonym cieniem.

- Właśnie Őe nie! - jęknął starszy człowiek w gumofilcach. - Niczego nie pokradli, rozumiesz, Wandzia?

- Jakby mało im było po chałupach łązić, szopy teŜ do góry nogami wywrócili - dodał inny głós.

Nadeszła nasza kolej. Poprosiliśmy o bułki, mleko, róŜne sery i dŜem. Tubylcy zorientowali się, Őe mają do czynienia z obcymi, więc dialog natychmiast ucichł. Zapłaciliśmy i do drzwi odprowadziły nas spojrzenia pełne podejrzliwości.

Niedługo szliśmy w milczeniu. Mój towarzysz odezwał się pierwszy:

- Zośka, nie udawaj, Őe nie trawi cię ciekawość!

Rozpakowałam krąŜek sera pleśniowego, oderwałam kawałek i wcisnęłam do bułki. Gryząc kanapkę, zastanawiałam się nad tym, co przed chwilą usłyszałam.

- Ignorujesz mnie?

- Myślę.

- I co wymyśliłaś?

- Nic. Doszłam do wniosku, Őe miejscowe plotki nie powinny nas interesować.

- Okradli pół wsi, a ty chcesz tak po prostu o tym zapomnieć?

Zatrzymałam się.

- Niczego nie ukradli!

- Tym bardziej powinniśmy się tym zainteresować - Maks zagroził mi drogę.

- Czego ode mnie oczekujesz? Mam naciągnąć na czoło czapkę, w rękę złapać lupę i z fajką w ustach ruszyć w pościg?

- Myślałem raczej o zainteresowaniu tą sprawą lokalnych mediów. Znasz przecieŜ odpowiednich ludzi...

- Nie po to uciekałam na wieś, Ŝeby teraz Ŝciągnąć sobie na plecy bandę dziennikarzy!

Wściekła odepchnęłam Maksa i zaczęłam biec w stronę domu. Dogonił mnie i zatrzymał.

- Przepraszam, poniosło mnie. PrzeŜyłaś tyle fascynujących przygód...

- ...Ŝe chciałaś wplątać mnie w następną, Ŝeby teŜ spróbować, jak smakują?

Wyciągnął rękę na zgodę.

- Rozejm?

- Dobrze. JuŜ o wszystkim zapomniałam.

Przyjaciel objął mnie w pasie. Przypomniałam sobie o bułce z serem, której jeszcze nie dokończyłam. Powoli skubałam zębami pieczywo. Miałam nieodparte wraŜenie, Ŝe w moim brzuchu rozgościł się motyl. Mały, trzepoczący skrzydełkami motyl. Zniknął, gdy Maks mnie puścił. Niestety.

ROZDZIAŁ DRUGI

PODEJRZANA • TERESA W ROLI ADWOKATA • WAKACJE ROZPOCZĘTE • SPOSÓB

NA ŚLIWKI • CO KRYJĄ CZELUŚCI SZOPY? • KATASTROFA MEBLARSKA • KOGO

ZWABIŁY NALEŚNIKI? • MAKS NADCIĄGA NA RATUNEK • KUZYN CZY

WUJASZEK? • MALOWANY BEREK • BEZOWOCNE ŚLEDZTWO • FARBA POD

TAPETAMI I INICJAŁ NA LAMPIE • DUET MAŁYCH SZPIEGÓW

Uklucie w Śołądku, jakie dotknęło mnie na widok niebieskiej syreny mrugającej przed domem Teresy, w przeciwieństwie do motylowych łaskotek, było nieprzyjemne. Zwiastowało kłopoty. Maksowi mogło dać pretekst, Œeby wrócić do tematu kradzieŚy we wsi.

Przyjaciół i policjantów zastaliśmy w salonie. Dorka z Olafem z przestraczem w oczach obserwowali krąŜącą dookoła stołu Teresę. Mundurowi siedzieli nad arkuszami z zeznaniami. Były czyste, poniewaŜ zamiast notować, odpowiadali na pytania Teresy.

- Ciekawe, kto tu kogo przesłuchuje - szepnął mi Maks.

- Są! - Olaf poderwał się z sofy.

Teresa przystanęła. W bakłaŚanowym atłasie, który miękko układał się na jej pełnym dekolcie, wyglądała egzotycznie. Ostro zarysowane brwi oraz zdecydowane ruchy kazały sądzić, Œe jest kobietą wyjątkowo pewną siebie.

- Było włamanie - powiedziała.

- Ale nikt niczego nie ukradł - bardziej stwierdziłam, niŜ zapytałam.

- Musimy porozmawiać - jeden z policjantów raptownie ruszył w moją stronę. - Koniecznie na osobności!

- Maks z Olafem równocześnie stanęli mu na drodze.

- Obawiam się, Œe wyciągnął pan pochopne wnioski - powiedział Maks.

- Chyba pan jej nie podejrzewa! - dodał Olaf.

- Mam prawo ją przesłuchać!

Dołączył do nas drugi policjant.

- Przesłuchać, a nawet zaarrestować na 48 godzin - poinformował.

- Pan mi grozi, panie władzo? - syknęłam zdesperowana.

Maks zdecydowanym ruchem wypchnął mnie do przedpokoju.

- Zośka, zostaw to nam!

- Ostrzegam! - rzucił przez zęby któryś z mundurowych.

- Ona nie ucieka - powiedział Maks. Był opanowany, za co go podziwiam. - Wyjaśnijmy sprawę.

- Nie będziesz mi...

- Czekał, Heniek! - interweniował drugi policjant. - Proszę mówić.

- Na pierwszy rzut oka to, co powiedziała Zośka, może wydawać się podejrzane, ale proszę nie osądzać sprawy po pozorach.

- Ty i twoja koleśanka znikliście w nocy, włamaliście się do kilku domów, a później upozorowaliście przestępstwo tutaj - wyrwało się słuśbiście imieniem Heniek.

- Nie wierzę w to co usłyszałem!

Teresa oniemiała. Nie przypuszczała, że sprawa potoczy się tym torem.

- Dowody! - wycelowała palec w policjantów. - Albo sięgnam! - pokazała drzwi. - Nie wezwałam was tu po to, żebyście oskarżali moich gości!

8

- Niech udowodnią, że są niewinni!

Na nieskazitelnie porcelanowej skórze Teresy wyszły rumieńce. Wpadła w furję. I nie miała najmniejszego zamiaru ukrywać tego.

- W polskim prawie trzeba udowodnić, że ktoś jest winny, nie odwrotnie, panie władzo - powiedziała.

- Posterunkowy, jeśli nie znacie swoich kompetencji, macie przestudiować kodeksy! Co ja mówię! Macie wykuć je na pamięć! - nakazał starszy rangą policjant.

- Ale...

- Odmaszerować do radiowozu! Natychmiast! Przepraszam państwa. Posterunkowy jest młody i niedoświadczony.

- I lubi filmy sensacyjne? - Maks nie byłby sobą, gdyby nie pozwolił sobie na małą uszczypliwość.

- Za bardzo! - Olaf też napuszył się.

- Usiądźmy - powiedziała Teresa. Opadła na krzesło, stając się delikatną wiotką kobietą.

- Obawiam się, że doszło do nieporozumienia - policjant zdjął czapkę i zajął miejsce obok Teresy. - Najlepiej będzie, jeżeli pan wszystko wyjaśni - skinął na Maksa.

Chłopcy pozwolili mi wrócić do salonu. Maks usiadł naprzeciwko policjanta i naprężył mięśnie.

- Nigdzie nie znikliśmy. Wstaliśmy z samego rana i skrajem lasu poszliśmy do Krobielowic kupić bułki na śniadanie - na dowód położył na stole reklamówkę z zakupami. - A o włamaniach i o tym,

Se nie stwierdzono kradzieży wiemy, bo w sklepie usłyszeliśmy rozmowę miejscowych.

Ekspedientka to potwierdzi.

- Nie będzie takiej konieczności. Państwo wybaczą, to już wszystko.

- A włamanie? - Teresa z powrotem oświadczyła się.

- Przeprowadzimy rutynowe czynności. Proszę jednak nie liczyć na wiele, w końcu niczego nie skradziono.

Policjant uklonił się i wyszedł. Maks dopadł go na podwórku i jeszcze przez chwilę z nim rozmawiał.

Po burzliwym poranku nadeszła chwila, kiedy wakacje uznałam za rozpoczęte. Z dala od ciekawskich spojrzeń sąsiadów, w otoczeniu pachnącej zieleni i przy akompaniamencie świerszczy.

Sad za domem był idealnym miejscem do bezkarnego wylegiwania się w kąpieli słonecznej.

Przecież przyjechaliśmy tutaj, by wypocząć.

Teresa odjechała swoim ryczącym jeepem w nieznanym kierunku, a Maks namówił Olafa do przeprowadzenia prywatnego śledztwa w sprawie włamań. Zostałyśmy z Dorką same, lekceważąc detektywistyczne zapędy kolegów. Wysmarowane masłem kakaowym nabierałyśmy złotej opalenizny.

Sad był imponujący, wcinął się zieloną łachą w pole pełne zbóż. Dzielił się na dwie części.

Pierwsza, ta bliżej domu, była zadbana i łączyła się z ogrodem, od następnej odgradzał ją płot.

Druga zaś, o wiele większa, rosła półdziko. Granicę oddzielającą ją od pola zacierało wkradające się do sadu syto.

W pewnym momencie Monika, leżąc na plecach, rzuciła we mnie sółtą kulką i zaniósła się śmiechem. Później podniosła następną kulkę i zjadła ją. Wypluła pestkę.

- Mirabelki! - wyraźnie uradowała się na widok drzewka oblepionego śliwkami. - Moja babcia miała je w ogródku, ale drzewko zmarniało i kazała je wyciąć. Wejdźmy na górę i zerwijmy 9

trochę owoców.

- Nie wystarczy ci sterta śliwek leżących na trawie?

- Te są poobijane.

- Masz zamiar wdrapać się tam? - zadarłam głowę, by sprawdzić, jak wysoko jest korona.

- Sama nie dosięgnę. Jesteś lżejsza, więc cię podsadzę...

- Nie ma mowy! Nie mam zamiaru poobijać się jak te śliwki!

Chustką starłam z siebie warstwę lepkiego masła kakaowego. Dorka usiłowała zrywać owoce, ale miała za krótkie ręce, by dosięgnąć nawet do najniższych gałęzi.

- Zośka - jęknęła błagalnie.

- Poszukajmy w szopie jakiegoś drąga, żeby strącić śliwki.

Szopa stała prostopadle do domu, w odległości kilkunastu metrów, stykając się boczną ścianą z posesją sąsiadów. Okrywała ją ceramiczna dachówka, gdzieś spękana i przyprószona warstwą srebrzystych porostów. Na szczęście Teresa nie zabezpieczyła wejścia do budynku.

Kłódka wisiała na skoblu prowizorycznie - nie była zapięta. Skobel zgrzytnął, kiedy go odchylałam i na buty posypała się rdza. Uderzył w nas zapach murszejącego drewna. Zagłębiłam się parę kroków do środka i trafiłam na kredens z kryształowymi szybami. Śaden starość, raczej kiepski wyrób z lat sześćdziesiątych XX wieku. Ominęłam go i jeszcze bujany fotel z nastroszonymi wótkami wikliny. Dalej wewnątrz zalewała ciemność, ale udało mi się dostrzec drabinę opartą o inne graty. Zawołałam Dorkę. Szarpnęliśmy drabinę, sapiąc niemiłosiernie, wyciągnęliśmy ją na dwór.

Niespodzianie z szopy wydobył się głuchy huk, jakby upadł jakiś przedmiot.

- Wiedziałam, że polowanie na śliwki źle się skończy. Mogłyśmy przynajmniej zaczekać na chłopaków.

- Nie stękaj! - upomniała mnie koleśanka.

Prędko okazało się, że hałas spowodował upadek szafy. Moduł meblościanki runął na bok i rozpadł się na płyty, jak domek z kart. Dorka wzruszyła ramionami.

- Skąd miałyśmy wiedzieć, że drabina podtrzymuje to... to...

- Ciekawe, co powie Teresa, jak dowie się, że to... to... zniszczyłyśmy.

- Chciałaś chyba powiedzieć, że samo się zniszczyło. Poza tym to stary grat z politurą na wysoki połysk. Zupełnie bez wartości.

- Chyba, że ktoś ma kolekcję stylizowaną na PRL - zachichotałam. - Takie meble są teraz bardzo trendy.

- Zośka, jak ty się uchowałam w tym show biznesie? Nie mówi się już trendy, tylko jazzy.

- W takim razie niech będzie, że są na topie.

Odruchowo cofnęłam nogę, bo coś zachrząściło mi pod podeszwą. Schyliłam się, usiłując wyczuć, na co nastąpiłam. Ostrośnie opuściłam dłoń i wykonując poziome ruchy trafiłam na chłodny w dotyku przedmiot. Podnosząc go, zahaczyłam kciukiem o ostrą krawędź, lecz nie zraniłam się. W świetle

okazało się, że znalazłam klosz od lampki oliwnej.

- Musiał wypaść z szafy, kiedy przechyliła się i wtedy uszkodził się - skomentowałam.

- Szkoda.

- Najpierw krytykujesz szafę, a za chwilę śmiejesz rozbitego klosza?

- Klosz jest identyczny jak w lampie, którą Teresa przywiozła z domu spokojnej starości.

Wczoraj mówiliście, że lampa może być zabytkowa, dlatego powiedziałam, szkoda. Zośka, czy mi się wydaje, czy czepiasz się?

- Przepraszam. Spodziewałam się innego początku wakacji, a po porannej „burzy” mam kiepski humor. Lepiej zajmijmy się mirabelkami.

10

Zdecydowałyśmy jednak, że odłożymy drabinę na miejsce, zamkniemy szopę i jak gdyby nigdy nie zajmijmy się przyrządzaniem obiadu.

Ostatni naleśnik wjechał na stół, na którym czekały już powidła i mus jabłkowy, gdy tylko te dodatki znalazłyśmy w lodówce. Wtedy trzasnęły drzwi wejściowe.

- Zwabił ich zapach - szepnęła Dorka.

- Jak tam śledztwo? - zawołałam.

- Chłopaki, zgadnijcie, co jest na obiad!

Jakieś było moje zdziwienie, gdy zamiast dwóch roślących kolegów, do kuchni wpadły dwie dziewczynki. Rzuciły się na stos placków i porwały cztery, po jednym do każdej ręki. Zdały przy tym zagościć na każdym krześle po kolei, wdrapać się na stół i sprawdzić zawartość lodówki.

Dorka ruszyła obiadowi na ratunek, niestety nieskutecznie, bo spora część jedzenia została porwana. Nagle, kiedy jedna dziewczynka złapała drugą za sukienkę, ucichły. W dziecięcych oczkach dostrzegłam lęk. Krok po kroku poczęły wycofywać się do przedpokoju. Zamigotało mi w oczach i już nie wiedziałam, czy widzę dwie osoby czy jedną potraktowaną kserokopiarką. Były identyczne!

Raptem rozplakały się, wydając przy tym dźwięki donośne i przeraźliwie wysokie.

Na ratunek zatrwożonym dzieciom nadciągnął Maks.

- Ola! Tola!

- Wujek!

- Wujaszku kochany!

Małolaty wyciągnęły ręce i uwiesiły się na szyi Maksowi, który zdążył przykucnąć.

Wyciąłowały mu policzki i spłaszczyły postawione nad czołem włosy.

- Prosiłem, żebyście nie nazywały mnie wujkiem. Jestem waszym kuzynem.

- Ale ty jesteś taki stary!

- Cicho, Tola! On jest dorosły, a nie stary!

- Nie szkodzi i tak go lubimy? - pytająco popatrzyła na siostrę.

- Kochamy cię, Maks! - potwierdziła Ola i znowu dziewczynki obdarzyły chłopaka gorącymi całusami.

W kuchni pojawiła się kobieta w prostej zwiewnej sukience i krótkim bolerku obszytym koralikami. Przyciągnęła za sobą ostry zapach markowych perfum z dominującą nutą piśma.

- Dziewczynki, nie brykajcie! Jeśli chcecie zostać z ciocią Teresą...

- Z Teresą! - zza pleców elegantki wyłoniła się ciotka Maksa.

- ...musicie być grzeczne!

- Dopsze - westchnęła Ola, podpierając ręce na biodrach. - Ale Maks musi wreszcie obiecać nam, żeby się z nami ośeni! - dodała z pełną powagą.

Przed oczami rozbłysły mi kolorowe kleksy. Czy mi się wydawało, czy te małe huragany mają zostać z nami w domu Teresy?

Piękna mama bliźniaczek krótko pośegnała się z córkami i usunęła się ze sceny, zostawiając bagaż dzieci na podwórku.

- Ulokuję je na poddaszu - stwierdziła Teresa. - Chyba żebyście macie lepszy pomysł?

Maks pokręcił głową.

- Sorry, nie znałem planów Klary. Teresa też nie miała zielonego pojęcia, że Klara obarczy nas opieką nad bliźniaczkami. Klara po prostu przywiozła je i tyle - powiedział, kiedy zostaliśmy sami.

11

- Nie tłumacz się - Dorka zbliżyła się do niego tak, że na karku zapewne czuł jej oddech. -

Obawiam się tylko, że Sadne z nas nie ma doświadczenia w opiece nad dziećmi.

Odciągnęłam go od niej, lekko popchnęłam na krzesło i usiadłam mu na kolanach.

- Poradzimy sobie, pod warunkiem, że nie damy się zwieść słodczy małych urwisek -

powiedziałam. - Musimy mieć oczy dookoła głowy, żeby nic im się nie stało.

- Jedno jest pewne, drogie koleśanki. Będzie wesoło! - zakomunikował.

Policzkiem dotknął moich włosów. Znowu poczułam w brzuchu jakby ruch motyli i zamarzyłam, by chwila ta trwała jak najdłużej. Ale skończyła się, gdy mój przyjaciel dostrzegł

naleśniki.

Małoletnie towarzyszeki z komicznie podrygującymi kucykami i rozkosznymi dołeczkami w policzkach sprawiły, że zapomnieliśmy z Dorką o incydencie w szopie. Może to i dobrze, bo po południu wybornie bawiliśmy się pomagając chłopcom w malowaniu przedpokoju i klatki schodowej.

W trakcie prac remontowych Maks z Olafem wyglądali prześmiesznie, trochę jak Flip i Flap.

Olaf był znacznie wyższy od kolegi, dodatkowo uwagę przyciągała jego miedziana czupryna, gustownie rozczochrana. Maks, o znacznie bardziej przeciętnej urodzie, nadrabiał wyróżniającym go akcentem - czapką malarską poskładaną ze starej gazety.

Nasza powaga ulotniła się równie szybko, co bliźniaczki, kiedy Teresa zaproponowała im zabawę swoim laptopem. Cisza, która zapanowała w salonie, gdzie przebywały dziewczynki, była niepokojąca, ale nikt z dorosłych nie miał ochoty wchodzić w gardziel smoka, by sprawdzić, czy Tola z Olą czegoś nie zbroiły. Tymczasem Maks z Olafem szczelnie zapełnili lukę po niesfornych dzieciach, znajdując sposób na niestandardowe zastosowanie pędzla. Wystarczyło trzymać go na sztorc i przejechać palcem po włosiu, by na podłogę uzyskać efekt farby w sprayu. Po tym odkryciu stracili ochotę na upiększanie ścian. Po co zajmować się czymś tak monotonnym, skoro można połączyć zabawę w berka z profesją makijażysty? W każdym razie nasi pełnoletni kompani ścigali się w dół i w górę po schodach, sówicie skrapiając się zieloną mazią. Było to zabawne, dopóki siedzieliśmy z Dorą pod ścianą zaśmiewając się w najlepsze. Ale chłopcy prędko zorientowali się, że ciekawiej byłoby, gdyby wymalowali nas! I wymalowali! A właściwie wypaprali od stóp do głów, nie oszczędzając ani ubrań ani włosów.

- Jak ja to zmyję? - rozpaczała Dorka. Próbowwała ściągnąć farbę z kosmyków palcami, ale zamiast tego rozmazywała płyn niczym szel, stawiając włosy w kilkucentymetrowe kolce.

Chłopcy, w najmniejszym stopniu nie pojmując dramatu koleśanki, zapewnili ją, że dzięki zieleni na włosach wygląda jak miss UFO.

- Dorka, nie słuchaj ich i nie przejmuj się. Emulsję zmyjesz wodą - powiedziałam, a Dorota natychmiast pobiegła do łazienki. Poszłam za nią i pocieszałam, kiedy szorowała głowę. Przy okazji zmyłam z twarzy kolorowe ciapki. Przejrzałam się w lustrze i odetchnęłam, ponieważ na moich włosach nie został najmniejszy ślad wygłupów kolegów. Zauważyłam, że w zwierciadle, prócz mojej twarzy, odbija się jeszcze lampa ciotki Adeli. Teresa musiała ją tu przenieść, bo w nocy była

na piętrze. Przytknęłam nos do lustra, powoli zachodzącego parą, Œeby przyjrzeć się uważniej, ale oślepił mnie promień światła odbity od lusterka dołączonego do lampy. Tymczasem para wypełniła łazienkę duchotą dlatego złapałam lampę i poszłam do kuchni, gdzie znalazłam cichy kąt.

Zaparzyłam kawę i zajęłam się oglądaniem małego dzieła sztuki. Z pewnością miano to naleŒało się kunsztownemu bibelotowi. Dotykałam chłodnego szkła, śledziłam wzrokiem przebieg linii układającej się w listki i wieniec, którego centralny punkt zajmowała litera „K”. Lampa była dla ciotki Adeli waŒna ze względów sentymentalnych czy kobieta ceniła sobie estetykę przedmiotu?

12

A moŒe chodziło o coś zupełnie innego?

- Jak wasze śledztwo? - zapytałam, gdy pojawił się Maks.

- Skończyło się, kiedy Olaf zobaczył reklamę pola golfowego. Uparł się, Œeby nauczyć się grać i ze śledztwa nici. Zresztą tutejsi mieszkańcy nie zrozumieli naszych intencji i, jakby to powiedzieć, nastąpiła zmowa milczenia.

- Graliście w golfa?

Maks zaprzeczył:

- Olaf od razu zadzwonił pod numer, który znaleźliśmy na plakacie. Kiedy poznał opłaty, jakie trzeba uiścić za wejście na trawę, zrezygnował. A twoje ustalenia?

- Nie rozumiem...

- Oglądałaś lampę.

- I...

- To ja ciebie zapytałem!

- W takim razie muszę cię rozczarować, bo niczego nadzwyczajnego się nie dopatrzyłam.

- A ta litera „K”?

Nie odezwałam się, więc Maks kontynuował:

- Zakładam, Œe „K” jest inicjałem.

- Inicjały raczej podaje się podwójnie, na przykład M. W..

- Maks Wizner! - powiedział głos zza ściany, po czym dołączyła do nas Teresa.

- Skąd ciotka wytrzasnęła to zielone чудо? - zapytał Maks.

- Możliwe, że lampa już tu była, kiedy wprowadziła się do domu. Gdy przed tygodniem robotnicy rozpoczęli remont, okazało się, że pod warstwami tapet jest zielona farba. Tak mi się spodobał ten kolor, że identyczny wybrałam do przedpokoju i salonu. Lampa też jest zielona.

- Sugerujesz, że pod tapetami przetrwała polska farba i lampa też została tu po poprzednich właścicielach? - zapytałam.

- Wygląda na to, że lampa uzupełniała wystrój salonu - odparła Teresa. - Choć niewykluczone, że ściany pomalowano na zielono już po wojnie. Trudno to jednoznacznie stwierdzić.

- Logiczne... - pomyślał Maks. - Jeśli jeszcze wyjaśnisz, skąd na lampie litera „K”, podaruję ci to rzadkie wydanie winylu „Beatlesów”, które kupiłem na pchlim targu.

- Załóżmy, że to ozdoba.

- Niemożliwe - powiedziałam. - Ozdobą mogłby być kwiatek albo jakiś zawijas, ale litera?

Dlaczego wśród wielu liter alfabetu na lampie jest akurat „K”?

Dwa cienie głosiki zawołały równocześnie z salonu:

- Ciociu! Komputer nie działa!

Mina Teresy nie wskazywała radości.

- Moje projekty - jęknęła, zanim pobiegła do bliźniaczek.

Maks przestawił taboret tak, by usiąść tuż naprzeciwko mnie.

- Znajdziemy jutro najbliższe muzeum i pojedziemy tam z lampą. Mam nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej albo przynajmniej powie nam, z kim powinniśmy się skontaktować.

- Mój stryj mogłby...

- Pan Samochodzik jest daleko, więc musimy dać sobie radę sami.

Chciałam powiedzieć, że szkoda zachodu lub coś w tym stylu, ale Maks popatrzył mi w oczy tak głęboko, że odebrało mi mowę. W gardle poczułam łaskotki, a w brzuchu pojawili się starzy znajomi - stadko motyli, które od ostatniego razu jakby się powiększyło. Wtedy Maks ujął w dłoń 13 mój policzek i musnęliśmy się ustami.

- Wow! - usłyszeliśmy dziecinny zachwyty pomieszany z zawstydzeniem. - Wszystko widziałyśmy!

Odskoczyłam od chłopaka, jakby ktoś przypiekł mnie płomieniem, zderzyliśmy się przy tym nosami.

- Czy wy zawsze musicie mówić w duecie? - wściekł się Maks. - Idę sprawdzić, czy Teresa

pościeliła wam już łóżko. Za pięć minut macie być wykąpane, a za kwadrans sprawdzą, czy śpicie.

Ola i Tola naburmuszyły się, aś oklapły im kucyki. Zaciśnęły usteczka i zmarszczyły prawie niewidoczne, bo jasne, brewki. Słodkie, małe złościce.

Kiedy usłyszały wołanie do kąpieli, zabawnie przewróciły oczami i powiedziały:

- Dopsze! Całuj się z nim, ale jak się z nami ośeni, to już nie będziesz mogła!

Były tak pewne swoich słów, że aż zadrżałam. Ze śmiechu. Niemniej jednak nad moją głową pojawiła się burzowa chmura albo nawet dwie, bo dotarło do mnie, że siedmiolatki upatrzyły sobie we mnie rywalkę do męskiego serca. A kobiety, nawet te najmłodsze, bywają bardzo sprytnie.

14

ROZDZIAŁ TRZECI

WYCIECZKA DO ZOO • PAŁAC W KROBIELOWICACH • NIEMIŁA

RECEPCJONISTKA I JEJ SZEF • STADO MOTYLI PRZED OCZAMI KOPCIUSZKA •

AWARYJNY ZESTAW W KOLE ZAPASOWYM • ZAZDROSNY MAKS I

NIEDYSKRECJA BLIŹNIACZEK • CO NA MÓJ TEMAT WIE MANUEL? • UKŁAD

HANDLOWY • JAK TO JEST, KIEDY SIĘ KOGOŚĆ CAŁUJE? • KTÓRĄ IMPREZĘ

ODSYPIA IGOR KŁĘBOWICZ? • ZWIEDZAMY KOŚCIÓŁ W SOŚNICY

Mapa, z którą siłował się Maks, nijak nie chciała zmieścić się na stole pomiędzy jajecznicą a twarogiem z rzodkiewką.

- Wybieracie się gdzieś? - zainteresowała się Teresa.

- Do zoo! - wrzasnęły bliźniaczki, jakby wcześniej to zaplanowały i tylko czekały na odpowiedni moment, by poinformować świat o marzeniach.

- Tu nie ma zoo - burknął Maks.

- Nieprawda - wtrącił Olaf. - Kilkanaście kilometrów stąd, we Wrocławiu jest jeden z najpiękniejszych ogrodów zoologicznych w Polsce.

- Byłam tam kiedyś - powiedziała Dorka. - Pamiętam akwaria z ogromnymi piraniami, Śółwie wielkie jak pół stołu i leniwe hipopotamy. Ach, jeszcze słońia, który o mały włos nie zjadł mi plastyczka...

- Czego? - Maks zrobił zdziwioną minę.

- Takiego gumowego sandałka.

Podłoga zadudniła, bo bliźniaczki skakały po niej jak kauczukowe piłki.

- Chcemy do małpek!

- I do słońca!

- I hipciów!

Dziewczynki wymieniały kolejne nazwy zwierząt, popisując się swą wiedzą zoologiczną.

Zaczęłam zastanawiać się, czy aby na pewno nie dysponują zdolnościami telepatycznymi, kiedy przymilały się do Dorki i Olafa. Teresa podchwyciła plan sióstr i przekazała Olafowi kluczyki do jeepa oraz pewną sumę na obiad i smakołyki. W takiej sytuacji przyjaciele nie mieli wyjścia i ustąpili, decydując się na wycieczkę do zoo. A Teresa, Maks i ja zyskaliśmy wolny dzień.

- Co z waszym wyjazdem? - zapytała Teresa, kiedy po śniadaniu, w cichym domu zasiadliśmy do kawy.

- Poszukamy kogoś, kto oceni wartość lampy, o ile wypożyczysz ją nam.

- Możecie ją zabrać. Myślę, że w krobielowickim pałacu będą mogli wskazać wam odpowiedniego specjalistę. Pałac jest w rękach prywatnych i nie ma statusu muzeum, ale pracownicy muszą mieć kontakt z jakimiś konserwatorami staroci.

Pałac w Krobielowicach znajdował się zaledwie kilkaset metrów od sklepu, w którym byliśmy poprzedniego dnia. żeby dotrzeć do celu, ponownie trzeba było minąć cylindryczną budowlę o niezidentyfikowanym przeznaczeniu, po czym na rozdrożu skręcić w prawo. Jeszcze kilka minut i natrafiliśmy na kładkę poprzedzoną bramą wjazdową, oba elementy były wykonane z drewna naruszonego przez upływający czas. Murszejące dechy nie zachęcały do spaceru tym bardziej, że płynący pod nimi nurt wściekle szarpał łodygi roślin wodnych. Widząc moje obawy, Maks porwał mnie na ręce, zanim zdążyłam zareagować, i przebiegł po kładce.

15

Zza drzew wyłonił się kremowy budynek. Prosta, wręcz klockowata bryła pyszniła się na niewielkim wzniesieniu tworzącym podjazd. Przestrzeń dookoła pałacu tworzyły gęste trawniki skoszone nieprzyzwoicie krótko. Szyld przed wejściem informował o zakazie wstępu na murawę.

Pustka w recepcji hotelu, za którą służył hol, świadczyła o tym, że niewielu turystów decyduje się tu spędzić nocleg. Liczby na tabliczce wystawionej na ladzie wyjaśniły sytuację -

proponowane ceny usług były wysokie. Poczuliśmy się z Maksem nie na miejscu, kiedy przez pomieszczenie przeparadowali dwaj starsi panowie, niezwykle elegancy, w kraciastych spodniach na pół łydki i nieskazitelnie białych podkolanówkach.

- Gdzieś tu muszą być te pola golfowe - zasugerował Maks. - To gra właśnie dla takich dŹentelmenów.

Recepcjonistka rzuciwszy na nas okiem, najwidoczniej wykluczyła Maksa i mnie z grona potencjalnych klientów, gdyŹ od pierwszej chwili próbowała delikatnie pozbyć się nas z pałacu. Nie dość, Źe nie wykazała najmniejszej ochoty, Źeby nam pomóc w skontaktowaniu się ze specjalistą od antyków, to na dodatek, kiedy poprosiliśmy o zgodę na obejrzenie wnętrza budynku, jednoznacznie zasugerowała, Źe w zupełności wystarczy nam zaszczyt zerknięcia na fasadę.

Maks schował do foliowej torebki lampę, którą wcześniej wystawił na ladę.

- Dzień dobry! - powiedziała nagle recepcjonistka, patrząc przed siebie, ponad moim ramieniem. - Ci państwo juŹ wychodzą.

Owszem, wychodziliśmy!

- Szefie... - dotarł do mnie głos pracownicy hotelu.

Ach, tak! Człowiek, który wszedł do holu był jej przełoŹonym! Nie zastanawiając się, postanowiłam dać upust swej złoŹci. Recepcjonistka nie powinna była oceniać nas po ubraniach, nawet jeśli - jak tamtego dnia - mieliśmy na sobie schodzone dŹinsy i niezbyt wyszukane koszulki.

Zawróciłam, choć jedną nogą byłam juŹ za drzwiami.

MęŹczyzna, któremu miałam właśnie wygarnąć, co myślę o hotelach, traktujących klientów z wyŹszoŹcią, jednym spojrzeniem sprawił, Źe zapomniałam o rozgoryczeniu. Jego kasztanowe Źrenice, cynamonowa skóra i wreszcie te spływające wzdłuŹ twarzy kędziorzy o barwie gorzkiej czekolady. Bawełniany T-shirt nie mógł ukryć silnych ramion wyrzeźbionych z twardych jak skała mięśni. Oniemiałam, jakby stanął przede mną mityczny heros.

Heros równieŹ oniemiał. CzyŹby na widok moich miedzianych pukli?

- Czy ja moŹem pani pomóc? - wydukał z melodyjnym akcentem. Miał niski, doskonale brzmiący głos.

Ze stanu odrętwienia wyrwał mnie Maks.

- Nie! - warknął i wypchnął mnie na dwór.

Tym razem motyle fruwały mi i w brzuchu, i w głowie, a nawet przed oczami. Pstrokate skrzydełka uderzały się nawzajem, za kaŹdym razem strzepując w powietrze lŹniący pył.

- Mięśniak! - mruknął niezadowolony Maks, niszcząc moją iluzję.

Chcąc nie chcąc ruszyłam za kolegą gnającym na oŹlep.

- Cinderella! Cinderella!

Heros dogonił mnie.

- Byłabyś najpiękniejszą ozdobą przyjęcia, które wieczorem organizuję w ogrodzie -

powiedział płynną angielszczyzną obezwładniając mnie boskim spojrzeniem. Wcisnął mi do ręki jakiś folder.

- Nie znasz mnie - odpowiedziałam po polsku.

- Daj mi szansę.

16

Zza drzewa wyskoczył Maks. Na policzku uwydatniała mu się wypukłość od rytmicznego zagryzania zębów.

- Będę czekał na ciebie, Cinderella! - szepnął ciemnowłosy i jak mara rozpląnął się wśród krzewów.

Maks objął mnie w pasie.

- Nic ci nie zrobił?

Odwrociłam twarz.

- Myślałem, że chcesz... że coś do mnie czujesz...

Nie odezwałam się. Zwinnym ruchem zgmiotłam folder i upchałam w kieszeni.

- Co robimy z lampą?

- Sama załatwię tę sprawę. Wieczorem - dodałam po namyśle.

- Wieczorem?

- Właśnie wieczorem.

Zawsze woŝę w samochodzie zestaw awaryjny upchany w kole zapasowym, ŝeby niepotrzebnie nie zabierał miejsca, złoŝony z małej czarnej i dziewięciocentymetrowych szpilek w klasycznym fasonie, natomiast stałe wyposażenie mojej kosmetyczki stanowi szminka w kolorze chanelowskiej czerwieni. Razem z walizką i arsenalem kosmetyków zamknęłam się w łazience, ŝeby zrobić się na bóstwo. Kiedy włosy były juŝ utapirowane i udało mi się dopiąć zamek od sukienki, a na usta dołoŝyłam odrobinę bezbarwnego błyszczyku, by je optycznie powiększyć, uznałam, ŝe jestem gotowa do wyjścia. Kwadrans przed czasem!

Postanowiłam, ŝe przemknę przez przedpokój, nie pokazując się nikomu na oczy, ŝeby uniknąć przyjacielskich acz uszczypliwych komentarzy i aby nie widzieć zazdrości w oczach Maksa. Nie znałam takiego oblicza kolegi i wolałam, ŝeby tak zostało.

Przypomniałam sobie o zgniecionym folderze. Rozprostowałam go. Na sztywnym kredowym papierze pojawiły się białe rysy, ale treść wciąż była czytelna. Przejrzałam uważnie kartki, nie odnajdując najmniejszej nawet notatki od przystojniaka. Folder reklamował hotel i zachęcał do skorzystania z usług pola golfowego. Krótka notka o pałacu donosiła, że obecnym właścicielem kompleksu rekreacyjno-wypoczynkowego jest Manuel Falco. Uśmiechnęłam się pod nosem.

Wybiła dwudziesta pierwsza. Wychodząc, natknęłam się na bliźniaczki i przyjaciół wracających z wycieczki. Zapomniałam o nich na śmierć!

- Idziecie gdzieś? - zapytała Dorka, zapinając sweterek Toli. Robiła to z matczyną czułością.

Zbyłam ją cichym chrząknięciem. Nie dała za wygraną:

- Romantyczne sam na sam?

- Mam taką nadzieję?

- Maks się jeszcze szykuje?

Musiałam jej powiedzieć prawdę.

- Maks zaszył się z herbatą przy komputerze i ciska gromami w cały świat, więc lepiej zostaw go w spokoju.

- Chyba rozumiem... - zmierzyła wzrokiem moje ubranie. - Jutro mi wszystko opowiesz.

- Zapomniałaś czegoś - odezwał się Maks. Zza drzwi wyłoniła się sylwetka, na tle której błyskały drobne iskry. Kolega zarzucił mi na szyję delikatny jak mgła szal wyszyty kryształkami.

Najwyraźniej zsunął mi się z ramion w przedpokoju.

- Oni wczoraj się całowali! - Ola wyszeptała Olafowi tak donośnie, że pewnikiem słyszało to pół wsi!

17

Nie napiszę, co miałam ochotę zrobić tej małej ani co czułam, kiedy oczy Maksa pokryły się płynnym szkłem, tym bardziej nie zdradzę, dlaczego po przejechaniu niecałego kilometra zatrzymałam samochód, żeby poprawić makijaż.

Nieśmiało wtoczyłam auto na równinę trawnika, ponieważ parking pękał w szwach. „Toś to jakiś bal, nie przyjęcie!” - pomyślałam, gapiąc się, jak metaliczne karoserie luksusowych aut odbijają światła latarni. „Tu jest tylu ludzi, że z randki nici. O, naiwna!”

Przekręciłam kluczyk w stacyjce z chęcią wycofania, lecz nim nacisnęłam pedał gazu, usłyszałam stukot szkła o szkło. Oto mój heros wyszczerzył rząd raśających białą zębów, trzymając w rękach

kieliszki z szampanem.

Zgasiałam auto i wysiadłam.

Kierpce, janosikowe getry i kapelusik z piórkiem momentalnie przykuły moją uwagę.

- Wybacz, zapomniałem dodać, Œe to impreza stylizowana - powiedział zerkając na mnie. -

MoŜemy być po imieniu, prawda?

Skinęłam głową.

- Zośka - przedstawiłam się.

- Manuel Falco.

Zza pałacu rozchodził się jazgoczący dźwięk skrzypiec. Góralskie przebranie Manuela i zapach mięsa pieczonego nad ogniem zasugerowały mi, Œe trafiłam na tatrzańską imprezę w centrum Dolnego Œląska.

- Nie mieszkam na stałe w Polsce, ale wydawało mi się, Œe masz na imię Nika.

- Więć juŜ wiesz? - zapytałam retorycznie. - Nika to pseudonim sceniczny, mów do mnie Zośka, dobrze?

- W porządku, ale mogę liczyć na to, Œe zaśpiewasz coś dla mnie? Jeszcze nigdy Œadna piosenkarka niczego mi nie śpiewała.

Po stronie tarasu, na drewnianym podeście, przy uginających się pod ciężarem jadła stołach, trwała zabawa. W pewnej odległości od podestu trzech górali z krwi i kości wywijają harce naokoło ogniska, od czasu do czasu przeskakując ponad Œarem. Ostrza ciupag odbijały światło, ziemia drŜała od podskoków tancerzy, powietrze przecinały gwizdy wtórujące skrzypcom.

Wśród gości dominowała latynoska uroda, imponująco wyglądali w typowo polskich cekinach, wstąŜkach i kamizelkach podszytych baranym futrem. Pomimo luźnej, towarzyskiej atmosfery, wszyscy odnosili się do Manuela z respektem. Uznałam za zasadne sądzić, Œe Falco jest ich szefem i stąd nieznacznie napięty ton rozmów.

Porozmawialiśmy chwilę, przypatrując się porcjowaniu świeŜo upieczonego prosięcia.

Wyjaśniłam Manuelowi, Œe do Krobielowic przyjechałam na wakacje.

- Trafiłaś tu w celach turystycznych?

- Raczej poszukiwawczych. Poszukuję bowiem kogoś, kto mógłby ocenić wartość historyczną pewnego drobiazgu.

- Twój stryj jest przecieŝ wybitnym specjalistą w dziedzinie antyków.

- Stryj przebywa zbyt daleko i jest zbyt zajęty, by zajmować go oglądaniem lampy, co do której nawet nie ma pewności, ŝe jest warta wiêcej niŝ materiały, z których ją wykonano -

odparłam. Poczułam się nieswojo. Choć nie było tajemnicą ŝe naleŝę do bliskiej rodziny Pana Samochodzika, Manuel zdecydowanie duŝo o mnie wiedział, jak na osobę, którą znałam pół dnia.

- Proponuję układ handlowy. Zaŝpiewasz nam coś prawdziwie polskiego w zamian za telefon pewnego znawcy dzieł sztuki. Amatora, co prawda, ale niezwykle utalentowanego amatora.

Mieszka w Soŝnicy.

18

Kiwnęłam głową choć nie miałam pojęcia, gdzie leŝy Soŝnica. Zgodziłam się zanucić coś dla zabawy, a kiedy było po wszystkim, udaliśmy się do pałacu po wizytówkę antykwariusza. Manuel zajmował apartament na pierwszym piêtrze. Pomieszczenia były zimne i surowe, i nawet rozstawione tu i ówdzie gustowne meble nie oswajały białych ŝcian. Choć generalny remont przywrócił murom ŝwietność, wystrojom wewnątrz wiele brakowało do doskonałości.

Manuel otworzył drzwiczki naroŝnej witryny i wyjął wizytownik. Elegancki, z barwionej na ciemny brąz skóry strusia, pokrytej charakterystycznymi wypukłościami - ŝladem po ptasich piórach. Przerzucił foliowe zakładki i nie odnalazłszy poŝądanego biletu wizytowego, poprosił, ŝebym chwilę zaczekała, a sam zniknął w następnym pomieszczeniu.

Wyryte na szybkach witryny kwiatki błyszcząły w ŝwietle kominkowego ognia, oŝywając przy płaŝających płomieniach. Mat szkła bronił zawartość mebla przed oczami gapiów, jednocześnie pozwalając, by obserwator dostrzegł zarysy ksiąŝek, wazonów i kieliszków.

Tajemnice rozpalają wyobraźnię, nawet jeśli dotyczą błaŝostek, w tym wypadku zawartości półek.

Dotknęłam palcami drewnianej ramy, była chłodna i gładka. Pociągnęłam za mosięŝny uchwyt.

Przytrzymujący drzwiczki magnes mlasnął z niezadowolenia. Kiepski obrońca sekretów!

Szkoda, ŝe niektóre tajemnice intrygują dopóki pozostają niezbadane, a po odkryciu stają się nieciekawe, wręcz ŝmieszne. W gardzieli smoka wypatrzyłam trzy srebrne łyŝeczki, posrebrzaną paterę czyszczoną nazbyt sumiennie, bo aŝ do metalu kryjącego się pod warstwą lustrzanej glazury, pudełka z płytami CD i parę luźno porzrzucanych krąŝków, porcelanową figurkę słonia z utraconą trąbą i ksiąŝki: „W pustyni i w puszczy”, „Rzecz o Aztekach”, „Historia konkwistadorów”,

„Salvador Dali”, i „Leczenie kolorami”. Rozczarowana zamknęłam witrynę. Parę kroków dalej stał

mosięŝny gazetownik ze zbiorem ostatnich wydań czasopism. Szczególnie rzucił mi się w oczy jeden tytuł i jedno zdjęcie na okładce. Moje zdjęcie. Wiedziałam, ŝe w ŝrodku jest artykuł opisujący mnie i napomykający o rodzinnych koligacjach z Panem Samochodzikiem. Odetchnęłam z ulgą, albowiem

dotarło do mnie, skąd Manuel miał informacje o tym, że jestem siostrzenicą słynnego detektywa.

Otrzymałam wizytówkę wcisnęłam do torebki.

- Czas na mnie.

- Chcesz zniknąć jak Cinderella?

- Baśń nie może trwać wiecznie.

- Gdybyśmy chcieli tego oboje... Przedłusamy opowieść. Zobaczymy się jutro po siedemnastej na polu golfowym.

Od woni Śywicy i egzotycznych drzew kręciło mi się w głowie. Tak pachniał Manuel.

Zebrałam się w sobie i wyszłam bez słowa. Zbiegłam po schodach, a stukot obcasów sprawił, że wpadłam na pewien pomysł. Odpięłam klamerkę i zsunęłam pantofel. Półbosa uciekłam do samochodu.

Na widok wizytówki Maks zapomniał o niechęci. Twarz mu pojaśniała, spojrzenie rozпалиło się.

- Kobiety! Ciągłe coś knujecie, spiskujecie - szeptał mi do ucha przy śniadaniu. Był

rozanielony, a każdy jego uśmiech przeważał na szali, która miała zdecydować, czy wybiorę się po południu na golf.

- Maks, a jak to jest, kiedy się całuje? - Tola wypaliła między jednym a drugim gryzem chleba z marmoladą.

- Zależy, kogo całujesz - sytuację usiłowała ratować Teresa.

19

- Maks, a możemy spróbować na tobie? - dociekała małolata.

- Myślę, że nie spodobałoby się to Zośce. Mogłaby być zazdrosna...

- Jedźmy lepiej do Sośnicy - powiedziałam wymijająco do Maksa, ciągnąc go za kaptur.

- Co to ma znaczyć? - zapytałam, kiedy byliśmy już na dworze.

Wzruszył ramionami. Postawił na sztorc kołnierz katany, skulił się na siedzeniu auta, nie odzywając się przez całą drogę.

Na szybie rozmazywała się siąpiąca z nieba deszczówka.

Znawca antyków, pan Igor Kłębowicz, mieszkał w okazałej willi, zaraz na początku Sośnicy.

Nie zapowiedzieliśmy wizyty, popełniając karygodny błąd. Pana Kłębowicza zastaliśmy, ale pogrąŜonego w śnie, o czym poinformowała nas jego Őona - najwyŜej dwudziestoletnia kobieta z nogami nieprzeciętnej długości i podejrzenie lazurowymi oczami, zapewne za sprawą barwionych szkieł kontaktowych. Cóż, nareszcie wyszło na jaw, Őe nie jestem największym Őpiochem na Őwiecie! Szkoda, Őe mój brat nie mógł się o tym przekonać...

- Państwo w jakiej sprawie? - zapytała siłując się z niedopiętym zamkiem od spódniczki, najkrótszej mini, jaką kiedykolwiek widziałam. - Igor odsypia wczorajszą imprezê. Ach, cóŜ to był za bal?

- Bal w połowie wakacji? Myślałam, Őe karnawał jest czasem zarezerwowanym na bale.

- Bal w krobielowickim pałacu. Ach, czułam się jak księŜniczka! - westchnęła, a jej błękitne tęczówki zaszyły mgłą.

- Zośka, przecieŜ ty... - zaczął Maks, ale nie skończył, bo przypadkiem nastąpiłam mu na palec. Przypadkiem i z całej siły. Stęknął.

Nasunęłam na oczy czapkę.

- Jesteśmy tu w sprawie słuŜbowej - powiedziałam. - Pilnej.

Niebieskooka ewidentnie straciła zainteresowanie nami, najwyraźniej mąż nie miał zwyczaju wtajemniczać jej w interesy. Była jedną z tych kobiet, które o pieniądze nie martwiły się nigdy i nie dbały o nie, nie interesowały się takŜe ich pochodzeniem. A przecieŜ willa z ogrodem, w którym pyszniły się liczne amorki pokryte patyną czasu i to BMW niechlujnie zagradzające podjazd, dodam, Őe najnowszy model, nie wzięły się znikąd... Niejedną posiadłość ludzi związanych z czarnym rynkiem dzieł sztuki w Őyciu widziałam i dziwnym trafem większość z nich była do siebie bliźniaczo podobna. Őony tych męŜczyzn, zawsze piękne, nigdy nie orientowały się, na czym ich towarzysze Őycia zbili majątek.

Kobieta kazała nam wrócić za trzy kwadranse. Zawahałam się. Przypuszczałam, Őe Igor Kłębowicz jest w swoim fachu pierwszorzędnym specjalistą i moŜe pomóc, ale instynkt mówił mi, Őe jeśli lampa będzie warta cokolwiek więcej niŜ szkło i metal, z których ją zrobiono, spotkanie moŜe być niebezpieczne.

- Mamy prawie godzinê wolnego. Lody? - zapytał Maks.

- Nie, cmentarz.

Kolega wytrzeszczył oczy, jakby ujrział stwora z kosmosu.

- Na cmentarzu zazwyczaj moŜna wynaleźć coś ciekawego. Jak nie masz czego zwiedzić, zerknij w przeszłość!

SoŐnicki cmentarz wianuszkami otaczał kościół, z którym zajmował niewielkie, prawdopodobnie

sztuczne, wzniesienie. Budynek postawiono z czerwonej cegły. Na zewnętrznych ścianach, od białego tynku odróżniały się wykonane z piaskowca płyty epitafijne. Oglądaliśmy je przez dłuższy czas.

20

Drzwi do świątyni były otwarte, ale tuż przy progu zatrzymała nas krata. Jakiś czas później dowiedziałam się od stryja, że sośnicki kościół jest wyjątkowy, ze względu na tak zwane Święte Schody. W stopniach umieszczono relikwie. Pielgrzymi, modląc się, wspinają się po schodach na kolanach.

- Zośka, chodź już! - Maks pociągnął mnie za rękę. - Mam już dość tego grobowego nastroju.

21

ROZDZIAŁ CZWARTY

KTO POPEŁNIA BŁĄD? • POMOCNA PRZYJACIÓŁKA • WZÓR POD FARBĄ •

IDZIEMY DO MUZEUM NARODOWEGO • CO ŁĄCZY LAMPKĘ Z FLETAMI? •

KRÓTKA HISTORIA HUT SZKŁA • INTERESUJĄCA TEZA ANTYKWARIUSZA •

KRASNALE I POMARAŃCZOWA ALTERNATYWA • BILET LOTNICZY • GRAM W

GOLFA Z MANUELEM • ZNALEZISKO W BAGAŚNIKU CADILLACA • UCIECZKA NA ŚMIJOWISKO • ATAK GADA • W POTRZASKU

Niespełna trzydziestoletni Igor Kłębowicz zaprosił nas do altany, gdzie jego Sona podała herbatę z cytryną i lodem. Męszczyzna był odziany w garnitur snobistycznej marki, a jego okulary przeciwsłoneczne zdobiło złote logo francuskiego domu mody. Nie potrafiłam oprzeć się wrażeń, że mam przed sobą kogoś, kto chce pokazać, że żyje w luksusie. Problem w tym, że mi to nie imponowało, a wręcz odwrotnie - irytowało mnie!

Tymczasem czekałam na werdykt pana Igora. Przez dziesięć minut lampa co rusz zmieniała położenie, a w końcu Kłębowicz rozkręcił ją na dwie części.

- Przykro mi, lampa jest bezwartościowym kawałkiem szkła i metalu.

- Nie wydaje mi się - bąknęłam. - Moim zdaniem, pochodzi najwcześniej sprzed ostatniej wojny.

- Myli się pani. Znam się na tym, nie pierwszy rok siedzę w branży antykwarycznej.

Wstałam z miejsca i wyjęłam Igorowi z rąk podstawkę i klosik lampy.

- Dziękujemy za przysługę. Do widzenia - rzekłam sucho.

Wróciliśmy do samochodu. Maks miał do mnie pretensje:

- Nie zamieniłem z nim ani słowa!

- Nie masz czego śmiać się. Od początku czułam, że to oszust.

- Nie zna się na sztuce?

- Aleś skąd! Zna się aś za dobrze.

- Skąd ta pewność?

- Nazwij to doświadczeniem albo babską intuicją. Zapnij pasy!

Nie pytajcie, czy zachowałam się jak snobka. Opony ferrari przemielily wilgotny piach, samochód zerwał się do jazdy z siłą wszystkich koni mechanicznych, które miał pod maską.

Metalowe rumaki zarżały przeciągle, jakby krzycząc w szale radości i wydobyły z siebie całą moc.

Wcisnęło nas w fotele.

- Weź mój telefon i wykręć numer Moniki.

Na czas rozmowy zwolniłam tempo jazdy. Przyjaciółka z Wrocławia nie zawiodła mnie.

Godzinę później siedzieliśmy z Maksym w antykwariacie w centrum miasta. Monika, znajoma studentka historii, stanęła na wysokości zadania i błyskawicznie skontaktowała mnie ze znawcą sztuki, którego uczciwość i umiejętności nie budziły wątpliwości.

Męszczyzna był po pięćdziesiątce. Poruszał się energicznie, wyglądało na to, że nie stroni od sportu. Włosy miał krótko przycięte. Tak krótko, że nie sposób było ocenić, czy jest szpakowaty.

Pełną twarz pokrywał elegancki dwudniowy zarost. Człowiek ten miał na sobie jaskrawy kombinezon kolarski. Zza wystawionego na sprzedaż kredensu wystawał rower, na kierownicy dyndał nowoczesny kask.

Obejrzał lampę uważnie. Rozłożył za ladą kawałek białej flaneli, usiadł na wysokim taborecie i w odpowiednim świetle, posługując się pędzelkami, długimi patyczkami z zawiniętą na końcach watą i cuchnącym jak rozpuszczalnik płynem, centymetr po centymetrze czyścił podstawę lampki.

Na waciku została zielona plama. Spod warstwy farby ujawnił szkło, też zielone. Po literze „K” nie został najmniejszy ślad. Wreszcie, z rysującym się na twarzy uśmiechem, pokazał efekt pracy.

Maks spurpurowiał ze złości.

- Nie martw się, młodzieńcze, fantazyjny acz nieprofesjonalny malunek jedynie obniża wartość tego cacka.

- Więc lampka nie jest okazem złomu?

- Młodzińcze, jak możesz mówić w ten sposób! Mamy przed sobą egzemplarz jedyny w swoim rodzaju! Doprawdy, niczego podobnego wcześniej nie widziałem! Ktoś pomalował lampkę zieloną farbą a na wierzchu, złotym lakierem, stworzył literę „K”.

Antykwariusz kontynuował czyszczenie do momentu, aż spod farby ukazał się wzór przypominający promienie, korona i wreszcie cały herb.

Męszczyzna zniknął na zapleczu. Przez chwilę dochodziły do nas odgłosy przestawiania różnych przedmiotów. Nagle coś upadło i stukło się.

- Kubek z herbatą! - krzyknął antykwariusz. Wrócił z paczką waty i usztywnianym plecakiem a la skorupa sówia. Lampkę zabezpieczył bawełnianymi kulkami i umieścił w torbie, którą zarzucił na ramię.

- Zapraszam na małą wycieczkę.

Ruszyliśmy ku Galerii Dominikańskiej, ale nie skorzystaliśmy z bogatej oferty licznych butików, lecz skierowaliśmy się na lewo. Po chwili wśród drzew wyrosła rotunda Panoramy Racławickiej, o wiele mniejsza niż mogłoby się wydawać po przestudiowaniu zdjęć w przewodniku o Wrocławiu. Panoramę zostawiliśmy jednak w spokoju, właściwym celem bowiem okazało się Muzeum Narodowe. Pnące się po ścianach budynku dzikie wino zachłannie pilnowało przebogatego zbioru eksponatów.

Chcąc nie chcąc kupiliśmy z Maksem bilety, naszym zdaniem zbyt drogie jak na kieszeń przeciętnego studenta. Antykwariusz uśmiechnął się do bileterki i to wystarczyło, by mógł cieszyć oczy pełną gamą skarbów. Poprowadził nas do gablotki na korytarzu, niepozornej i skazanej na pomijanie przez turystów wypatrujących sal z cennymi dziełami sztuki.

- Przypatrzcie się temu - zakomenderował, wskazując na trzy kielichy, masywne, wysokie, na przysadzistych podstawach. Ścianki były grube, w szkłe zastygły bąbelki powietrza. Dwa kielichy ozdobił staranny grawer, ostatni był gładki. - Okazy osiemnastowiecznego szkła polskiego z manufaktur Naliboki-Urzecze.

- Przypominają współczesne szampanówki - powiedziałam.

- Ten rodzaj naczyń zwany jest fletami.

- Jakiego związku powinniśmy dopatrzeć się pomiędzy kielichami a lampą? - zapytał Maks.

- Obawiam się, że związku będziemy dopatrywać się raczej między kieliszkiem i karafką.

- Karafką? - Maks miał zaciekawiony wyraz twarzy.

- Przyjrzałem się dokładnie lampie i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś, kiedyś, coś

podobnego widziałem. I nawet wiem co, ale ten przedmiot z pewnością nie był lampką oliwną.

W muzeum trafiliśmy na niewielką kafejkę, w której turyści mogli dać wytchnienie zmęczonym nogom, zanim ruszyli w kolejną podróż po historii. Antykwariusz wyciągnął z plecaka

„Poradnik polskiego kolekcjonera” - opasły tom w czerwonej okładce. Wertował go przez chwilę, a wskazał palcem jedno ze zdjęć. Podpis pod nim głosił: „Kieliszek i karafka z herbem Mniszech, Polska, Lubaczów, ok. 1778”. Barwione na ciemnozielony kolor szkło tworzyło kontrastowe tło dla złocień przedstawiający identyczny motyw jak na lampce ciotki Adeli.

23

- Pomimo tego, co głosi podpis pod zdjęciem w albumie, wśród specjalistów z branży nie ma zgody co do tego, skąd pochodzą te charakterystyczne wyroby z ciemnozielonego szkła. Mogły być wytworzone zarówno w hucie nalibocko-urzeckiej, jak i w lubaczowskiej. Problem jest także z dokładnym oszacowaniem czasu powstania kieliszków i karafinek, wiadomo tylko, że pochodzą z XVIII wieku. W każdym razie wyroby te, pozwolę sobie użyć przerośniętych, są spokrewnione z kielichami, które podziwialiście w gablocie.

- W katalogu widzimy kielich i karafkę, tymczasem my posiadamy lampkę oliwną. Czy mam rozumieć, że lampka oliwna jest jakimś szczególnym egzemplarzem w kolekcji?

- Nie wiem, czy cię to zmartwi, Maks, czy pocieszy, ale obawiam się, że mamy do czynienia z bardziej skomplikowanym przypadkiem. W pracowni, na zapleczu antykwariatu przypatrzyłem się lampce i jestem pewien, że mosiężna obejma podtrzymująca knot jest nałożona na szyjkę karafki, która wcześniej została skrócona.

- Skrócona?

- Wydaje mi się, że ktoś obrył szyjkę u nasady jakimś specjalnym narzędziem lub po prostu krawędzią diamentu i obtłukł szkło. W ten sposób została wyłączona dolna część buteleczki, która posłużyła za pojemnik na oliwę. Kryształowy klosik musi pochodzić z zupełnie innej lampki.

Metalowa obejma jest wyraźnie szersza w górnej części tak, by utrzymała klosik.

- Sugeruje pan, że ktoś przerobił osiemnastowieczną karafkę na oliwną lampkę? -

zakwiliłam jak niemowlę.

- Nie mam wątpliwości.

- W jakim celu ktoś tak bardzo natrudził się, skoro lampy oliwne ani w XVIII wieku, ani teraz nie należą do towarów deficytowych? - dociekał Maks.

- Z tym pytaniem powinniście się już zwrócić do Pana Samochodzika - mężczyzna rozłożył ręce.

Wymieniliśmy jeszcze kilka uwag i rozstaliśmy się, obiecując antykwariuszowi, że poinformujemy go o szczegółach, jeśli sprawa wyjaśni się.

Oławską dotarliśmy do ulicy Świdnickiej, gdzie poczyniłam pewne zakupy. Zapatrzyłam się w koszulkę polo z nieskazitelnie białym kołnierzykiem i kamizelkę z dekoltem w tak zwany serek.

Do tego wzięłam obcisłe spodnie na pół łydki i płaskie, sportowe buty - takie, w których wypadało pokazać się na polu golfowym. Później udaliśmy się na poszukiwanie jakiejś sympatycznej knajpki, żeby zjeść obiad. Zabrnawszy aż pod kościół Św. Elżbiety, nie mogłam wyjść ze zdziwienia na widok maleńkiego krasnala. Zamieszkiwał tu przy kamienicach „Jaś i Małgosia”. Stworek siedział oparty o miniaturowych rozmiarów domek, który można było otworzyć. Krasnoludek wzbudzał

powszechne zainteresowanie dzieci i dorosłych. Przysłuchaliśmy się monologowi przewodniczki, która tłumaczyła młodzieży historię małych stworków:

- Krasnale są nocnymi stróżami Wrocławia, żyją w doskonałej komitywie z mieszkańcami miasta. Ich państwo rozciąga się w podziemnych tunelach, a domek, przy którym stoimy, jest budką graniczną pomiędzy krainą ludzi i krainą krasnali. Osobnik siedzący przy budce pilnuje, żeby nikt niepowołany nie naruszył spokoju jego kompanów. Czy wiecie, że krasnale są pracusiami?

Przykładem niech staną się Syzyfki na ulicy Świdnickiej, które niestrudzenie przywracają do porządku granitowe kule zdobiące deptak. Stworzonka są także bardzo dzielne, już w latach osiemdziesiątych, kiedy komunistyczne władze czuwały nad tym, by obywatele nie mieli zbyt wielu swobód, krasnale pomagały mieszkańcom miasta walczyć o wolność. W miejscach napisów zamazywanych przez władze, niepochlebnych dla rządzących, zostawiły swe symboliczne portrety.

To krasnale wyszły z ludźmi na ulice, w dalszym toku walki z reżimem. Przemaszerowały przez 24 miasto w czasach, gdy demonstrowanie było niemile widziane, mogło wręcz doprowadzić do rozlewu krwi. Na kolorowe stworki, przyjaźnie nastawione, nikt nie ośmielił się podnieść ręki.

Krasnali, na te akcje, ochrzczone mianem Pomarańczowej Alternatywy, namówił pomysłodawca -

Waldemar Fydrych. Teraz pocieszne stworki nie muszą już zabiegać o przywileje należne Polakom, ale jeśli tylko pojawi się taka potrzeba, wyjdą ze swego podziemnego królestwa i staną do walki, chociażby z ukrytą cenzurą. A coraz więcej krasnali pojawia się na powierzchni...

Maks szturchnął mnie, wytrącając z zasluchania.

- Powinnaś zadzwonić do stryja i koniecznie mu o wszystkim opowiedzieć - stwierdził Maks.

- Chcesz, żebym zajmowała go krasnoludkami z bajek? - zaśmiałam się.

- Myślałem raczej o lampie.

- Wybacz, ale prawda jest taka, że podobnych przedmiotów nie brak na pchlich targach.

Ubrana tak, by nie złamać etykiety panującej na polach golfowych, zapakowałam się do ferrari. Olaf był rozczarowany, ponieważ liczył na to, że zabiorę go ze sobą, natomiast Maks - jak oświadczył mi - czuł się głęboko urażony tym, że postanowiłam spędzić popołudnie z Manuelem, a nie z nim.

- Ten facet mi się nie podoba - stwierdził, kiedy mijaliśmy się w progu.

- O co ci właściwie chodzi?

- Dał ci wizytówkę jakiegoś podejrzanego typu, sam też nie wygląda na czystego...

- Przesadzasz - odburknęłam, wyobrażając sobie oszołamiający zapach przystojniaka o śródziemnomorskiej urodzie i jego cudownie piwne oczy, w których głębi można by utonąć.

Pod pałacem zjawiłam się o kwadrans za wcześnie. Postanowiłam przespacerować się po parku, ale zanim zdążyłam oddalić się od auta, tuż przy mnie, jak spod ziemi, wyrosła recepcjonistka.

- Pan Manuel zaprasza na górę - wskazała okna na pierwszym piętrze.

Leniwie poczłapałam za nią. W przedsionku stały torby z kijami golfowymi umieszczone na specjalnych wózekkach.

- Cieszę się, że nie założyła pani szpilek. Często mamy problem z paniami, które chcą wejść na pole golfowe w nieodpowiednim obuwiu. Trawa nie toleruje butów na obcasach.

- Nawet jeśli ubierają je towarzyszki szefa?

- Zasadę tę stosujemy bez wyjątków.

Recepcjonistka odprowadziła mnie do drzwi apartamentu Manuela i zostawiła mnie samą.

- Cinderella! - rozpromieniał na mój widok, co sprawiło mi przyjemność. Każde jego uśmiech i każde spojrzenie wynagradzały mi nieprzychylnie komentarze Maksa. - Piękniejesz z dnia na dzień.

- Interesujesz się Aztekami? - zagadnęłam, spostrzegłszy piętrzące się na sofie albumy.

- Kulturami prekolumbijskimi. Ale dziś interesujesz mnie wyłącznie ty. Grałaś kiedyś w golfa?

Zaprzeczyłam głową.

- Zatem nauczę cię trafiać do dołków za pierwszym zamachem. Zmienię buty i możemy iść -

stwierdził i zniknął za drzwiami.

Nie wiedziałam, ile czasu zabierze Manuelowi przebranie się, więc chwilowo postanowiłam czymś się zająć. Wcisnęłam się pomiędzy pachnące farbą drukarską albumy i przewertowałam pierwszy z brzegu. Był po hiszpańsku, tak samo jak kilka kolejnych. Nagle spośród kartek wypadła błękitna koperta ozdobiona granatowym pasem. Nie była zaklejona. Walcząc z wyrzutami 25

sumienia, wysunęłam zawartość. Bilet lotniczy. Kątem oka dostrzegłam wydrukowane litery -

Manuel Falco, Berlin, Mexico City, 2 sierpnia, godzina: 01:00. Czując się jak złodziej, upchałam bilet w kopercie, tę zaś na powrót umieściłam pomiędzy kredowymi stronicami.

Kiedy Manuel zjawił się w pokoju, trzymał w ręce małą rękawiczkę bez palców, zapinaną na wysokości nadgarstka na rzep.

- Dla ciebie.

Założyłam rękawiczkę. Pachniała naturalną skórą.

Z recepcji zabraliśmy wózek z kijami golfowymi i udaliśmy się na lewo od wejścia, gdzie zaraz za wąskim kanałem wypełnionym wodą rozciągała się połać gęstej trawy przyciętej tak krótko, że wyglądała jak mech. Pierwsze stąpienia po idealnej murawie wzbudzały we mnie lekką obawę, nie mogłam bowiem oprzeć się wrażeniu, że moje buty wywiercą w zielonym pokryciu nieestetyczne dołki. Nic podobnego jednak się nie stało.

Ponad godzinę uczyłam się, jak należy trzymać kij golfowy i w jaki sposób uderzać piłkę, by trafić do dołka. Dziwnym trafem za każdym razem, kiedy pacnęłam w złośliwą białą kulkę, okazywało się, że toczy się w zgoła odmiennym kierunku, niż ten, który zaplanowałam. I śadne argumenty - ani prośby, ani groźby - nie skutkowały. Uparła się nie słuchać mnie za wszelką cenę!

- Piłka musi być źle wyważona - stwierdziłam, oglądając przedmiot z miną fachowca.

Manuel posłał mi zniewalający uśmiech.

- Dobrze.

- Nie jestem przekonana - mruknęłam pod nosem. Usłyszał.

- Weź drugą. Te w nowym opakowaniu są z innej firmy.

Następna i kolejne nowe piłeczki równie nie chciały poddać się mojej tresurze.

- Pokaż mi jeszcze raz!

Manuel wydobył z obszernego worka kij. Nie namyślając się długo stanął przy piłeczce i uderzył. Trafił za pierwszym razem do dołka znajdującego się kilkadziesiąt metrów od nas. Byłam zachwycona!

- Lata praktyki - dumnie wypiął pierś.

Stanowczo oświadczyłam, że na dzisiaj mam już dość akrobatycznych wyczynów z kijem golfowym w roli głównej. Zapakowaliśmy sprzęt na wózek i poczłapaliśmy przed pałac.

- Cinderello, żeby dopełnić bajkę, muszę ci jeszcze coś oddać. A może wejdiesz na górę?

- Nie. Robi się późno i obawiam się, że moi przyjaciele będą się martwić.

- Ale dasz się zaprosić dziś wieczorem na poświeconą kolację?

- Wyjeżdżasz?

- Przykro mi.

- Daleko?

- Zbyt daleko, żebyśmy mogli pisać dalszy ciąg bajki. O dwudziestej?

W tym momencie na podjazd wtoczył się wielki jak stodoła cadillac. Ryczał niczym wściekły tygrys.

- To twoje auto? - zapytałam, ale Manuela już obok mnie nie było.

- Tak, bryka należy do szefa - odparł kierowca. - Proszę usiąść za kierownicą.

Nie mogłam oprzeć się pokusie i zajęłam miejsce kierowcy.

- Sam Elvis Presley takim jeździł. Samochód jest oryginalny, nie jakiś współczesny składak.

Szef sprowadził go z USA na zamówienie.

- Talar! - zapiszczał z przedpionka pałacu kobiecy głos. - Pomóż mi przestawić te kije!

- Zaraz wrócę - powiedział kierowca cadillaca. - Tylko proszę nie zwać gdzieś tą bryką, bo 26

będzie po mnie - przejechał palcem wzdłuż szyi.

Rozsiadłam się wygodnie na kanapowym fotelu. Przyznam, że brakowało mi zagłówka, do którego obecności przywykłam. Samochody posiadające status zabytków nie musiały poddawać się przepisom i nikt nie wymagał, by modele sprzed półwiecza miały wmontowane zagłówki. W ogóle posiadanie podobnego samochodu było wygodne, bo nie wymagał okresowych przeglądów rejestracyjnych i nie trzeba było płacić ubezpieczenia w momencie, kiedy auto stało nieużywane...

Przymknęłam powieki i zanuciłam sobie „Twist and shout”.

Po kwadransie znudziło mnie czekanie na Manuela, kierowca tak się nie pojawiał się. Kiedy chciałam wysiąść z samochodu zahaczyłam niechcący o wystający element, z tyłu zawyla jakaś sprężyna i kłapa bagażnika z impetem wystrzeliła do góry. W pierwszej chwili wystraszyłam się, lecz szybko pojęłam, w czym rzecz i chciałam zamknąć metalowe wieko. Podeszłam bliżej bagażnika i oparłam rękę na kłapie. Wtedy w słońcu zalśniły kryształowe przedmioty. Z

premedytacją zajrzałam do wymoszczonego kocu bagażnika. Zamarłam. Zaschło mi w gardle.

W brudnej skrzynce po jabłkach sterczały lampki. Identyczne jak oliwna lampka ciotki Adeli!

Szlachetny blask kryształowych abasurków kontrastował z kikutami słomy zabezpieczającej szkło przed stłuczeniem.

Raptem, bezszelestnie wyrosli obok Manuel i kierowca cadillaca. Falco czekał kilka sekund na moją reakcję, ale Talar wyciągał już w moim kierunku swoje wielgachne łapsko. Straciłam nadzieję na polubowne załatwienie sprawy.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał Manuel, a ja wyczułam w jego głosie raczej śal niż złość. -

Nie tak kończą się bajki.

Zwrócił się do kierowcy:

- Bierz ją! - zamachnął się moim pantoflem.

Talar odciął mi drogę do ferrari. Nie namyślając się długo, pobiegłam w stronę kanału, za którym po lewej stronie ciągnęło się pole golfowe. Przebiegłam po kładce i skręciłam w prawo na ścieżkę stanowiącą wał dzielący wspomniany wcześniej kanał od porośniętego trzciniami stawu. Nie byłam szybsza ani bardziej wysportowana od męszczyzn, ale znacznie bardziej zwinna. Zyskałam spory dystans, jednak zza drzew wyłoniły się już muskularne sylwetki. Miałam wybór: biec dalej w prawo i liczyć, że droga zawiedzie w bezpieczne miejsce albo... no właśnie! Nabrałam haust powietrza, ręce złożyłam nad głową w strzałkę i wybiłam się, ile sił w nogach. Woda łagodnie obeszła się z moim rozgrzanym ciałem. Była ciepła i jakby gęsta od glonistej zawiesiny nadającej jej śabi kolor.

Zeszłam najgłębiej jak potrafiłam, równocześnie starając się nie wzburzać zanadto wody. Nie płynęłam prosto przed siebie, ale po łuku w prawo. W końcu musiałam jednak wynurzyć się, by zaczerpnąć powietrza. Wygramoliłam się na błotnisty brzeg i wtedy gonący mnie męszczyźni zorientowali się, gdzie jestem. Talar sięgnął pod marynarkę. Wykonałam gigantycznego susa, by przeskoczyć groblę i na powrót zanurkowałam. Tym razem zanurzyłam się pod tafel zbytnie pionowo i nos wypełniła mi woda. Ciecz przelała się wprost do zatok, miałam wrażenie, że zaraz ciśnienie zmiażdży mi przednią część czaszki. Zachłysnęłam się. Musiałam wypłynąć. Kiedy wynurzyłam głowę, na przeciwległym brzegu zobaczyłam tylko i wyłącznie Manuela. Obróciłam się, by zlustrować okolicę. Talar biegł duktem naokoło jeziora. Krztusiłam się. Nie miałam wiele czasu, więc przełamując ból, który palił moje oskrzela, powstrzymałam się od kaszlu. Zanurkowałam i płynęłam w odwrotną stronę. Mogłam przeciąć jezioro w poprzek i ukryć się w lesie sąsiadującym z brzegiem. Mogłam zyskać na czasie, ponieważ Talar, jeśli nie chciał zanurzyć się w wodzie, miał

do pokonania piechotą sporą odległość. Dawało mi to przewagę. Teraz należało jak najszybciej zbliżyć się do trzciny, stanowiących najlepszą ochronę w trakcie zaczerpywania powietrza.

Okoliczne lasy i zbiorniki wodne były rezerwatem ptactwa. Wśród przybrzeżnej roślinności ptaki uwiły wiele gniazd i wzbijały się z nich do lotu, a za chwilę lądowały. Trzciny i tatarak wciąż falowały tręcane najróżniejszymi skrzydłami, dlatego wiedziałam, że poruszająca się trzcina z miejsca nie sprowokuje przeciwnika do użycia broni. Chyba że postanowiłby rozprawić się ze

wszystkimi okolicznymi kaczkami i baŚantami.

Zzajana, bo moje wyobraŜenie o wÅsnej kondycji znacznie przerosÅo prawdę, osiÅgnęÅam cel. Wyczerpana, ociekająca muÅem, ruszyÅam pomiędu drzewa. Kilka metrów od skraju lasu natrafiÅam na wielgachne drzewo, nie pamieÅam jakie. SchroniÅam się za nim, by zorientowaÅ się w poÅoŜeniu przeciwnika i choÅ przez kilka chwil zregenerowaÅ siÅy. Po morderczym dystansie pÅywackim sÅaniaÅam się na nogach. Ziemia wirowaÅa i momentami nie wiedziaÅam, czy widziane przeze mnie liÅcie wiszÅ na gaÅęziach czy sÅ elementami Åciółki.

Nagle tuÅ przy brzegu przemknęÅa czarna postaÅ. Talar juÅ nadbiegÅ. W kaÅdej chwili mógÅ zacząÅ zagÅębiaÅ się w las. Nie miaÅam najmniejszej ochoty na konfrontację z trzy razy większÅ ode mnie męÅczyznÅ, więc zebraÅam się do dalszej ucieczki. Teraz maszerowaÅam powoli, kryjąc się za pniami. Krok po kroku stÅpaÅam delikatnie, by nie powodowaÅ haÅasu. WyteÅyÅam teÅ sÅuch, by wychwyciÅ najmniejszy szmer.

Od sÅoÅca odgradzaÅa mnie zwarta czapa liÅci, dlatego w lesie panowaÅ pÅólmrok. Na drzewostan skÅadaÅy się raczej sędziwe okazy z potęÅnymi pniami. Pomiędu nimi znajdowaÅy się spore przeÅwity, gdzie jak na zÅoÅ nie wykieÅkowaÅa najwÅtlejsza nawet siewka, najmizerniejsze ųdzÅbÅo trawy, najdrobniejszy krzaczek borówek, ktÅre mogÅyby dziaÅaÅ maskujÅco w trakcie przemieszczania się.

Raptem wielkie Åapy zacisnęÅy się na moim pasie. WrzasnęÅam i z pÅobrotu uderzyÅam przeciwnika otwartÅ dÅoniÅ prosto w ucho. Cios taki nie wymaga duÅej siÅy, a skutecznie oÅÅusza.

Talar zatoczyÅ się, zwalniając uÅcisk. ByÅam pewna, Åe kiedy odzyska peÅnÅ ÅwiadomoÅ, nie zawaha się przed uÅyciem broni. UciekaÅam zygzakiem, klucząc międu drzewami. Wbrew temu, czego się spodziewaÅam, męÅczyzna nie wyciÅgnÅ broni. Za to jednym ruchem zdarÅ z siebie marynarkę, ktÅra najwyraÅniej zbyt mocno krępowaÅa mu ruchy. A pod marynarkÅ miaÅ kaburę.

PustÅ!

PrzestaÅam kluczyÅ, zamiast tego gnaÅam przed siebie ile siÅ w nogach. Nie byÅo to rozsÅadne i nie wiem, na co wÅwczas liczyÅam. MoÅe na cud? DopÅki udawaÅo mi się utrzymaÅ peÅnÅ odlegÅoÅ od męÅczyzny, byÅam bezpieczna. Ale w starciu bezpoÅrednim nie miaÅabym szans na ucieczkę.

Las skoÅczyÅ się. RozlegÅy, odsÅonięty teren porastaÅy gęsto utkane przez naturę zioÅa i trawy.

Pomiędu nimi wiÅa się granatowa nitka rzeczki, ktÅra odcinaÅa mi dalszÅ drogę ucieczki. Nie miaÅam siÅy pÅynÅ tym bardziej, Åe powierzchnia wody marszczyÅa się nieprzyjaÅnie.

PostanowiÅam zastosowaÅ peÅnÅ sztuczkę. MiaÅam zamiar podbiec aÅ do brzegu, robiÅc w trawie wyraÅny Ålad sugerujÅcy, Åe wskoczyÅam do wody. Lecz kiedy dotarÅam na Årodek polany, gdzie rosÅo jedyne na niej drzewo, Talar wyÅoniÅ się z lasu. MÅj instynkt samozachowawczy kazaÅ

mi uciekaÅ do gÅry i wdrapaÅam się na drzewo. OczywiÅcie nie umknęÅo to uwagi męÅczyzny. JuÅ

od połowy polany buczał gromkim śmiechem. Miałam jednak nadzieję na to, że nie będzie potrafił mnie dosięgnąć. Nie myliłam się, nawet nie próbował. Zresztą, gdyby był w stanie podciągnąć się dostatecznie wysoko, by mnie chwycić, konary i tak nie wytrzymałyby ponad stu kilogramów dodatkowego obciążenia.

- W końcu będziesz musiała zejść, laluniu. Zaczekam na dole.

28

- Owocnego czekania! - odfuknęłam.

Rozłożyłam się na gałęzi. Byłam w beznadziejnej sytuacji. Talar miał rację - musiałam kiedyś zleźć z drzewa. „Bez wody, wystawiona na popołudniowy skwar nie wytrzymam długo” -

pomyślałam i ogarnął mnie lęk.

Talar najpierw usiadł pod drzewem i udawał, że się opala, choć co kilka minut wychylał

głowę, by sprawdzić, czy nie uciekłam. A ja nie miałam jak uciec. żeby znaleźć się z powrotem na ziemi musiałabym zsunąć się po pniu. Skok z kilku metrów na trawę odpadał. Wolałam nie sprawdzać elastyczności własnych kości.

Nie po raz pierwszy śalałam, że kupując telefon komórkowy, postawiłam na elegancję i niewielkie rozmiary, zamiast na praktyczność. Teraz przydałby mi się aparat wodoodporny. Tyle że tego rodzaju komórki są zazwyczaj powlekane warstwą kolorowej gumy, w śladnym wypadku nie pasującej do damskiej torebki. „Zmienię upodobania” - mruknęłam pod nosem.

Talar nagle podskoczył jak oparzony.

- W tej chwili złaż, lalka!

Usiadłam i zaczęłam machać nogami, jakbym była na pikniku, co do granic wytrzymałości rozwścieczyło mężczyznę.

Kilkakrotnie przymierzył się do pokonania dzielącej nas odległości, ale siła ciężkości najwyraźniej trzymała moją stronę. Wtedy Talar schylił się i spośród zielska wyciągnął jakiś drąg.

Odechciało mi się śartów i czym prędzej skuliłam się w najbezpieczniejszym miejscu, gdzie ewentualne uderzenie mogły zamortyzować gałązki i liście. Kark i głowę osłoniłam rękami. Kątem oka widziałam, jak Talar daje dwa kroki w tył i... z jękiem upada, badyłem serwując sobie cios prosto w głowę.

W torpedowym tempie wypluł z ust porcję niecenzuralnych słów. Wyprostowałam się i skamieniałam na widok brunatnego cielska wyprężonego obok przeciwnika.

- śmija? - powiedziałam, nie dowierzając własnym oczom.

- Co? - stęknął Talar, uciskając łydkę.

- Uchłała cię Śmija, człowieku! - wrzasnęłam nie mniej przerażona jak on.

- Nie dam ci się zwieść. Chcesz odwrócić moją uwagę i zwiąć, gdzie pieprz rośnie! Znam te numery!

- Powoli odwróć głowę w prawo.

Talar uczynił to. Natychmiast rumieńce znikły mu z policzków.

- Ale przecież w Polsce nie ma Śmij - stęknął.

- Są. śmije zygzakowate - popatrzyłam na gada, który oddalił się nieco od drzewa. Miał

sercowatą głowę, opasłe cielsko nie przekraczało metra, ale nawet z daleka wzbudzało respekt.

Talar przełknął ślinę tak głośno, że pewnie słyszeli to mieszkańcy Krobielowic.

- To nie Śmija, tylko jakiś ten... no, zaskroniec! - jakby ucieszył się. - Nie ma zygzaka, a mówią że Śmija zygzakowata ma na grzbiecie białą linię.

- Nieprawda. Są te same całe czarne, jak ta.

- Lalka, skąd ty tyle wiesz o Śmijach?

- Boję się ich jak niczego na świecie!

- Umrę? - zapytał, jakby chodziło o zakup kilograma cebuli na bazarze.

- Nie, ale musisz natychmiast pojechać do szpitala. Dadzą ci antytoksynę i po paru dniach wszystko wróci do normy.

- Zastrzyk? Nie ma mowy! Poza tym nic mi nie jest!

- Lepiej pospiesz się, bo za godzinę może być niewesoło, a jak stracisz przytomność, nie dam rady dociągnąć cię do pałacu.

Talar podciągnął nogawkę i wyjął przymocowany na wysokości łydki sztylecik.

- Na westernach nacinają ranę - powiedział dumny z pomysłu.

- Zwariowałeś, człowieku? Pędź do pałacu, niech natychmiast odwiozą cię do szpitala. Ranę po ugryzieniu węży nie wolno naciąć! Tym bardziej wysysać jadu, bo wtedy trucizna przenika do krwi przez ranki w ustach i najczęściej kończy się na dwóch zatruciach: pokąsanego i ratującego!

Talar zawinął drugą nogawkę i przyjrzał się dwóm czerwonym punkcikom na skórze, z których wyciekło zaledwie kilka kropel krwi. Dotknął łydki i syknął.

- Do lekarza! - wrzasnęłam.

Chyba nareszcie dotarło do niego, że z jadem nie ma śartów.

- Dorwiemy cię jeszcze! - bąknął niewyraźnie, zanim pokuśtykał w stronę pałacu.

Teoretycznie zagrożenie minęło. Teoretycznie! Okazało się bowiem, że na polanie Talar był najmniejszym zagrożeniem. Podtrzymując się pnia, stanęłam w miejscu, gdzie konar był najgrubszy i wystawiłam głowę ponad liście.

Łączka była umiejscowiona w zakolu rzeki. Im bliżej wody, tym porastały ją wyższe trawy.

Ponad lustro wody wystawały szable tataraku i kilka osypujących się ze starości pałek. Południową część polany zajmowało niewielkie wzniesienie, tam trawę wypaliło słońce i właśnie tam dostrzegłam trzy zwinięte śmije, z których jedna miała biegnący wzdłuż ciała jasny wzorek, więc nie mogłam mieć już najmniejszych wątpliwości, że mam do czynienia z groźnym gatunkiem.

Pierwszy gad ukąsiwszy Talara, zniknął. Mógł czaić się w każdym zakątku łąki. Na ile śmij mogłam tu jeszcze natrafić, skoro cztery już się ujawniły? „Nigdy nie zejdem stąd z własnej woli!” -

pomyślałam.

Oceńłam trzeźwo sytuację. Sportowe buty były bezpieczniejsze niż sandały czy klapki, ale ponieważ kończyły się przed kostką niewiele minimalizowały ryzyko ukąszenia w razie spotkania z gadem. Spodnie, nie dość, że wykonane z lekkiej, przewiewnej tkaniny, kończyły się tuż za kolanem. W jedną stronę udało mi się bezpiecznie przebiec i to był cud! Ale cuda nie zdarzają się nazbyt często...

Ciągle było widno, więc mogłabym uważnie śledzić, co mam przed sobą i krok po kroku wydostać się do lasu. Mogłabym, gdyby trawa nie była tak gęsta i wysoka!

Gdyby udało mi się ułamać dostatecznie długą gałąź, mogłabym sprawdzać nią co jest przede mną zanim zrobiłabym jakikolwiek ruch. Mogłabym, gdyby nie paraliżujący strach na myśl o spotkaniu ze śmiją. Zawodowi łapacze węży używają specjalnych chwytaków do łapania gadów, ale świetnie znają zachowania zwierząt. A co ja bym zrobiła, natrafiwszy patykiem na śmiję? Ten scenariusz również odrzuciłam.

Niedawno w Internecie czytałam artykuł o śmijach w Polsce. W tej chwili nie byłam sobie w stanie przypomnieć, czy prowadzą one dzienny czy nocny tryb życia. Gdybym była pewna, że nocą wpełzają do gniazd i nie natrafie na nie, mogłabym uciec z drzewa po zapadnięciu zmierzchu. Ale jeśli uaktywniają się właśnie w nocy. „Nie zaryzykuję!” - pomyślałam ze strachem.

Do głowy przyszło mi jeszcze parę pomysłów, rezygnowałam z nich, bo obezwładniała mnie myśl o kontakcie z gadami. „Mam fobię” - pomyślałam.

Nie powinnam czekać na drzewie, a ktoś pojawi się na polanie, bo prawdopodobieństwo, że

ktokolwiek zawita w tej okolicy, było nikłe. A nawet jeśli ktoś zdecydowałby się na wizytę w węŜowisku, z całą pewnością byłby to Manuel z pistoletem!

Na powrót połoŜyłam się na konarze. Gdyby nie wrzynająca się w plecy kora, byłoby sielsko.

Ptaki szczebiotały, przy wodzie złociły się dzikie irysy. Wychyliłam się, zobaczyłam, Őe Őmija ze 30 wzorkiem na grzbiecie wpełza w trawę i stwierdziłam, Őe na konarze nie jest aŜ tak niewygodnie, Őebym nie mogła jeszcze trochę zagrzać na nim miejsca.

Kiedy słońce schowało się za drzewa, zrobiło się zimno. Ubrania mi juŜ wyschły, ale przez całe popołudnie byłam wystawiona na działanie palących promieni i teraz dostałam dreszczy. Jakby tego było mało, znad wody podniosła się mgła. Szybko dosięgła mnie wilgotnymi mackami.

Trzęsłam się i szczękałam zębami. „Chyba dostałam poraŜenia słonecznego” - skonstatowałam.

Zapadła noc. Zastanawiałam się, czy Talar dotarł do lekarza. Wiedziałam, Őe dorosły silny męŜczyzna, o ile nie jest uczulony na jad, nie umrze od ukąszenia Őmii zygzakowatej, ale mimo to martwiłam się.

Kiedy zaczął morzyć mnie sen, usiłowałam utrzymać powieki w ryzach, lecz na nic się to nie zdało - straciłam świadomość.

W półśnie słyszałam stukot kopyt i rŜenie konia. Czyjeś ręce mnie dosięgły. Przytuliłam się do sierści, która delikatnie kłuła mnie w policzek. Na drugim policzku poczułam chłód atlasu. Ktoś, kto chwycił mnie w pasie, Őebym nie spadła, miał na rękach sztywne rękawice z grubej skóry.

Podmuch powietrza wprawiał w ruch jakiś materiał, który trzepotał jak flaga na wietrze. Koń galopował, jeździec pochylił się, Őeby chronić mnie swym ciałem przed uderzeniami gałęzi.

Mogłabym przysiąc, Őe czuję, jak mięśnie zwierzęcia pracują pod skórą i jak w twarz łaskocze mnie jedwabista grzywa...

31

ROZDZIAŁ PIĄTY

PODEJRZENIA ZNAJOMYCH • CZY JA BREDZĘ? • NIEZWYKŁY PRZYJACIEL •

PRZYJAZD JACKA • BEZRADNA POLICJA I GENIALNY UMYSŁ MOJEGO BRATA •

WRACAMY PO FERRARI • GDZIE JEST MANUEL? • NAJWYŜSZY CZAS

ZAWIADOMIĆ PANA SAMOCHODZIKA • TELEGRAM I ZAPROSZENIE NIE DO

ODRZUCENIA • NIE POZNAJĘ ZOŜKI • DO CZEGO MAKS UŜYWA ZDJĘĆ? •

PRAWDZIWA TWARZ MANUELA FALCO

Ocknęłam się. Zanim otworzyłam oczy, otulił mnie aromat lawendy. Leżałam w czymś miękkim. Uniosłam powieki. Otulała mnie chłodna i miła w dotyku atlasowa pościel. Byłam w łóżku na poddaszu domu Teresy.

W przestrachu zerwałam się i usiadłam. Dotknęłam głowy, pomacałam włosy, poruszyłam palcami u stóp, a wreszcie uszczypnęłam się. Bolało, więc nie śniłam!

- Obudziła się! - zza zamkniętych drzwi dotarł mnie pisk dziecka.

Naraz w pokoju zameldował się komplet przyjaciół - Dorka z Olafem, Teresa, Maks i oczywiście bliźniaczki. Wpakowali się do pomieszczenia i zamilkli.

- O co chodzi? - zapytałam, usiłując uporządkować kompletny bałagan myśli, który miałam w głowie. I przede wszystkim wyznaczyć granicę pomiędzy jawą a snem. Czy to, co zapamiętałam z poprzedniego dnia, działo się naprawdę czy było wytworem mojej wyobraźni?

- Jeszcze nie czuje się dobrze - zawyrokowała Dorka.

- Co się stało?

- Ty się pytasz, co się stało? - podniósł głos Maks. Teresa położyła mu rękę na ramieniu, wtedy spuścił z tonu. - Znikasz na całą noc i jeszcze nas pytasz, co się stało?

- Oglądaliśmy krasnoludki - powiedziałam.

- Jakie krasnoludki? My też chcemy zobaczyć krasnoludki, pokażesz nam? - Tola złapała Dorkę za bluzę.

- We Wrocławiu. Potem pojechałaś na golf i ślad po tobie zaginął! - Maks wciąż wściekał się.

„Wcale nie jest z niego taki świetny facet. Strofuje mnie identycznie jak mój brat” - pomyślałam.

- Zostawcie nas samych - poprosił Maks. Wszyscy posłusznie wycofali się do holu. Mieli współczujące miny.

- Zośka, ja wiem, że ty obracasz się w tym całym show biznesie. Czekają na ciebie liczne pokusy, ale wczoraj przegięłaś. Nie wiem, na jakiej imprezie zabalowałaś i z kim, sądzę jednak, że posunęłaś się za daleko. O krok za daleko. Tylko nie wiem, czy ten krok miał postać tabletki, syplonego proszku czy kryształków. Nie będę się w to mieszał. Wiesz, że to świństwo mogło cię zabić?

Oprzytomniałam. Czyżby przyjaciel posądzał mnie o branie narkotyków? Myśli, że jestem jakąś

ćpunką, która wzięła zbyt wiele prochów i straciła świadomość?

- Tak, te Śmije mogły mnie zabić! - warknęłam.

- Wciąż jesteś pod wpływem tego, co zaŚyłaś. Chcę, Śebyś wiedziała, Śe wspólnie postanowiliśmy zawiadomić twojego brata. Jacek kupił bilet na pierwszy samolot i wkrótce tu będzie.

Chciał wyjść, ale mu nie pozwoliłam.

32

- Pojechałam do Krobielowic grać w golfa. Później Talar, kierowca Manuela rzucił się za mną w pogoń. Skoczyłam do wody i przepłynęłam dwa stawy. Uciekałam przez las, aŚ wbiegłam na olbrzymią polanę, gdzie wdrapałam się na drzewo. Pod tym drzewem Talara ukąsiła Śmija. Teren wokół pałacu to istne Śmijowisko! Talar pobiegł z powrotem do pałacu, a ja bałam się zejść z tego drzewa, bo...

- Zocha, co ty bredzisz! - usłyszałam głos brata.

- I z tego Śmijowiska, w środku nocy, przywiózł cię jakiś przebieraniec na koniu? - z drwiną w głosie zapytał Maks. - Miał kapelusz i płaszcz a la Zorro.

- Janek Walończyk! - wrzasnęliśmy oboje z Jackiem.

Nagle wszystko pojęłam. Nic z tego, co wydawało mi się snem, faktycznie snem nie było.

Człowiek na koniu był naszym starym znajomym! Wyczerpana nie rozpoznałam go. Wiedziałam jednak, Śe uratował mnie. Skąd niespodziewanie pojawił się na środku polany? Skąd wiedział, Śe potrzebuję pomocy? Nawet nie próbowałam odpowiedzieć sobie na te pytania. Nie na marne, Jacek nazywał Janka „panem pojawiając się i znikam”. Poznaliśmy go w Książu. Był niezwykle tajemniczym człowiekiem, potrafił pojawić się znikąd, jak cień, i równie szybko zniknąć. I co najważniejsze - posiadał walońską księgę z zaklęciami. Początkowo śmiałam się z tego dziwaka, choć zawsze wzbudzał we mnie lęk, wręcz strach, ale coraz bardziej byłam zdolna uwierzyć w jego magiczne zdolności...

- Stary, to nie Zośka przesadziła z narkotykami, tylko ty ze ślepymi oskarŜeniami. Moja siostra brzydzi się prochami! Znam ją od dziecka i widzę, Śe jest w zupełnie normalnym stanie. O

ile w normalnym stanie moŜna być po nocy spędzonej na drzewie - stwierdził Jacek i zwrócił się do mnie z przekąsem. - W sumie, siostrzyczko, to chyba przyzwyczyłaś się juŜ do podobnych sytuacji? Lubisz przesiedzieć sobie noc w lochu albo podziemnych tunelach.

- Daj spokój, brachu. Do tego nie da się przyzwycząić.

Roześmialiśmy się oboje, a Maks gapił się na nas, jakbyśmy byli niespełna rozumu.

- Jeśli chcesz zadawać się z moją siostrą, musisz brać poprawkę na to, Śe ma niesłychany dar

pakowania się w niewesołe sytuacje. Zresztą, prędzej czy później ciebie też wciągnie w coś, co zabawne nie będzie. Ale zapamiętaj jedno - Zośka nie bajdurzy!

- W takim razie niech zezna, z jakiego powodu Manuel miałby ją gonić?

- Bo w jego bagażniku odkryłam skrzynkę wypełnioną lampkami oliwnymi. Takimi samymi jak ta, która należała do ciotki Adeli!

- A nie mówiłem, że to cenny przedmiot? - powiedział Maks, jakby zapomniał, jaką przykrość sprawił mi przed chwilą.

- Mam ochotę na jajecznicę ze szczypiozem - powiedziałam.

- Nie ma szczypioru.

- To idź poszukaj do ogródka albo poproś od sąsiadów - zakomenderował Jacek zabawnym tonem.

Maks odparł, że usmaży mi tę jajecznicę w goście przeprosin i poszedł upolować zieleninę.

- Jacek, tak się cieszę, że jesteś!

Przytuliłam się do brata najmocniej, jak potrafiłam. Byliśmy dorośli, ale oboje potrzebowaliśmy tego raz na jakiś czas. Potem Jacek odsunął się ode mnie i przycupnął na drugim końcu Łódzka. Angielski klimat najwyraźniej nie przysłużył się jego urodzie. Miał poszarzałą cerę i zmęczone oczy. A może to przez nagłą podróż? Wiedziałam jednak, że gdy odpocznie, odzyska tak charakterystyczny dla niego, szarmancki błysk w oczach. Zawadiacka iskra w spojrzeniu przyciągała do mojego brata liczne kobiety, niektóre sama musiałam odprawiać z kwitkiem, kiedy 33

Jacek uznawał, że znajomość chce zakończyć w trybie ekspresowym. Co prawda miał silny charakter, który mimo wszystko w starciu z urokiem płci pięknej, topniał jak kostki lodu wystawione na słońce.

- Przydałoby ci się trochę słońca - mruknęłam po chwili zamyślenia.

- Co racja, to racja. Pogoda była typowo angielska.

Wyobraziłam sobie zimny wieczór i wilgotną mgłę przenikającą mi ubranie. Wstrząsnął mnie lekki dreszcz.

- W co ty się znowu wpakowałaś?

Zdałam bratu dokładną relację z wydarzeń minionych dni.

- Mam wrażenie, że coś jeszcze się zmieniło.

- Włosy - odpowiedziałam, starając się zachować kamienną twarz. Wewnątrz drżałam ze śmiechu. Mój brat był mężczyzną w każdym calu. Niemal że nie zauważył drastycznej zmiany barwy moich

pukli z czerni na płomienną miedź.

- Faktycznie. Świetnie wyglądasz w tym kolorze. Ej, posmutniałaś.

- Oni naprawdę myśleli, że ja... że wzięłam...

- Tak, ale nie myśl już o tym. Dobrze, że przyleciałem, bo widzę, że mamy do czynienia z grubszą aferą. Najbardziej zaskoczyło mnie pojawienie się Janka. Daje do myślenia, bo przecież do tej pory nie rozszyfrowaliśmy, jaką rolę tak naprawdę odegrał w Książu.

- Niezwykły człowiek, fascynujący. Najgorsze jest to, że bardzo chciałabym mu podziękować, ale nie mam pomysłu, gdzie go szukać.

- Pewnie rozłożył obozowisko gdzieś w okolicy. Może miejscowi będą wiedzieli coś więcej.

Popytamy.

- Dzwonimy do stryja?

- Najpierw zbierzmy więcej konkretów, zrobmy burzę mózgów.

Zapach jajecznicy rozniósł się po całym domu, nic więc dziwnego, że do posiłku zasiadł

komplet letników. Przedstawiłam brata, który został przyjęty z entuzjazmem. Teresa zaproponowała mu nawet ulokowanie się w salonie, a Jacek ucieszył się, że może zostać z nami.

- Wies, to ja nawet mogę na razie zostać twoją nazeconą - stwierdziła Tola, ukazując uśmiech zębony o górne jedyki. - Olka niech sobie weźmie Maksa.

Dobiegała siedemnasta. Na dworze lało jak w porze deszczowej w lesie równikowym.

Dziewczynki z pomocą Dorki robiły wianki z papieru śniadaniowego. Cięły go na kółka, sklejały kwiatki i przyczepiały do obręczy z drutu.

- To będą wianki ślubne - wyjaśniły, kiedy zaczepił je Olaf, ale nie chciały mu zdradzić ani miejsca, ani daty uroczystości, a tym bardziej nazwisk narzeczonych.

- Może być? - zapytała Teresa, wyciągając z komody muślinową firankę. - Mam nadzieję, że ciotka Adela wybaczy nam przerobienie jej najlepszych firan na welony.

Wtem ktoś zastukał w szybę. Na dworze w strugach deszczu stał znajomy policjant. Maks wpuścił go do środka.

- Witam państwa! Pani Tereso, przepraszam, że przeszkadzam, ale musi pani podpisać zeznania.

Teresa uczyniła to, o co prosił ją mundurowy, po czym zapytała:

- Ustaliliście coś w związku z tymi włamaniami?

- Nic. Kompletnie nic - zwiesił głowę. - Minie trochę czasu i postępowanie prawdopodobnie zostanie umorzone. Nie udało nam się zdobyć nawet najbardziej wątpliwego portretu 34

pamięciowego, Śadna z rodzin mieszkających w domach, do których włamano się, nie przyłapała sprawców na gorącym uczynku. Nie byłoby to niczym wyjątkowym, gdyby nie to, Śe tak naprawdę Śadna rodzina nie zgłosiła kradzieŜy. Nic teŚ nikomu się nie stało. Stąd teŚ nasz problem - rozłoŜył

ręce. - Nie znamy motywu, jakim kierowali się sprawcy. Nie mamy najmniejszych podejrzeń. Ktoś włamuje się do starych domów, bo wszystkie postawiono jeszcze przed pierwszą wojną światową, przeszukuje strychy i szopy, a w domach bieda piszczy po kątach...

Policjant włoŜył dokumenty do aktówki i poŚegnał się.

- Stare domy, stare szopy i... stare lampy! - krzyknął Jacek, zaraz po tym jak mundurowy opuścił dom. - Manuel, oczywiście nie swoimi rękami, Śeby ich nie pobrudzić, postanowił zebrać kolekcję lamp. Lamp, które ktoś przerobił ze staropolskich karafinek.

Brat odwrócił się i spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Bez słów uświadomiliśmy sobie, Śe oto wkroczyliśmy na drogę przygody.

- Dlaczego Manuelowi zaleŜało na lampach? - wyszeptał mój brat.

- Dlaczego ciotka Adela za Śycia nie spuszczała lampy z oka i miała ją przy sobie nawet w domu starców? - odparłam zapytaniem.

- Skąd Manuel wiedział, gdzie ich szukać?

„Czy od początku zdawał sobie sprawę z tego, kim jestem i gdzie mieszkam? ZaleŜało mu na lampie czy nasza znajomość nie miała nic wspólnego z kradzieŜami?” - zastanowiłam się.

Straciłam humor. Uciekłam do kuchni pod pretekstem zrobienia kawy, ale ponieważŚ

znalazłam tabliczkę gorzkiej czekolady, mleko i słodką śmietankę, postanowiłam przyrządzić gorącą czekoladę. „MoŚe tym przysmakiem uda mi się zaczarować bliźniaczki?” - pomyślałam.

Mleko ze śmietanką i cukrem bulgotało w rondelku i właśnie dodawałam do niego rozpuszczoną w mikrofalówce brązową masę, kiedy wszedł Maks. Przymknął drzwi. Nie odwróciłam się, ale rozpoznałam go po sposobie chodzenia.

- Przepraszam - powiedziałam bardzo cicho. - Przepraszam za to, jak cię potraktowałam.

- Nie przepraszaj. Nie mamy wobec siebie Śadnych zobowiązań.

Przytulił mnie, nic więcej nie mówiąc.

- Ferrari zostało pod pałacem?

- Jeszcze to! Musimy jakoś je stamtąd zabrać.

- Jedźmy razem - niepostrzeżenie pojawił się Jacek. Wyłączył gaz pod czekoladą. - Całej naszej trójce nic nie zrobią. Pościszysz auto od Teresy?

Kwadrans później znaleźliśmy się pod krobielowickim pałacem.

- Powtórzmy plan. Podjeżdżamy, Jacek szybko przesiada się do ferrari i błyskawicznie wiejemy.

- Chyba nie mamy się po co spieszyć.

- Zośka, co ty gadasz? - zirytował się Maks. - Mówiłaś, że mają broń.

- Tak, ale właśnie sobie coś przypomniałam.

Maks zahamował i razem z Jackiem wychylili się z siedzeń, kierując wzrok na mnie.

- Znalazłam ostatnio u Manuela bilet lotniczy na drugi sierpnia, na pierwszą w nocy, z Berlina do Mexico City.

- Dopiero teraz to mówisz? - mój brat zacisnął zęby.

- Dzisiaj jest dopiero pierwszy - Maks nie pojął powagi sytuacji.

- Z Berlina ma wylecieć jutro o pierwszej w nocy, tak? - Jacek przytrzymał go spojrzeniem.

- No tak.

- A teraz mamy pierwszy sierpnia, dziewiętnastą tak?

35

Maks, na znak skruchy, pacnął się dłonią w czoło.

- Do pierwszej Manuel musi być w Berlinie.

- Najpóźniej dziś do dwunastej powinien pojawić się na lotnisku na odprawie.

Dotoczyliśmy się do mojego samochodu. Na pałacowym podjeździe stał kremowy cadillac.

- Nie pojechał autem. To jego wóz.

- Lotnisko we Wrocławiu! - stwierdził Jacek.

- Wracaj do domu! - rozkazałam Maksowi, rozpinając pas. Kiedy wsiałam do ferrari, Jacek zdążył już zapuścić silnik.

Lotnisko było usytuowane w zachodniej części miasta, a my mieliśmy przekroczyć granicę miasta właśnie od zachodu. Wydawało się, że w porcie lotniczym znajdziemy się nie później jak za dwadzieścia minut, ale tak szybkie dotarcie do celu uniemożliwiły nam korki. Na miejscu byliśmy po dwudziestej. Jacek dysząc dotarł do punktu informacyjnego.

- Dzień dobry. Czy odlatuje dziś samolot do Berlina?

- Przykro mi, spóźnił się pan. Od kwadransa samolot jest w powietrzu.

- A następny?

- Następny dopiero jutro.

- Mogłaby pani sprawdzić, czy na pokładzie był mój kuzyn? Manuel... - zaciął się. - Manuel...

- Falco - w porę odpowiedziałam.

- Przykro mi, ale nie mogę państwu udzielić takiej informacji.

- Ale to mój kuzyn!

- Nie potrafię pomóc - odparła i automatycznie zajęła się następnym klientem.

Znaleźliśmy tablicę z terminami odlotów.

- Za pół godziny jest lot do Warszawy. Może stamtąd damy radę na czas dostać się do Berlina

- kombinował Jacek.

- Nawet jeśli zdążylibyśmy pojawić się w Berlinie, zanim Manuel odleci do Meksyku, co nam to da? Niczego nie wskóramy, rozumiesz? Gdybyśmy przynajmniej mieli pewność, że nielegalnie próbuje wywieźć za granicę lampy, można by próbować wytłumaczyć coś policji. Ale my nawet nie wiemy, czy zabrał te lampy ze sobą! Może skrzynka stoi bezpiecznie w pałacu?

- To prawda. Musimy dowiedzieć się, gdzie się znajdują. I dlaczego są aż tak wartościowe, że gdy je zobaczyłaś, Manuel zmienił się z twojego przyjaciela we wroga.

- Stryj?

- Najwystęszy czas zawiadomić Pana Samochodzika.

Przebywałem właśnie na zachodzie Polski, w Boleszkowie. Telefon komórkowy zostawiłem w domu, moja sekretarka wiedziała, że jedynie w pilnych wypadkach może przesyłać mi listy bądź

telegramy do znajomych, u których zatrzymałem się na krótki wakacyjny wypoczynek. Gospodarze dysponowali wygodnymi pokojami dla turystów, ponieważ prowadzili pensjonat nad brzegiem jeziora. Bardzo zaniepokoił mnie telegram od siostrzeńców. Musieli niezwykłym sposobem

przekonać sekretarkę, by uSyczyła im adresu, albowiem zakazałem jej naruszać spokój mego wypoczynku. Oto treść wiadomości:

Stryju, natychmiast odezwij się do nas! WaŜ ne! Zoś ka i Jacek.

Kochane dzieciaki! Nawet nie napisały numeru telefonu, a ja nie miałem przy sobie telefonu ze spisem. Na szczęście przypomniałem sobie łódzki telefon rodziców Zośki i Jacka i dopiero od 36 nich uzyskałem numer Jacka.

Wysłuchałem rodzeństwa, choć nie było to proste, bo przekrzykiwali się, bezustannie wrywając sobie słuchawkę. Powiedziałem, Őe muszę przemyśleć to, co usłyszałem i Őe oddzwonię najszybciej, jak będzie to moŜliwe.

Przyjechawszy do znajomych obiecałem sobie, Őe w Őadnym wypadku nikomu nie uda się mnie odciągnąć od odpoczynku. Najpilniejsze sprawy słuŜbowe miały poczekać, aŜ wrócę do Warszawy. Wówczas nie brałem pod uwagę tego, Őe mogą potrzebować mnie Zosia i Jacek. Nie mogłem zawieść ich. NaleŜało choćby minimalnie rozeznaczyć się w sprawie, by przynajmniej uspokoić ich, a i swoje sumienie.

Do pokoju zapukała Haneczka - gospodyni.

- Tomaszu, dzwoni Jacek.

Zszedłem do przedpokoju, gdzie był telefon.

- Zośka kąpie się. Stryju, tu dzieją się rzeczy prawie paranormalne. Te lampy, które Zocha znalazła w bagaŜniku Manuela są podobno sklecone z jakichs siedemnasto- czy osiemnastowiecznych karafek. Oglądałem ów jedyny egzemplarz, który jest w posiadaniu Teresy, czyli ciotki Maksa, to znaczy tego kolegi, z którym przyjechała tu Zośka...

- Do rzeczy.

- Nic nie zwróciło mojej uwagi. Normalna lampka, nawet moŜna ją odpalić i wszystko działa

- zrobił pauzę. - Rozmawiałem z Teresą. Serdecznie zaprasza stryja, bo w salonie moŜe spać jeszcze jedna osoba.

- Jeszcze jedna? - zaśmiałem się. - Ilu juŜ tam was nocuje?

- Tylko ja. To znaczy jeszcze nie spałem w salonie, ale dziś będę pierwszy raz... Postanowił stryj coś?

- Za pół godziny wyjadę z BoŜkowa. Powiniennem być pod Wrocławiem około piątej.

Odbierzecie mnie z Dworca Głównego?

- Będziemy czekać.

Spakowałem kilka ubrań, które wzięłem ze sobą do Boškowa i ostatni raz odsłoniłem firankę, by popatrzeć na granatowo-burą toń jeziora. śal było wyjeŚdŚać po zaledwie czterech dniach odpoczynku. Gospodyni raczyła mnie domowymi przysmakami, co wieczór siadaliśmy z jej męŚem przy kominku i zajadaliśmy się wybornym domowym ciastem, wesoło gawędząc. CóŚ, przynajmniej nie musiałem wracać do miasta, przenosiłem się jedynie na inną wieś, podobno dom pani Teresy był otoczony bujnym ogrodem i pięknym sadem.

Haneczka odwiozła mnie swoim cinquecento na dworzec kolejowy, na poŚegnanie wcisnęła do rąk pakunek z ciastem.

- Na drugie śniadanie. Powodzenia, Tomaszu. I mamy nadzieję, Śe jak załatwisz swoje sprawy, przyjedziesz do nas jeszcze na parę dni, choćby jesienią.

Podziękowałem i wsiałem do pociągu. Dzięki uprzejmości kobiety, zdąŚyłem na wcześniejszy kurs, niŚ planowałem. Kiedy pojazd zwolnił, wjechawszy do miasta, wydobywałem z woreczka ostatnie kawałki kruszonki. Zośka z Jackiem mieli pojawić się na dworcu za godzinę.

Torba, którą miałem przy sobie, była lekka, więc postanowiłem przespacerować się po mieście. Po opuszczeniu dworca, skręciłem w lewo. Niedługo później zostawiłem za sobą teatr muzyczny Capitol i znalazłem się na skrzyŚowaniu z ulicą Kościuszki. Pod arkadami znalazłem księgarnię. W

dziale krajoznawczym przekartkowałem przewodniki po Dolnym Śląsku, bo nie mogłem przypomnieć sobie, z czym kojarzy mi się nazwa Krobielowice. Wystarczyło jedno nazwisko, by rozjaśnić umysł.

37

- Blücher... - wyszeptałem, chyba zbyt głośno, bo momentalnie obok pojawiła się ekspedientka.

OdłoŚyłem ksiąŚkę na półkę i wyszedłem. Po drugiej stronie ulicy kupiłem sobie loda z automatu, takiego tradycyjnego jak w PRL-u. Przeszedłem obok kiosku z tytoniem i ucieszyłem się na widok EMPiK-u. Zostało mi pół godziny, więc czym prędzej odnalazłem regał z ksiąŚkami historycznymi i przejrzałem indeksy z nazwiskami w kilku z nich. Wybrałem biografię Napoleona w czarnej okładce, zapłaciłem i na skróty wróciłem na dworzec.

Jacek zajął ławkę tuŚ przy wejściu na peron. Poznałem go od razu, choć siostrzeniec za kaŚdym razem, kiedy go widziałem, stawał się coraz bardziej męski. Nie był juŚ niesfornym nastolatkiem buntującym się przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

- Zośka nie przyjechała? - zapytałem z biegu.

- Jest tam.

- Nie widzę jej.

- Biega wzdłuŚ czwartego wagonu.

Jacek dostrzegłszy, że wciąż nie mogę zlokalizować siostrzenicy, dodał:

- Jest ruda jak wiewióra.

Nareszcie Zośka zauważyła mnie i podbiegła, witając się wylewnie. Zapytałem o zdrowie rodziców rodzeństwa, lecz siostrzenica sprawiała wrażenie, jakby na niczym nie mogła się skupić.

Jej zazwyczaj bystre spojrzenie było niespokojne, brwi nabrały ostrzejszego wyrazu. Ale nawet nękana kłopotami, nie traciła naturalnego wdzięku. Była młodą kobietą o znakomicie proporcjonalnej sylwetce. Wybierała ubrania podkreślające figurę. Dziś miała na sobie obcisłe dżinsy przed kolano, malinowoczerwony sweterek i klapki na obcasach zdecydowanie zbyt wysokich, by nazwać je praktycznymi.

Uścisnąłem ją. Miałem wrażenie, że drży, ale po chwili uspokoiła się całkowicie.

Niewiele ponad godzinę później omawialiśmy ze szczegółami wydarzenia, które zaszły w trakcie pobytu Zośki pod Wrocławiem.

- Przydałoby mi się zdjęcie Falco - mruknąłem.

Zośka rozłożyła bezradnie ręce. Maks natomiast pobiegł na piętro, skąd wrócił ze średniej jakości zdjęciem, robionym przy pomocy telefonu komórkowego, wydrukowanym na kartce A4.

Wzięłem je do ręki. Twarz Manuela usiana była mnóstwem piegów. Dotknąłem ich i okazało się, że są to miniaturowe dziurki.

- Używałaś tego jako tarczy do gry w strzałki? - zapytała siostrzenica, nie ukrywając niezadowolenia. Odpowiedź była zbędna, bo jej przyjaciel natychmiast spłaszczył na twarzy.

- Tak myślałem. Manuel Falco we własnej osobie.

- Prosimy o szersze wytłumaczenie, panie Tomaszu - powiedziała Teresa.

- Manuel Falco, jeden z tych przestępców, którzy są na tyle sprytni, że policja przez długie lata nie może udowodnić im winy. Jest tak pewny siebie, że nawet używa prawdziwego nazwiska i prawdziwego paszportu, granice przekracza legalnie. Pochodzi z Ameryki Południowej i jak zapewne domyślacie się, jest bajecznie bogaty...

- Bajecznie... - westchnęła Zośka.

- Interesuje się przedmiotami niezwykle cennymi, najlepiej starożytnymi. Empirowe łóżko albo secesyjne krzesło nie zaciekawia go. Jest groźny. Nie tylko dlatego, że pracuje dla niego sztab ludzi gotowych na każde poświęcenie, ale przede wszystkim ze względu na swą wiedzę. Mamy do czynienia z pasjonatem historii, jej najbardziej mrocznych zakamarków. Falco jest ceniony w świecie naukowym za archeologiczne odkrycia w Kambodży. Na arenie międzynarodowej 38

podziwiany jest za wiedzę, którą wniósł do tematu o kulturach prekolumbijskich. Poznałem go kilka

lat temu na sympozjum w Londynie, gdzie miał bardzo interesujący wykład poświęcony Majom. To przeciwnik inteligentny i otoczony murem milczenia. Jego plany znają jedynie zaufani współpracownicy. Policji do tej pory nie udało się zwerbować Śadnego z nich.

- Co tej klasy przestępca robił na jakiejś polskiej wsi? - odezwał się Maks.

- Mieszkał w pałacu - odburknął Jacek.

- Tego musimy się dowiedzieć. I jeszcze wszystkiego o lampach. Jak wspomniałem, Falco nie zajmuje się błahostkami, lampy muszą być szczególnie cenne.

Poprosiłem, aby zostawili mnie samego. Przy pomocy poŚyczonego od Jacka telefonu porozmawiałem z osobami, które mogły udzielić mi waŚnych dla sprawy informacji. I tak po paru minutach oddzwonił mój przyjaciel ze słuŚb celnych, przekazując mi zasadnicze wieŚci. Później dyskutowałem równieŚ z znajomą zajmującą się archeologią. I tym razem dostałem dobre wieŚci.

- Pakujcie się! - powiedziałem, wchodząc do kuchni. - Zośka, Maks, Jacek! Jutro o ósmej rano macie samolot do miasta Meksyk. O szóstej trzydzieŚci w hali odlotów na Okęciu będzie na was czekała Sabina Grydoń. Ma ona nadzorować w Meksyku pakowanie eksponatów, które trafią do Warszawy na wystawę poświęconą historii konkwisty. Polecicie z nią w ramach praktyk studenckich.

- Ale my przecieŚ...

- Nie pytajcie, jak to załatwiłem. Powiedzmy, Śe odpowiednie osoby uznały, Śe moŚna wam zaufać, ze względu na waszą dotychczasową pomoc przy odkryciach waŚnych dla kultury.

OczywiŚcie, praktyki sà jedynie przykrywkà faktycznie zajmiecie się Manuelem Falco. Musimy mieć jednak absolutnà jasnoŚć w pewnej sprawie. OtóŚ, jeśli sytuacja, w której znaleźlibyście się na miejscu, budziłaby wàtpliwoŚci biorąc pod uwagè bezpieczeŃstwo lub zgodnoŚć z prawem, macie natychmiast przerwać akcjè. Dostaniecie takŚe finansowe wsparcie, nazwijmy je stypendium na pobyt i wyŚywienie. Skromne, bo skromne, ale zawsze coŚ! Pamiętajcie, to juŚ nie dziecinne igraszki, ale najpowaŚniejsze zlecenie z ministerstwa.

- Proszè pana... - zaczął Maks, a ja od razu wiedziałem, co chciał powiedzieć.

- Wiem, Śe nie masz doŚwiadczenia w rozwiàzywaniu zagadek detektywistycznych, ale wierzè, Śe jesteś rozsàdny m człowiekiem i pomoŚesz Jackowi chronić Zosienkè.

- Stryju, ja nie jestem mickiewiczowskà „wàtlà istotà” ani „puchem marnym”...

- Tylko Larà Croft? - podchwycił Jacek.

- Bez obaw, potrafiè zadbać o siebie!

- I dlatego Janek WaloŃczyk musiał w środku nocy ratować ciè na wèŚowisku?

- Hurra! - klasnął Maks. - Lecè do Ameryki Południowej!

- To nici ze ślubu - zapiszczał dziecienny głosik. Obok stołu pojawiła się rezolutna dziewczynka. Wokół pasa miała umarszczone prześcieradło tak, że ciągnęła za sobą długi ogon białego materiału.

- A to pech! - tupnęła drugie dziecko.

- Ola, Tola, przywitajcie się! - rozkazał Maks.

Nadbiegła Teresa.

- Nie nadaję się za pomysłami bliźniaczek! Rozmówię się z ich matką jak tylko wróci. I nigdy więcej takich atrakcji! - wcisnęła dzieciom po bukiecie sztucznych róż do rąk. - Idźcie robić próbę generalną!

- Kiedy zamierzają urządzić ten ślub? - zapytał Jacek, kiedy dzieci znikły w sąsiednim pokoju.

39

- Jutro o dwunastej. Obecność obowiązkowa.

- W takim razie nasze młode damy będą miały niespodziankę, a raczej deficyt panów młodych - zachichotał Maks. - Jutro rano lecimy do Meksyku.

- Uu la la!

- Gdzie są Dorka z Olafem? - zapytała Zośka.

- Malują pokój na poddaszu. Przynajmniej taki mieli zamiar.

Chrząknąłem, ponieważ mieliśmy jeszcze wiele niecierpiących zwłoki spraw do omówienia i ani chwili do stracenia.

- W tajemnicy udało mi się dowiedzieć, że Falco nie wywiózł lamp z Polski. Chyba że przemyciłby je, ale biorąc pod uwagę ich ilość, musiałyby zajmować sporo miejsca, więc myślę, że zostały w pałacu. Jutro pójdę tam i obejrzę je, co prawda nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale zrobię to. Najwyżej poproszę o pomoc waszych przyjaciół. Mam nadzieję, że do świtu skończą z tym malowaniem.

- O ile w ogóle zaczęli - Teresa puściła oko do Maksa.

Dyskutowaliśmy jeszcze przez godzinę, potem rozpoczęło się „wielkie pakowanie”.

40

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ZIELONE MEKSYKAŃSKIE TAKSÓWKI • DYŚURY W KAWIARNI • PIĘKNA VICTORIA CASSIDY • CO ZWIĘCZYŁOBY DROGĘ FALCO DO SŁAWY? • MAŁA ZMIANA

ZWIERZĄTKA DOMOWE Z OSTRYMI ZĘBISKAMI • CYLINDRYCZNA BUDOWLA PRZY ZAKRĘCIE • ZWYCIĘŻYŁ NAPOLEONA! • GDZIE ZNAJDUJĄ SIĘ LAMPY?

Zapakowaliśmy się do taksówki, w której brakowało siedzenia przedniego pasaŜera. Zielono-białe samochody, będące jednym z najbardziej charakterystycznych elementów Meksyku, wyglądały ślicznie tylko na zdjęciach w kolorowych przewodnikach. W rzeczywistości taksówki, wśród których przeważającą część stanowiły garbusy, były zdezelowanymi wrakami z rdzewiejącą karoserią. Torby upchaliśmy w bagażniku, sami zajęliśmy tylną kanapę. Pasów bezpieczeństwa nie przewidziano. Zanim Jacek zdąŜył zamknąć drzwi od strony pasaŜera, kierowca nachylił się, złapał za linkę przyczepioną do klamki i szarpnął z całej siły, aŜ zatrzęsło kabiną. Drzwi zamknęły się z hukiem.

Nieważne, jak prezentowały się auta, istotne, Ŝe były najbezpieczniejszym środkiem komunikacji. Przemieszczanie się autobusami, metrem, a tym bardziej piechotą, mogło skończyć się, w najlepszym przypadku, utratą wszystkich cennych rzeczy. Miasto Meksyk było bowiem nie tylko najludniejszą osadą na świecie, ale równieŜ jedną z najmniejbezpiecznych. Przestępczość kwitła, zarówno ta drobna - uliczna - jak i zorganizowana.

Pojechaliśmy do hotelu mieszczącego się w pobliŜu Centro Históricu. Bezpośrednio za nami podąŜała druga taksówka z panią Grydoń i dwiema studentkami, które - w przeciwieństwie do nas - były na najprawdziwszych praktykach.

- Obejrzymy miasto? - zapytałam panią Sabinę, gdy rozlokowaliśmy się w pokojach.

- My tak - wskazała na siebie i swoje podopieczne. - Wy zaczekacie na kogoś w kawiarni na parterze.

- Na kogo? - zapytałam, lustrując koleŜankę stryja. Była ubrana w staromodny kostium ze spódnicą sięgającą pół łydki i sznurowane pantofle na płaskiej podeszwie. Szare ubranie, ziemista cera i brak makijaŜu, a ponadto te okropne buty, czyniły z pani Grydoń kobietę mało atrakcyjną. Na szczęście nieciekawą powierzchowność nie szła w parze ze wspaniałym charakterem kobiety, pełnej ciepła i niesłuchanie uczynnej. Była teŜ wybitną specjalistką w swej dziedzinie.

- Nie wiem. Tomasz w związku z waszym przylotem do Meksyku jest wyjątkowo tajemniczy.

Długa podróŜ samolotem przez kilka stref czasowych dała się nam we znaki i choć drzemaliśmy na pokładzie maszyny, teraz padaliśmy z nóg. PoniewaŜ brakowało nam informacji, kiedy w kawiarni pojawi się osoba, na którą przyszło czekać, wyznaczyliśmy dyŜury dwuosobowe tak, by jedno z nas mogło spać. Nie czułam się najgorzej, więc wzięłam pierwszy dyŜur z Maksem.

Z naszej trójki byłam najbardziej Ŝwawa. Instynktownie wiedziałam, Ŝe zbliŜa się przygoda. Jednak po godzinie i mnie ogarnęło znuŜenie. Nieustannie ziewałam.

- Powietrze jest rozrzedzone i bardzo zanieczyszczone. Organizm musi mieć czas, by przystosować się do nowych warunków - stwierdził Maks i ziewnął.

Spod opadających powiek ledwie zauwaŜyłam kobietę, która zbliŜyła się do nas. Była zjawiskowo piękna. Miała strzelistą sylwetkę. Twarz otaczały gładkie włosy, spływające na pół

pleców, koloru włoskiego espresso. Idealnie uzupełniały śniadą karnację. ZałoŜyła garnitur o męskim kroju. Na klapie marynarki zauwaŜyłam złotą broszę wysadzaną turkusami. Miała kształt 41 tarczy przeciętej czterema strzałami.

- Witam! Jestem Victoria Cassidy - powiedziała po angielsku.

- Przepraszam, nie bardzo wiemy, co powinniśmy powiedzieć - Maks rozłoŜył ręce.

Wyprostował się i całkowicie rozbudził. Oczy mu błyszcząły, a i włosy były jakby mniej oklapnięte.

- Nic nie musicie mówić. Na razie wysłuchajcie mnie. Œeby was uspokoić, zacznę od tego, Œe przysłał mnie tu Tomasz. Wasz stryj zadzwonił do mnie dość niespodziewanie, bo od dwóch lat w ogóle się nie kontaktowaliśmy i zrelacjonował mi to, co zaszło w Polsce. Rozumiecie mnie?

Kiwnęliśmy głowami na znak, Œe język angielski nie stanowi dla nas bariery komunikacyjnej.

Kelner przyniósł napoje. Zamówiliśmy cztery soki pomarańczowe, ale tylko Cassidy dostała picie w pucharku ozdobionym owocami i miniaturową parasolką. Tymczasem nasza dwójka musiała zadowolić się zwykłymi szklankami. Byłam przekonana, Œe nastąpiła pomyłka, ale nic takiego się nie stało. Wymieniłam z Maksem ukradkowe spojrzenia.

- Tomasz poznałam parę lat temu na sympozjum w Anglii. Nigdy bezpośrednio ze sobą nie współpracowaliśmy, ale kilkakrotnie pomagaliśmy sobie. Mieliśmy okazję być razem na jednym z odczytów Manuela Falco. JuŜ wtedy wyczułam, Œe nie zaleŜy mu na ocaleniu pozostałości staroŜytnego Œwiata dla potomnych, ale na sławie.

- A na bogactwie? - zapytałam.

- Manuel juŜ jest bogaty. Bajecznie bogaty. Teraz chce zdobyć sławę i uznanie Œwiata naukowego.

- Stryj mówił, Œe Falco poczynił jakieś znaczne odkrycia, za które w Œrodowisku specjalistów jest ceniony.

- Słusznie powiedziałaś. Znają go wyłącznie naukowcy, a on chce być...

- Komercyjnie popularny? - wtrącił Maks.

- Mniej więcej.

- I do tego potrzebne mu są jakieś stare lampy? - zgubiłam wątek.

- Jeszcze nie wiem, dlaczego Manuel zainteresował się lampami. Tomasz ma nad tym pracować.

- Co jest potrzebne Manuelowi do zdobycia międzynarodowej sławy?

- Największa i ciągle nieodkryta tajemnica prekolumbijskiego świata.

Jak wryci patrzyliśmy na Victorię.

- Eldorado - wyszeptwała, jakby bała się, że naruszy mistyczną świętość tego słowa.

- Legendarne Złote Miasto - powiedziałam równie cicho.

- Nie ma pewności, że Eldorado istnieje - stwierdził Maks.

- Eldorado kusiło wielu. Niejeden człowiek w pogoni za nieziszczonym marzeniem stracił

życie, ponieważ dostęp do mitycznej stolicy Inków strzeże dżungla. Jest zachłanna i niedostępna, a co najważniejsze na opisujących ją mapach, pomimo techniki XXI wieku, wciąż pozostają białe plamy. Niektóre obszary południowoamerykańskiego buszu są dzisiaj dokładnie taką samą zagadką, jaką były, kiedy zobaczyły je oczy pierwszego białego człowieka.

- Też chciałabyś zlokalizować Eldorado? - zapytałam.

Nie odpowiedziała. Dopiliśmy sok i wtedy skinęła na mnie.

- Jedziemy na zakupy. A ty, Maks, wracaj do pokoju.

Nie do końca ufałam nowo poznanej kobiecie, ale wsiadłam z nią do auta. Przemierzałyśmy przecznice, a Victoria zatrzymała się obok gigantycznej galerii handlowej. Nie poszłyśmy jednak do niej, wybierając sklepik po drugiej stronie ulicy. Już przy wejściu zachwycała mnie wielość

barw, które były z każdego regału. A to bele ze skrzącą się taftą, a to fantazyjne koronki, delikatne jak mgła tiule we wszystkich kolorach tęczy, a nawet złociste i srebrzyste. Spod sufitu spływały kaskady piór: pomarańczowych, seledynowych i chabrowych. W gablotach połyskiwały perły i kryształki, cekiny i koraliki. Byłyśmy w sklepie z artykułami dla tancerzy.

- Po co mnie tu przywiozłaś?

- Masz piękne włosy. Ale musisz je zmienić, bo widać je na kilometr - zdjęła z półki pudełko z czarną farbą do włosów.

- Mam jakiś wybór?

- Możesz zaszyć się w hotelu i nie wychylać nawet czubka nosa.

- Meksyk jest ogromnym miastem. Jedna ruda dziewczyna nie zwróci niczyjej uwagi.

- Środowisko naukowców, z którym na pewno zetknemy się, jest małe. Nie będziemy ryzykować ewentualnego zdemaskowania.

Wzięła jeszcze jakąś brązową butelkę i zapłaciła, po czym wcisnęła mi do rąk reklamówkę.

- Odwiozę cię do hotelu. Przefarbujesz włosy i posmarujesz się samoopalaczem. Te tancerzom w krótkim czasie dają silny efekt, więc upodobnisz się do rdzennych mieszkańców.

Stracisz indywidualność, ale zyskasz o wiele więcej - wtopisz się w tłum. Przygotuj się i ubierz odpowiednio, bo czeka nas wyjście na przyjęcie u Manuela Falco. Nie powinno być kłopotów, bo to garden party na kilkaset osób. Powęszymy trochę.

- Ładna brosza - powiedziałam, Śegnając się przed hotelem.

- Prekolumbijski znak boga wojny.

Nie muszę chyba Pisać, ile sprzeciwów zgłosili Maks z Jackiem, kiedy dowiedzieli się, Śe wieczorem wychodzę z Victorią do Manuela. Kiedy Cassidy przysłała po mnie i kazała mi przebrać sukienkę, wpadli w złość.

- Mała czarna jest dobra w Europie. Tutaj trzeba ubrać się odwaŚniej. Mini i top z cekinów będą odpowiednie.

- Zośka nie jest jakąś tancerką! - protestował Jacek.

Victoria załoŚyła bluzkę wyszywaną cekinami i szorty, które odsłaniały jej zgrabne nogi. Na ręce miała masywną bransoletę, na którą składały się bardzo duŚe, podłuŚne człony. Cacko musiało pochodzić z galerii sztuki. Było oryginalne i z pewnością kosztowne. Powieki mocno zaznaczyła grafitową kredką zauwaŚyłam teŚ kępki sztucznych rzęs.

Gorący klimat południa, kultura, w której - jak się moŚe zdawać - karnawał nigdy się nie kończy, i piękne kobiety w kusych strojach. Musiałam dopasować się do tego i choć początkowo w kilku skrawkach materiału, składających się na moje ubranie, czułam się prawie naga, szybko przyzwyczaiałam się do nowego kostiumu. Eye-linerem podkreśliłam oczy, a ramiona, dekolt i nogi nasmarowałam emulsją z drobinami brokatu. Tak przygotowane ruszyłyśmy na podbój Meksyku!

Śeby dotrzeć do posiadłości Manuela, musiałyśmy przejechać przez całe miasto. W końcu przebiłyśmy się przez uliczne korki i naszym oczom ukazała się rozległa posiadłość. Dukt prowadzący od bramy do budynku był obsadzony wielkimi jak drzewa kaktusami. Victoria zaparkowała pomiędzy roślinami tak, Śe wysiadając prawie nadziałam się na kolec o proporcjach chińskiej pałeczki.

Przyjęcie zorganizowane pod gołym niebem przyciągnęło kilkadziesiąt osób. Bawili się przy basenie, co jakiś czas zaglądając do bufetu zorganizowanego na zadaszonym tarasie. Stoły uginały się pod tacami z owocami morza i deserami z egzotycznych owoców. W powietrzu unosiła się woń kremowych kwiatów, które rosły w glinianych donicach. Pąki kwiatów znajdowały się również w 43

basenie, a pomiędzy nimi pływały świece. W kieliszkach gości musował krystaliczny napój.

Panowała atmosfera szampańskiej zabawy, nie wyczułam, Őeby goście byli skrępowani luksusem.

Victoria poszła po napoje i znikła. Czułam się obco wśród odgłosów hiszpańskich rozmów.

Nic nie rozumiałam, dlatego nie opuszczało mnie wrażenie, Őe kaŐdy dźwięk wymierzony jest przeciwko mnie. Ale to tylko pozory, bo nieznanymi uŐmiechali się przyjaźnie, kiedy na nich patrzyłam. Wtem usłyszałam zza pleców:

- Cinderella!

Zrobiło mi się zimno, jakby jakaś niewidzialna siła przytknęła mi do skóry lód. Zaraz potem zalała mnie fala gorąca. Głos wydał mi się znajomy.

- Cinderella! - usłyszałam po raz drugi i juŐ byłam pewna, Őe znam człowieka, który to powiedział. Bałam się odwrócić. MoŐe mówił do kogoś innego, moŐe do wielu kobiet zwracał się w ten sam sposób?

Musnął moją dłoń palcami, ale cofnęłam ją. Zacisnęłam powieki. Milczałam, słysząc jak się zbliŐa i staje przede mną. PrzecieŐ to nie tak miało być! Victoria zapewniała, Őe będę bezpieczna wśród tłumy goŐci! Jak mogłam dać się złapać w tak prymitywną zasadzkę! Jednak to stryj polecił

Victorię... A jeśli to nie na nią mieliśmy czekać w hotelowej restauracji?! Pojęłam, jak bardzo byliśmy nierozwaŐni, ufając pierwszej lepszej osobie, która podeszła do stolika.

- Jak minęła podróŐ? Nie wydaje mi się, Őeby wasz hotel był wystarczająco wygodny. Proszę

- Manuel wcisnął mi do ręki kieliszek szampana. Wzniósł toast. - Za nasze spotkanie.

WŐciekła rozbiłam kieliszek. Rozejrzałam się po goŐciach. Udawali, Őe nic się nie stało.

Naprdce przeanalizowałam sytuację. Dopóki Victoria nie wróci, nie miałam Őadnej drogi ucieczki.

Taksówki tu nie dojeŐdŐały, a nawet jeśli mogłabym zamówić jakąś przez telefon, nie miałam pojęcia, jak to uczynić. Nie mogłam teŐ liczyć na komunikację miejską. Byłam w potrzasku!

- Pozwól, Őe oprowadzę cię po mojej rezydencji.

- Nigdzie z tobą nie idę!

- Nie bądź głupia!

Przyciągnął mnie do siebie i złapał w pasie. Pod luźnym ubraniem z lnu miał kaburę z bronią.

- Cieszę się, Őe zaszczyciłaś mnie swoją wizytą. Gdybym wiedział, Őe przyjdiesz, załoŐyłbym coś bardziej wytwornego.

Prychnęłam i nic nie odpowiedziałam. Powoli zbliżyliśmy się budynku.

- Zastanawiam się, w jaki sposób się tu znalazłaś? Oczywiście po tym, jak pojawiłaś się w Ameryce, oczekiwałem, że odwiedzisz rezydencję prędzej czy później, ale nie sądziłem, że tak szybko. Bądź tak uprzejma i zdradź mi, z kim tu przyjechałaś?

- Puść mnie! - syknęłam. - Puszczaj! Słyszysz?

- A jednak boisz się. Niepotrzebnie! Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Jak to mówią

„przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi”. A ty jesteś przyjaciółką mojego szofera, uratowałaś mu życie.

Ucieszyłam się, że Talar prześłał ukąszenie smii. Moja radość nie trwała długo, bo Falco wepchnął mnie do domu. W salonie, dzięki zamkniętym okiennicom, panował chłód. Pokój wyłożony łososiowym marmurem, urządzone meblami w stylu empire. Pomieszczenie otwierało się na wielki hol ze schodami, gdzie wisiał obraz Fridy. Nie było czasu na podziwianie dzieł mistrzów!

Manuel wziął mnie na ręce. Wyrываłam się, ale był silniejszy. Przeniósł mnie długim korytarzem, obok niezliczonej ilości pomieszczeń, później po schodach i znowu korytarzem. Nogą otworzył

drzwi. Z uścisku uwolnił mnie dopiero na tarasie.

Przeraziłam się na widok tacy z surową wołowiną. Świeże mięso szturmowały zastępy 44

owadów. Zemdlilo mnie. Manuel kazał mi dojść na skraj tarasu. Szczypcami chwycił okazały kawał mięsiwa i wyrzucił za balustradę. Zanim rozmiażdżyło się na płytkach, rozszarpały je trzy paszcze z zębiskami tak potężnymi, że z ludzkimi kośćmi rozprawiłyby się w kilka chwil.

Krokodyle sprawiały wrażenie przegłodzonych. Na każdy następny kawał mięsa rzucały się z rosnącą furią. Zwierząt pojawiało się więcej i więcej. Kotłowały się w dole, skacząc sobie do gardeł.

- Dość tego! - w drzwiach stanęła Victoria.

- Nigdy nie lubiłaś moich pupili.

- Wolę zwierzątka futerkowe.

Zwróciła się do mnie:

- Wychodzimy.

- Wracajcie do Europy - powiedział. - I nie próbujcie mi przeszkodzić.

- Razem stanęliśmy na starcie, a do mety jeszcze daleko - odparła Victoria.

- Bliżej niś myślisz.

Odwróciłyśmy się i oddaliłyśmy. Cassidy nie pierwszy raz była w posiadłości Falco, bo po korytarzach poruszała się swobodnie, jak po własnym domu.

- Mam nadzieję, że mi wyjaśnisz...

- Manuel ma farmę krokodyli. Po prostu zamiast chomików czy kotów hoduje gady. Wielu ludzi tak robi.

- W domowych terrariach ludzie hodują kameleony!

- A Falco ma manię wielkości i stado krokodyli w ogródku - roześmiała się.

- Dobrze wiesz, że nie oto mi chodzi. Jak dobrze się znacie? Powiedział, że nigdy tych krokodyli nie lubiłaś.

Zatrzymała auto i popatrzyła mi w oczy.

- Powinno cię interesować tylko Eldorado.

- Rywalizujesz z Manuelem - stwierdziłam.

Nie odezwałyśmy się do siebie aż do hotelu.

Powitałem dzień dość wcześnie. Uchyliłem okno i przeciągnąłem się na łóżku. Pomieszczenie wypełniły aromaty leśnych żywic i kwaśna woń fermentujących jabłek. Powietrze, ze względu na stosunkowo wczesną porę, było rześkie. Miałem nadzieję, że pozostanie takie jak najdłużej. Coraz gorzej znosiłem upały.

Wyjrzałem na dwór. Sąsiadka Teresy wsypywała do koryta ugotowane ziemniaki posiekane z zieleciną. Kury zrobiły harmider przy jedzeniu, trzepotały skrzydłami, naskakując sobie na głowy.

Zaspokoiwszy głód, dostojnie przechadzały się przed stodołą, gdacząc optymistycznie. I ja poczułem ssanie w słońcu. Ogoliłem się i ubrałem.

Duch remontu obecny był w całym domu. Ujawniał się zapachem farb i narzędziami rozproszonymi po całym budynku. Odruchowo zdjąłem z półki pod lustrem szpachelkę, którą ktoś tam nieopatrznie zostawił. Zainteresowany meblami, wszedłem do salonu i zacząłem przyglądać się sprzętom, w szczególności komodzie i okrągłemu stołowi z blatem zdobionym masą perłową oraz dopasowanym do niego zestawem krzeseł.

Wzdrygnąłem się, nie usłyszawszy, że za plecami pojawiła się Teresa.

- Antyki? - zapytała.

- Wysokiej klasy - odparłem.

- Nie myli się pan?

45

Zawstydzila się, Œe to powiedziała. Usiłowała ratować sytuację:

- Przepraszam. Chciałam, powiedzieć, Œe...

- Niech pani nie przeprasza. Œeby nabrać stuprocentowej pewności, musiałbym dokładniej zbadać meble. Wyjąć z komody szuflady, sprawdzić ich konstrukcję. Zweryfikować prawdziwość otworów po kornikach, upewnić się co do naturalnego pochodzenia patyny i pęknięć lakieru i tak dalej. W kaŒdym razie potrzebna jest fachowa analiza rzeczoznawcza. JeŒli analiza dałaby pozytywny wynik, mogłaby pani wziąć za te akcesoria duŒą sumę pieniędzy.

- Nie chcę ich sprzedawać. Podobają mi się, poza tym zdaje się, Œe towarzyszyły ciotce Adeli, po której odziedziczyłam ten dom, przez wiele lat. Nie powinnam oddawać ich w obce ręce.

- Doskonale rozumiem.

Teresa nachyliła się nad blatem komody. Przeciągnęła ręką po gładkiej powierzchni.

- Pana słowa sprawiły, Œe zaczęłam zastanawiać się, skąd ciotka wzięła te meble? Nie naleŒała co prawda do osób ubogich, ale Œeby od razu antyki...

- Zapewniam panią, Œe widok antyków w wiejskich domach na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, nie jest rzadkością. Proszę pamiętać, Œe na Dolnym Œląsku przed wojną znajdowały się liczne pałace. Właściciele opuścili je, zostawiając większą część dobytku. Przez wiele lat budynki po szlachcie stały bez opieki. Okoliczni mieszkańcy wynosili z nich wtedy wszystko, co się dało. W ten sposób rozgrabiono fortuny. Zdarzało się, Œe zabytkowe meble niszczały w oborach czy szopach - westchnąłem cięŒko.

Twarz znajomej sposepniała.

- To znaczy, Œe meble ciotki pochodzą z kradzieŒy?

- Niekoniecznie. PrzecieŒ nie wyklucza pani, Œe ciotka mogła w legalny sposób nabyć meble.

Zresztą po tylu latach trudno oskarŒać kogoś o kradzieŒę. Takie wtedy były czasy i nie warto tego rozpamiętywać.

Teresa zrobiła mocną kawę po turecku i w piecyku odgrzała wczorajsze rogaliki francuskie.

Obserwowałem, jak krząta się po kuchni. Przyjemnie było patrzeć na wysportowaną kobietę, która kaŒdy ruch wykonywała precyzyjnie, jakby wszystko wcześniej przećwiczyła. Poruszała się z gracją równocześnie akcentując swoją siłę.

- Wzięli jeepa i pojechali do Czech w piątkę. Niewykluczone, Œe Dorota z Olafem zostaną tam przez

parę dni, żeby poznać - westchnęła. - Próbuję dozwonić się do Klary, to znaczy matki bliźniaczek, ale nie odbiera, więc jesteśmy skazani na towarzystwo siedmiolatek - podeszła do kredensu i z najwyższej półki wzięła klucze i dowód rejestracyjny. - Zośka zostawiła panu ferrari. Schowałam kluczyki przed Olą i Tolą.

- Czy pałac w Krobielowicach można zwiedzać?

- Raczej nie. Znajduje się w nim hotel. Ale w środku urządzono taką restaurację, więc chęć na małe co nieco może być pretekstem do zerknięcia na wnętrze.

- Może miałaby pani ochotę zabrać dziewczynki na krótką wycieczkę?

- Z przyjemnością.

Kiedy dzieci nareszcie obudziły się, a było to już po jedenastej, zjadły śniadanie, marudząc przy każdym widelcu jajecznicy, a że za rzadka, a że nazbyt ścięta, kiedy wreszcie Teresie udało się złożyć dwa komplety identycznych ubrań, bo siostry zawsze zakładały to samo, ruszyliśmy.

Moje oczekiwania co do upału nie spełniły się. Z godziny na godzinę ukrop wzrastał się, sadiłem, że apogeum nastąpi około piętnastej, a wtedy chciałem siedzieć w ogrodzie w cieniu drzew. Jednak w towarzystwie dzieci, szczególnie rozbrykanych bliźniaczek, śadne plany nie stają się oczywiste. Dziewczynki miały sto pomysłów na minutę, a co gorsza, niektóre natychmiast

usiłowały wcielić w życie bez wiedzy lub zgody opiekunki.

Zaparkowaliśmy przed wsią, przy dziwnej cylindrycznej budowli, gdzie droga układała się w niebezpieczny zakręt. Obok kamiennego mauzoleum było wystarczająco dużo miejsca, by zostawić samochód.

- Co to jest? - ciekawska Ola podbiegła do budowli.

- Grobowiec - rzekłem.

- I tam są trupy? - zapytała Tola, szepcząc konspiracyjnie.

- Kiedyś były.

- A co się z nimi stało?

- Poszły straszyć niegrzeczne dzieci - wtrąciła Teresa, gasząc zainteresowanie dziewczynek.

Byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy, gdy nie bardzo wiedziałem, jak wytłumaczyć dzieciom prawdę o tym, że ludzie sprofanowali szczątki wywlekając je z trumien i strzelając do nich jak do papierowych tarczy.

Szliśmy poboczem gęsiego - najpierw Teresa, później dzieci, ja na końcu. Trasa była nieprzyjazna Picchurom ze względu na przemykające obok ze sporą prędkością auta. Za sklepem skręciliśmy w

prawo.

- Komu wystawiono grobowiec? - zainteresowała się Teresa, kiedy mogliśmy swobodnie rozmawiać.

- Feldmarszałkowi Leberechtowi von Blücherowi. Rozczarowała się pani?

- Jest pan spostrzegawczy. Spodziewałam się raczej usłyszeć romantyczną historię o jakimś księciu lub przynajmniej hrabim.

- Zapewniam panią że w swoich czasach Blücher budził więcej emocji niż niejeden szlachcic.

Tak naprawdę, za zwycięstwa na polach bitew, feldmarszałek otrzymał tytuł księcia von Wahlstatt, jednak w ludzkiej świadomości utrwalił się głównie jako niezwykły generał. W końcu nie każdemu było dane pokonać Napoleona. Po śmierci feldmarszałka postanowiono odpowiednio uhonorować go i zbudować mu mauzoleum godne bohatera. Łącznie zweryfikowało jednak zamierzenia architektów i grobowiec stanął w nieco okrojonej formie dopiero wiele lat po śmierci Blüchera.

- Zna pan tę historię dokładniej?

- Chce pani posłuchać?

Teresa kiwnęła głową.

- Feldmarszałek zmarł we wrześniu 1819 roku. Zbliżyły się wojskowe manewry, które systematycznie miały miejsce na Śląsku, przyciągając najznamienitsze postacie pruskiego firmamentu. Z tej okazji na Śląsk zjechał również Fryderyk Wilhelm III, dzięki czemu mógł wziąć udział w pogrzebie feldmarszałka. Na uroczystościach szalonych stawiała się także liczna pruska generalicja i arystokracja. Wtedy pojawił się problem oddania czci Blücherowi. Zabalsamowane zwłoki złożono tymczasowo w kościele w Wojkowicach, ale nie był to docelowy grób. Miejsce pochówku wodza powinno być na miarę jego wielkości. Zapadły decyzje i zaczęły się prace nad grobowcem. Miał składać się z olbrzymiego głazu wyciosanego w kamieniołomie w pobliżu Sobótki. Prędko okazało się, że plany architektów przerosły możliwości ówczesnej techniki, bo nie było sposobu, by grąż przewieźć do Krobielowic. Próba rozkawałkowania go powiodła się, ale poszczególne części były wciąż za ciężkie do transportu. Przez dwie dekady nie wykonano żadnych prac budowlanych. Na nowo zainteresował się projektem grobowca Fryderyk Wilhelm IV. Na budowę cylindrycznej wieży na prostopadłościennym podstawie przeznaczył ogromną jak na 47

dziewiętnastowieczne realia sumę kilkudziesięciu tysięcy talarów. Tym razem prace przebiegły bez większych trudności i wkrótce sarkofag z ciałem księcia został złożony w krypcie. Grobowiec zniszczono po drugiej wojnie światowej, masakrując szczątki.

- Gdyby nie pan, pewnie długo nie poznałabym przeszłości Krobielowic. I pomyśleć, że w pałacu mieszkał tak interesujący człowiek. Nie jakiś hrabia pływający po dworskich balach, ale prawdziwy żołnierz znający trudy walki i cenę krwi - Teresa popadła w patetyczny ton.

- Warto nadmienić, że jeszcze na początku XX wieku na placu Solnym we Wrocławiu, czyli w jednej

z najbardziej reprezentacyjnych części miasta, stał pomnik feldmarszałka - dodałem na koniec, bo właśnie przekraczaliśmy próg pałacu.

Na stojaku w recepcji zauważyłem opracowanie Krzysztofa R. Mazurskiego pod wszystko mówiącym tytułem: „Krobielowice i okolice”. Kupiłem je. Przeszkloną galerią, pokierowani przez recepcjonistkę, trafiliśmy do restauracji. Przeczytaliśmy karty i szybko okazało się, że ceny były zawyżone w stosunku do standardu. Chcieliśmy opuścić lokal, ale bliźniaczki zbuntowały się, ponieważ nie dostały obiecanych lodów. Teresa jednak szybko przekonała je do zakupów w wiejskim sklepie, gdzie prócz lodów mogły dostać także chipsy i inne paskudztwa, za którymi przepadały.

Galeryjka poprowadziła nas dookoła wewnętrznego dziedzińca, a do tarasu.

- W ten sposób nie odnajdziemy lamp. Jeśli są cenne, Manuel ukrył je porządnie - stwierdziła Teresa.

- Wczoraj poniosły mnie emocje.

- Trzeba by zakraść się do prywatnej części pałacu i...

- I tak nie mamy pewności, że lampy ukryto gdzieś tu. Zośka widziała je przecie w bagażniku. Sądzę, że na razie ważniejszą rzeczą jest dowiedzieć się, dlaczego Manuelowi tak na nich zależało, dlaczego spanikował, kiedy Zośka odkryła je w aucie. Poza tym nie mam zamiaru włamywać się, nie jestem złodziejem, tylko historykiem sztuki.

- Wywnioskowaliśmy, że Falco albo raczej jego ludzie ukradli lampy z domów na wsi.

Policja wie o włamaniach i oficjalnie szuka włamywaczy. Może zatem najprostszym wyjściem byłoby powiadomienie mundurowych o naszych podejrzeniach?

- Zapewniam panią, że to ostatnia rzecz, którą powinniśmy zrobić, zanim rozpracujemy tę sprawę. Zwłaszcza, że wysłaliśmy za Falco do Meksyku Zośkę, Maksa i Jacka.

- Cóż mogą działać sami na drugim końcu świata w mieście, gdzie przed Manuelem - jak sam pan wczoraj powiedział - czuje respekt większość przestępców?

- Nie są tam sami.

48

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OFIARA HODOWCY KROKODYLI • ZWIEDZAMY NARODOWE MUZEUM

ANTROPOLOGII • ZROZUMIEĆ SZTUKE • BIOGRAFIA FRIDY KAHLO A JEJ

DOKONANIA • ALFA I OMEGA MIASTA MEKSYK • ZASADZKA CZY NIE - IDE! •

TOAST NA ZGODĘ • GRAMY W RÓŚNYCH DRUŚYNACH • PROPOZYCJA STARTU

W ROZGRYWCE O ELDORADO • PREZENT • BABSKIE FOCHY • VICTORIA

PODEJMUJE RĘKAWICĘ • POZNAĆ WROGA W MACHU PICCHU • NAPAD •

TRZEBA ODZYSKAĆ LAMPĘ!

- Wróciłaś wczoraj zła jak chmura gradowa - powiedział Jacek przy śniadaniu.

- Gdybyś padł ofiarą hodowcy krokodyli, teŜ byłbyś zły.

Najwyraźniej moi towarzysze uznali to, co powiedziałam za dobry Őart, bo nie kontynuowali tematu.

- Idziesz z nami do Narodowego Muzeum Antropologii? Pogapimy się trochę na starocie.

Przystałam na propozycję, doszłam bowiem do wniosku, Őe i tak nie mam nic lepszego do roboty. PowaŜnie zaczęłam zastanawiać się nad sensownością naszej wyprawy. Kto przy zdrowych zmysłach leci na drugi koniec Őwiata tylko po to, by zobaczyć się z jakimś podejrzanym typem, nawet jeśli nazywa się Manuel Falco? „Wyjazd musi mieć głębszy sens. Stryj nie wyprawiłby nas tak daleko z powodu uganiania się za mitem Eldorado. Więcej cierpliwości i więcej zaufania do stryja” - pomyślałam.

Wsiedliśmy do uroczej, ale rozklekotanej taksówki, pistacjowego garbusa, i poprosiliśmy o zawiezenie do Narodowego Muzeum Antropologii. Taksówkarz pokazał zuboŜony o górną dwójkę uŐmiech i ruszył. Pomknęliśmy ulicą Chapultepec zostawiając na północy Palacio de Bellas Artes.

Znaleźliśmy się na granicy ŐródmieŐcia, gdzie swe butiki mieli kreatorzy najbardziej snobistycznych marek Őwiatowego krawiectwa. Z bólem serca popatrzyłam na przeszklone wystawy, na których dostojnie prezentowały się manekiny ubrane w kreacje z aktualnych katalogów mody. Szkoda, Őe ceny najtańszych modeli, w przeliczeniu na złotówki, zaczynały się w od kilku tysięcy złotych. Minęliśmy butiki i centra handlowe, i zatrzymaliśmy się na skraju parku.

Kierowca przyjął zapłatę, nie wydając reszty i pomachał leniwie ręką jakby tłumacząc drogę do muzeum, po czym odjechał w siną dal. Okazało się, Őe staliśmy na Paseo de la Reforma i wystarczyło skręcić w prawo, by znaleźć się przy gmachu Narodowego Muzeum Antropologii.

Obok wejŐcia czekała pani Sabina Grydoń. Wachlowała się ksiąŜką którą podała Maksowi zaraz po przywitaniu.

- Przyniosłam wam przewodnik po Meksyku. Jest zniszczony, bo zabierałam go w kaŜdą podróż.

Jacek wyrwał Maksowi tom i przekartkował.

- Zaznaczyłam w nim miejsca warte zobaczenia.

- Dziękujemy - uŐmiechnął się Maks.

- Cóż za zmiana - pani Sabina dotknęła moich włosów.

- Kamouflaż - Jacek zrobił się uszczypliwy. - Zośka chciała wtopić się w tłum!

- W tłum - udałam obrażoną.

Narodowe Muzeum Antropologii zawierało w sobie kondensat wiedzy o meksykańskich kulturach prekolumbijskich. Nie sposób przyjrzeć się wszystkim eksponatom w jeden dzień. Mnie szczególnie zainteresowała część wystawy poświęcona Aztekom, z azteckim kalendarzem na czele.

49

Gdy opuściliśmy mury Narodowego Muzeum Antropologii, nie bez trudu udało mi się namówić chłopaków na odwiedzenie Museo Nacional de Arte Moderno, gdzie miałam nadzieję zobaczyć obrazy naj słynniejszej, moim zdaniem, meksykańskiej malarki - Fridy Kahlo. Wreszcie stanęłam przed obrazami, które do tej pory mogłam podziwiać wyłącznie w postaci reprodukcji. A przecież obrazy, zwłaszcza akrylowe i olejne, nie są tworem zupełnie płaskim jak fotografie.

Dzieło czynią najdelikatniejsze pociągnięcie pędzla, faktura płótna lub deski, spękania i nierówności farby.

- Dziwne - bąknął zniesmaczony Maks, a Jacek momentalnie go poparł. Zwęszyłam znowę, gdy naraz obaj panowie wystartowali w kierunku wyjścia.

- Hola, hola - zatrzymałam ich. - Sztukę trzeba zrozumieć, nie tylko oglądać. Bez zrozumienia można było patrzeć na obrazy, które miały pokazywać wyłącznie rzeczywistość, a malowano je do chwili, kiedy pojawiła się fotografia. Fotografia, jako że idealnie odwzorowuje rzeczywistość, przejęła funkcję malarstwa realistycznego. Wtedy to pojawił się impresjonizm, kubizm, surrealizm, czyli zabawa grą światła, daleko idącej symboliki. Malarstwo już nie musiało wiernie oddawać rzeczywistości, mogło ją interpretować, zniekształcać, łączyć jawę ze snem.

- Przecież na długo przed pojawieniem się impresjonizmu powstawały obrazy, przedstawiające na przykład wyobrażenie raju czy piekła... - zaciekawił się Maks.

- Oczywiście, ale malarze skupiali się na tym, by każdy element był jak najbardziej realny.

Claude Monet tworząc obraz „Impresja, wschód słońca” zapoczątkował zupełnie nową erę w malarstwie...

- Nie czas na rozprawianie o historii malarstwa - Jacek wszedł mi w słowo. - Opowiedz o Fridzie.

- Pani Kahlo jest świetnym przykładem tego, jak biografia artysty wpływa na jego dokonania.

W młodości przeżyła tragiczny wypadek, o mało nie zabił jej rozjeżdżony tramwaj.

Rekonwalescencja trwała długo i tak naprawdę kobieta nigdy nie wróciła do pełnego zdrowia.

Równowagę psychiczną pomogło jej odzyskać właśnie malarstwo. Zaczęła tworzyć w trakcie rehabilitacji. Zafascynowana znanym muralistą - Diego Riverą, poślubiła go, wciąż pozostając w cieniu męża. Był to związek burzliwy, Frida wielokrotnie odchodziła i wracała do męża, który miał romans z jej siostrą. Ona też nie stroniła od mężczyzn, ale Riviera do końca ją fascynował. Kochali się i nienawidzili. Być może ten ekscentryczny stosunek małżonków do siebie stał się płomieniem rozpalającym ich artystyczne dusze. Frida powoli pięła się po szczeblach popularności. Kiedy poznała europejskich surrealistów, odcięła się od ich dokonań, choć to właśnie z tym nurtem jej dzieła są kojarzone najczęściej. Obrazy Kahlo wypełnia symbolika i ból wyrażony przez kobietę, która straciła nienarodzone dzieci. Malarstwo jej pędzla obfituje również w przekazy uwydatniające meksykańskie pochodzenie autorki. Prywatnie Frida również manifestowała swą przynależność narodową podkreślając ją strojami. Nosiła charakterystyczną biżuterię i fryzury. Swą odmienność eksponowała na autoportretach, przesadnie uwydatniając zrosnięte brwi. Zmarła w 1954 roku, przeżywszy zaledwie czterdzieści siedem lat. Przed śmiercią dużo czasu spędzała ze swymi studentami, którzy przyjeżdżali do niej na lekcje, kiedy ból kręgosłupa uniemożliwiał jej funkcjonowanie.

Z Salem opuściłam muzeum, albowiem najchętniej spędziłabym jeszcze trochę czasu w otoczeniu sztuki, ale Maks z Jackiem wyraźnie zaczęli się nudzić. Przeczytali w kupionym przy kasie folderze w języku angielskim o tym, że w Bosque de Chapultepec można popływać po jeziorze w łódkach i zaciągnęli mnie tam. Na przenośnym straganie zaopatrzyliśmy się w świeżo pieczone banany, które w Meksyku je się tak jak w Polsce gotowaną kukurydzę. Na przystani 50

wleźliśmy do słonej łódki z numerem 54, niezbyt stabilnej. Łajba co rusz chwiała się niebezpiecznie, ale chłopcy niezłomnie wiosłowali, by wypłynąć na środek lustra wody. W końcu odłożyli pagaje i wystawili twarze do słońca. Mieliśmy kilka chwil, by przejrzeć przewodnik pani Sabiny i poczynić plany na najbliższy czas.

Wieczorem Maks z Jackiem wybrali się na basen do sąsiedniego, bardzo luksusowego hotelu.

Wpuszczono ich do wodnego miasteczka, ponieważ oczarowali tamtejszą panią ratowniczkę. Podobno.

Taką wersję, oficjalną, poznałam. Jaka była prawda? Do dzisiaj nie udało mi się tego ustalić.

Nie miałam najmniejszego zamiaru spędzić wieczora w samotności. Ubrałam się szykownie i zeszłam do baru. Liczyłam na to, że Cassidy pojawi się w końcu w hotelu, bo od poprzedniego dnia nie skontaktowała się z nami. Czyżby przystojna Angielka obraziła się na mnie? Może byłam zbyt dociekliwa?

Przy barze było pustawo, goście wybrali niewielkie stoliki przy oknach, skąd podziwiali kolorowe neony nocnego Meksyku. Wdrapałam się na wysokie krzeselko. Barman podał mi kartę drinków, ale spis trunków mnie nie interesował. Poprosiłam o wodę mineralną. Mężczyzna usiłował

rozbawić mnie, lecz zrezygnował, kiedy domyślił się, że nie znam hiszpańskiego. Manewrując za plecami butelką i przerzucając ją z ręki do ręki nalał wody do szklanki. Dodał kostki lodu i plastry limonki.

Sączyłam napój przypatrując się coraz to nowym osobom przysiadającym się do stolików.

- Cinderella! - usłyszałam zza pleców. Jak zwykle Manuel mnie zaskoczył. Nie spodziewałam się go tu. Zdenerwowana wykonałam niespodziewany ruch i tylko wprawna ręka barmana uchroniła mnie przed zmożeniem sukienki. MęŜczyzna miał godny pozazdrosczenia refleks, chwytając szklanke, zanim się przewróciła.

Postanowiłam nie kryć niezadowolenia ze spotkania.

- Nikt cię tu nie zapraszał!

- W tym mieście nie potrzebuję niczyjego zaproszenia.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- W tym mieście nie muszę nikogo szukać.

Wyraźnie dawał mi do zrozumienia, Œe jest tu alfą i omegą.

- Nie jestem z tego miasta, więc nie obchodzą mnie twoje reguły - warknęłam. Poszukałam wzrokiem barmana, ale gdzieś ulotnił się dyskretnie.

- A powinny. Bo jedną z nich jest to, Œe jesteś tu nietykalna.

„Dziewczyna mafioza” - pomyślałam. „Tylko tego mi do szczęścia brakowało.”

- Zapraszam na kolację - powiedział.

- Nigdzie się stąd nie ruszę. A juŜ na pewno nie z tobą.

- Następna reguła brzmi: „W tym mieście Manuelowi nigdy się nie odmawia”.

Co miałam począć? Brać nogi za pas i uciekać? Ale dokąd? Nie dałabym rady uciekać w nieskończoność? Krzyczeć? Bez sensu! Nawet barman zdawał się wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Zdaje się, Œe ja uświadomiłam to sobie ostatnia.

- Proponuję kolację w sąsiednim hotelu. Zamówiłem stolik w tamtejszej restauracji.

Pójdziemy na piechotę, w kaŜdej chwili będziesz mogła wrócić i nie będę cię zatrzymywał.

Zadbałem, byś czuła się komfortowo. Zaufaj mi.

- Rzeczywiście, propozycja nie do odrzucenia.

Nie zastanowiłam się nad tym, czy Manuel zwabia mnie w zasadzkę. Po prostu nie miałam innego wyjścia. CzyŜby to Falco postarał się o to, Œeby Maks z Jackiem omamieni wizją zabawy w 51

luksusowym basenie, zostawili mnie wieczorem samą? Nie wierzę w przypadki! Pewnie leżą teraz w jacuzzi z ponętymi Latynoskami, zapomniawszy o reszcie świata. I te kobiety nie dopuszczą do tego, by nazbyt prędko znudzili się atrakcjami wodnego parku rozrywki.

Restauracja była doprawdy urocza. Zajęliśmy miejsca przy kameralnym stoliku, za przepierzeniem, gdzie płonęło mnóstwo świec pachnących cynamonem i imbirem.

Na tacy, wyłożonej lodem, czekały ostrygi, w podgrzewanym półmisku - potrawka z kurczaka z kawałkami zielonej papryki.

- Jak ci się podoba Meksyk? - zapytał Manuel. Wskazał na skorupiaki. Wzięłam szarą muszlę i skropiłam mięso sokiem wyciśniętym z cytryny. Zjadłam ostrygę i odłożyłam pancerzyk.

- Intrygujące miasto. A wiesz, że ma jeden z najwyższych wskaźników przestępczości na świecie? - zapytałam podstępnie.

- Zwykli turyści muszą uważać na siebie, kiedy poruszają się ulicami, to prawda. Ciebie to nie dotyczy.

- Jeszcze niedawno kazałeś facetowi biegać za mną z pistoletem! - nie wytrzymałam. Kelner, który właśnie nadchodził z butelką wina, wycofał się i przystanął za parawanem.

- Ów przykry incydent był pomyłką. Mogłabyś mi go wybaczyć?

Spuściłam wzrok.

- Ja już o wszystkim zapomniałem. Jesteś zbyt piękna, żeby się na ciebie gniewać.

Rozsądek kazał mi nie wierzyć w ani jedno słowo tego złego człowieka, ale z drugiej strony, jeśli chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat, musiałam zachować przynajmniej pozory porozumienia. Chociaż, jeśli miałabym być szczerą, pomimo tego, co Manuel zrobił w Polsce, fascynował mnie. Równie przystojnego mężczyzny w Sycylii nie spotkałam!

Wzniosłam kieliszek do toastu.

- Za zgodę!

- Za zgodę!

Kelner widocznie uznał, że sytuacja wyklarowała się, bo zdecydowanym krokiem podszedł do nas i nałożył na talerze potrawkę.

Rozgarnęłam widelcem jedzenie. Sos miał brunatny kolor i smakiem nie przypominał niczego, co kiedykolwiek jadłam.

- Czy to jakieś regionalne danie? - zapytałam.

- Tradycyjna potrawa meksykańska. Składa się z mięsa kurczaka albo indyka duszonego z papryką, cebulą, masłem orzechowym i przyprawami. Najważniejsze to cynamon i kakao. Potrawa wbrew pierwszemu skojarzeniu, które może nasuwać kakao, nie jest słodka.

- Pyszna. Ma smak niespotykany w polskiej kuchni. A ty znasz polskie potrawy?

- Bigos i zu... zur...

- śurek.

- Tak właśnie.

Postanowiłam uderzyć z grubej rury.

- Co właściwie łączy cię z Polską?

- Piękna kobieta? - przyjął pytający głos. Spojrzał mi głęboko w oczy. - Ty.

- Nie z mojego powodu byłeś w Krobielowicach.

- Z twojego powodu przedłużyłem mój pobyt w Polsce.

- I z mojego powodu tak nagle wyjechałeś?

- Jestem wolnym człowiekiem. Mogę podróżować, kiedy mi się to podoba. A wierz mi lub nie, ale warto było przelecieć cały ocean, żeby choć raz zagrać z tobą w golfa.

52

Nie dałam zbić się z pantałyku. Postanowiłam część kart wyciągnąć na stół.

- Mam uwierzyć, że znany na świecie poszukiwacz prekolumbijskich skarbów, milioner, przyleciał do pałacyku w pobliżu Wrocławia po to, by grać na podrzędnym polu golfowym?

- Potrafiłabyś wyjaśnić to w inny sposób? Chętnie posłucham... Twoje oczy ładnie błyszczą kiedy się denerwujesz.

- Co będzie na deser? - zmieniłam temat.

- To, co sobie zażyczysz.

- W takim razie poproszę o lody.

Po chwili udawanego namysłu, dodałam:

- Lody w pucharkach z ciemnozielonego szkła.

- Nie bądźmy dziećmi. Gramy w tę samą grę, tylko Œe w innych zespołach.

- Doprawdy?

- Moglibyśmy połączyć siły, gdybyś tylko miała na to ochotę.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O Eldorado. Skoro nie chcesz dołączyć do mojego zespołu, moŜe zdradzisz mi, jak w grupie Victorii idą przygotowania do wyprawy?

Tym razem zdziwiłam się na powaŜne.

- Widzę, Œe wasza liderka nie jest zbyt wylewna. Wiedz zatem, Œe stanęliśmy do walki o Złote Miasto. Kto je odnajdzie, zbierze laur odkrywcy i jego nazwisko na zawsze zagości w encyklopediach. Skoro mamy stoczyć bój, proponuję najpierw małą wyprawę integracyjną do Machu Picchu.

- Machu Picchu nie ma nic wspólnego z Eldorado.

- Rzeczywiście niewiele. Uznajmy, Œe będzie to wycieczka imprezowo-ustaleniowa. Dogramy szczegóły pojedynku o Eldorado i poznamy się lepiej. Porozmawiam o tym z Victorią i wspólnie zorganizujemy eskapadę do Machu Picchu. Przyjmijmy, Œe jeśli zdecydujesz się, razem z bratem i kolegą, uczestniczyć w wycieczce, uznam, Œe jest to równoznaczne ze startem w rozgrywce o Eldorado. Nie zapomnijcie jednak o tym, Œe będzie to walka, którą moŜemy przypłacić Œyciem.

Niejedna wyprawa, chcąc odnaleźć Złote Miasto, zaginęła bez wieści.

- Chcesz powiedzieć, Œe...

- ...Œe ruszamy do serca tropikalnego lasu. Ale nie martw się, mam coś, co cię pocieszy.

Potrzebujesz przecieŜ pocieszenia, bo w dŜungli jest duŜo węŜy, a ty odrobinę się ich boisz, nieprawdaŜ?

Zacisnęłam pięści, ale Manuel tego nie mógł zobaczyć, bo moje ręce zasłaniała serweta.

Podał mi pudełko zapakowane w jednolity papier i przewiązane atlasową wstąŜką.

- Otwórz.

- Wolalabym, Œebyś sam to zrobił - odparłam. Wyobraźnia podsuwała mi róŜne rozwiązania na to, co mogło znajdować się wewnątrz pudełka. Na przykład coś długiego i syczącego...

Pociągnęłam za koniec wstąŜki. Kokarda rozwiązała się, a Manuel zdjął wieczko pudełka.

Wewnątrz były wytworne pantofle z wiśniowej satyny, sygnowane znakiem firmowym luksusowego

domu mody. Kosztowały więcej niż łącznie wszystkie buty, jakie kiedykolwiek posiadałam.

Czółenka leżały jak ulał, rozmiar był odpowiedni.

- Powinnam doszukiwać się symbolu w tym nietypowym prezencie?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem?

- W Polsce istnieje przesąd, który mówi, że jeśli mężczyzna daje kobiecie buty, chce, żeby odeszła? Chcesz mi dać do zrozumienia, że mam wracać do Europy?

- Nic podobnego. Mam nadzieję, że spotkamy się w Machu Picchu.

- Szczerze wątpię. Przylecieliśmy do Meksyku jako praktykanci i obawiam się, że pani Sabina, która trzyma pieczę nad wyprawą nie zgodzi się na podróż do Peru. Poza tym na przeszkodzie może stanąć zasadniczy problem - brak środków na sfinansowanie podróży.

Wstałam od stolika.

- Pójdę już.

Manuel również podniósł się.

- Dołącz do mojej wyprawy i nie martw się o pieniądze.

- Dobranoc.

- Cinderello! Naprawdę mi na tobie zależy - powiedział.

Czułam, że zaczyna kręcić mi się w głowie, więc natychmiast wybiegłam na świeże powietrze. Przebrałam buty, zakładając swoje stare szpilki. Pudło z nowymi oddałam na przechowanie do recepcji. Być może szaleństwem jest samotne błąkanie się nocą ulicami Meksyku, zwłaszcza przez kobietę, lecz potrzebowałam spaceru.

Kartą magnetyczną otworzyłam hotelowy pokój. Był pusty. Zapaliłam światło i rzuciłam na łóżko prezent. Na poduszce znalazłam wyrwaną z notesu kartkę, na której rozpoznałam pismo brata. „Zejdź do baru” - przeczytałam. Opadałam z sił i jedyne, o czym marzyłam to gorący prysznic i ciepłe łóżko. Ignorując prośbę Jacka, skierowałam się do łazienki. Na lustrze, moją ulubioną szminką w kolorze fuksji, Maks napisał: „Natychmiast zejdź do baru! Czekamy!”

Wściekłam się, bo zniszczył moją ulubioną szminkę! W jednej sekundzie znalazłam się w barze, bo miałam zamiar powiedzieć Maksowi kilka gorzkich słów, żeby raz na zawsze zapamiętał

sobie, że kobiety nie lubią kiedy mężczyźni używają ich kosmetyków zamiast długopisów! Tak właśnie chciałam postąpić, ale zaniemówiłam na widok Victorii. Nosila wydekoltowaną sukienkę opinającą jej zgrabne krągłości, wyszytą setkami mieniących się cekinów. Włosy miała upięte niby

niestaramie - na kark i przy skroniach opadały pojedyncze pasemka nieujęte w kok. Olśniewała urodą niczym mityczna bogini. I chłopcy byli tego samego zdania, bo bez najmniejszego skrepowania wpatrywali się w jej boskie ciało. Posmutniałam, kiedy do głowy przyszła mi myśl, że pantofle od Manuela zdecydowanie lepiej pasowałyby pani Cassidy niż mnie.

- Kolacja udała się? - zapytał Jacek.

„Wiedzą o moim spotkaniu z Falco” - pomyślałam.

- Nie mogę narzekać.

- Dowiedziałaś się czegoś interesującego? - zapytała Victoria.

- Tego, że planujesz nam czas bez naszej zgody, a nawet wiedzy - byłam niemiła.

- Siostra, schowaj swoje babskie fochy do kieszeni! Vicky zabiera nas we wspaniałą podróż, a ty jeszcze narzekasz.

- Liczę na was. Falco rzucił rękawicę, a ja ją podjęłam, stając z nim do wyścigu o to, kto pierwszy zlokalizuje Eldorado. Niestety, Manuel ma duży wpływ w Ameryce Południowej, a ja jestem przybyszką z obcego świata.

- Trójce Europejczyków będzie łatwiej niż jednej kobiecie. Zjednoczmy siły i spróbujmy.

- Mówisz o wyprawie, jakby to był udział w szkolnych zawodach sportowych. Tymczasem w dżungli musielibyśmy zmierzyć się ze śmiertelnym ryzykiem. My - nieprzygotowani do wyprawy ani pod względem psychicznym, ani fizycznym.

- W wyprawie poszukującej Złotego Miasta liczyć się będzie głównie intelekt - stwierdziła 54

Victoria. - Jutro lecimy do Limy. Zanim wyruszymy, trzeba zebrać zespół eksploracyjny, zgromadzić sprzęt i sprecyzować obszar poszukiwań. Jutro Lima, pojutrze Machu Picchu.

Spędzimy noc w kamiennym mieście razem z Manuelem i jego ludźmi, gdzie urządzimy coś na wzór pikniku. Gdy wrócimy do Limy, dokończymy przygotowania do wyprawy i wtedy ruszymy do amazońskiej puszczy.

- To jest pomysł! - Maks pstryknął palcami.

- Jasne! - entuzjazmu nie krył też Jacek. - Wyjazd do Machu Picchu to genialny plan! Wroga trzeba dobrze poznać i zwietrzyć jego plany.

„Oczarowała ich swoim urokiem” - pomyślałam. „Podjęli już decyzję. Nawet jeśli przeprowadzilibyśmy demokratyczne głosowanie - przegram.”

Wróciłam do pokoju i nie zastanawiając się nad różnicami czasu, zadzwoniłam do stryja.

Miałam wątpliwości co do wyprawy do Peru. Nie po to przylecieliśmy do Meksyku, Œeby dać się wciągnąć w poszukiwania mitu. Gdyby Eldorado istniało, przez kilkaset lat, które minęły od podbicia Nowego Świata przez konkwistadorów, zostałyby odkryte. Tymczasem Jacek z Makssem zdawali się zapomnieć o prawdziwym celu naszej misji - o wyjaśnieniu sprawy lamp. Lamp zrobionych z cennych karafinek z ciemnozielonego szkła.

Ale stryj był innego zdania. Kazał nam wykorzystać szansę i lecieć do Limy.

- Nie wierzę w istnienie Złotego Miasta - powiedziałam zgodnie ze swoim przekonaniem. -

Szukanie Eldorado nie ma sensu.

- Zośka, na litość boską wy nie macie szukać Eldorado...

- ...tylko pilnować, Œeby Manuel go nie ukradł? - dokończyłam.

Stryj zaśmiał się i poŒegnał.

OdłoŜyłam słuchawkę. Tego wieczora długo rozmyślałam i nie mogłam zasnąć. Niecierpliwie czekałam, aŒ Maks z Jackiem pojawią się w pokoju. Wrócili o Œwiecie zmęczeni całonocną zabawą w klubie.

GłoŒne zabawy bliźniaczek męczyły, nie mogłem skupić uwagi na nurtującym mnie problemie. Teresa pracowała w salonie przy komputerze. Zawiadomiłem ją Œe wychodzę i udałem się na przechadzkę po sadzie. Jak bardzo brakowało mi w Warszawie kontaktu z przyrodą! Tutaj mogłem odetchnąć od papierkowej roboty, od nuŒących obowiązków biurowych i zgiełku miasta, za którym coraz częściej nie nadąŜałem. W Krobielowicach odpoczywałem, mimo Œe mój umysł nieustannie zajmowała sprawa lamp.

W Œyciu rozwiązałem wiele zagadek detektywistycznych, nieskromnie wspomnę, Œe odnalazłem niejednego skarb, a jednak w trakcie kaŒdej nowej przygody odczuwałem ten sam znajomy dreszcz. Pchał mnie do przodu ku rozwiązaniu. Niestety, tym razem powoli zacząłem tracić nadzieję na doprowadzenie kwestii do końca.

PołoŜyłem się na łące, wprost na trawie. Ziemia była twarda, ale przyjemnie nagrzana. Nie minęło kilka chwil, a woń traw i brzęczenie owadów uŒpiły mnie. Ocknąłem się, kiedy wysmagał

mnie północny wiatr, który zjawił się wraz z zachodem słońca. Wróciłem do domu.

- Witam - powiedziałem donoŒnie.

Wtedy na pięttrze rozległo się walenie do drzwi, momentalnie powtórzyło się na parterze, w łazience. Poszedłem tam i wypuściłem z pomieszczenia bliźniaczki. Dziewczynki były zapłakane.

Złapały mnie za ręce.

- Zatrzasnęłyśmy się! - chlipała Tola.

- Bo to przez nią prosę pana! - dodała druga. - Bo to ona zaczęła!

55

- Nieprawda!

- Właśnie, Œe ty! - Ola otarła rączką policzek. Na wierzchu dłoni został czerwony ślad.

Dotknąłem twarzy dziewczynki i zrozumiałem, dlaczego bliźniaczki są przeraŒone.

- Bawiłyście się kosmetykami Teresy?

- Nieprawda! - nabzdyczyła się Tola.

- Tę szminkę zgubiła Zośka.

- Znalezione nie kradzione! - wytłumaczyło dziecko.

Na górze ponownie rozległ się łomot. Usłyszałem teŒ stłumiony głos.

- Umyjcie się - nakazałem bliźniaczkom. - I nie wychodźcie z łazienki, dopóki wam nie pozwolę.

Przywarłem plecami do ściany. Stawiając nogi w poprzek stopni, bezszelestnie piąłem się po schodach. OstroŒnie wychyliłem się zza balustrady, by sprawdzić, czy na piętrze nie ma nieproszonego gościa. Hol był pusty.

- Ktoś tu był - mruknąłem do siebie, widząc krzesło blokujące drzwi pokoju, w którym przed wyjazdem mieszkała Zośka.

Odstawiłem krzesło i nacisnąłem kłamkę. Z pokoju wybiegła Teresa. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, a rękawy bluzy zmoczone od łez.

- Pan Samochodzik! - wykrzyczała entuzjastycznym głosem. - Kiedy pana nie było, na dom napadły jakieś zbiry. Dziewczynki zamknęli w łazience, mnie zaciągnęli tutaj. Nie widziałam ich twarzy. Spod domu odjechali jakimś starym, śmiesznym samochodem. Obserwowałam ich przez okno pokoju.

- Czego chcieli?

- Lampy.

- Dała im ją pani?

Z dołu schodów rozległ się piskliwy głos jednej z sióstr:

- MoŒemy wyjść z łazienki?

- Zdaje się, Œe juŒ to zrobiłyście - odparła Teresa.

Zeszliśmy na dół. Domknęliśmy okna i zamknęliśmy drzwi wejściowe na klucz oraz zasuwkę.

- Pytałem, czy dała im pani lampę?

Woda na herbatę zabulgotała. Teresa zaparzyła napar i odstawiła czajnik na kredens.

- Nie podoba mi się ta historia z lampami. Najchętniej odwiozłabym dziewczynki do matki.

Ale Klara zostawiła bliźniaczki i wyjechała. Nie mogę się z nią skontaktować. W tej sytuacji, sam pan rozumie, muszę zapewnić Oli i Toli bezpieczeństwo.

Opadłem na krzesło. Byłem bezsilny. „Jeśli ktoś napada na dom, by zdobyć lampę, to znaczy, że z jakiegoś punktu widzenia jest szczególnie cenna” - pomyślałem.

- Musimy odzyskać lampę - oświadczyłem.

- Odzyskamy! - Teresa rozpromieniła się. - Jak tylko Dorka z Olafem wrócą z Czech, bo lampa jest w bagażniku ferrari.

- Jak to? To znaczy, że bandyci jej nie zabrali?

- Przecież nie powiedziałam, że zabrali. Stwierdziłam tylko, że nie podoba mi się ta cała historia, bo jest niebezpieczna dla dzieci.

- Rzeczywiście.

Opuściłem dom, żeby zapalić papierosa.

56

ROZDZIAŁ ÓSMY

PERU - PAŃSTWO KONTRASTÓW • ZBIORY ZŁOTA • ZABYTKI LIMY •

DOKUCZLIWA PRZYPADŁOŚĆ I KONTROWERSYJNE ANTIDOTUM •

DROGOWSKAZ DO ELDORADO I JEGO WŁAŚCICIELE • ZŁODZIEJE WYKOPALISK

• CEVICHE • AMERYKAŃSKI KOMANDOS • LISTA AKCESORIÓW POTRZEBNYCH

W DŚUNGLI • ANTICUCHOS • LECIMY DO CUZCO • ILE CZASU MOŻNA BRAĆ

PRYSZNIC? • NATYCHMIAST WRACAJMY DO KRAU! • A JEDNAK JEDZIEMY DO

MACHU PICCHU • TWIERDZA • PODBÓJ PERU

Peru jest państwem barw i kontrastów. Na terytorium kilkakrotnie większym od Polski sąsiadują ze

sobą tropikalne lasy, skaliste góry, jeziora ciemne jak atrament i inne o wodzie zupełnie bezbarwnej. Wieszowce ze szkła i stali dzielą terytorium kraju z indiańskimi szałasami.

Nowoczesność wciąż bije się z duchami przeszłości. Obrzędy chrześcijańskie współistnieją ze zwyczajami kultury inkaskiej. Nawet kuchnia jest mieszanką tradycji i wpływów hiszpańskich.

Bogactwo różnorodności fascynuje i zadziwia, zwłaszcza gdy widzi się dzikie plemię Indian w koszulkach „made in China”.

Do Limy dolecieliśmy prywatnym samolotem... Victorii! Ona, podobnie jak Manuel, o czym nie wspomniał stryj, również miała na koncie bankowym miliony. W każdym razie przestałam się martwić o to, jak opłacimy pobyt w Peru. Victorii zależało na naszym udziale w wyprawie. Nie wiedziałam, czy miała dług wdzięczności wobec stryja czy zależało jej na pomocy słynnego Pana Samochodzika, nawet jeśli pomoc miałaby być udzielana na odległość i za pośrednictwem siostrzeńców. Nie myślałam o tym teraz, raczej cieszyłam się otaczającymi nas wygodami.

Prywatny samolot, szybka odprawa w strefie dla VIP-ów i nastrojowy hotel urządzony w dawnej kolonialnej posiadłości. Jacek z Maksymem zdawali się nie dostrzegać komfortowych warunków, w jakich mieliśmy spędzić następne dni, albowiem zajmował ich jeden temat: krągle pani Cassidy.

- Plan zajęć na dzisiaj jest następujący - powiedziała, bez pukania wtargnąwszy do naszego pokoju. - Najpierw dwie godziny odpoczynku, później zwiedzanie Muzeum Złota. Oniemiajcie, jak zobaczycie zbiór eksponatów!

Złe się czułam - to przez chorobę wysokościową, która jest powszechna wśród turystów odwiedzających Limę. Przespałam czas przeznaczony na odpoczynek. Wstałam i wzięłam lodowaty prysznic, licząc, że mnie orzeźwi. Tak się nie stało, zamiast tego dostałam zawrotów głowy. Nie przyznałam się jednak do tego i bez szemrania pojechałam oglądać cenne zbiory Museo de Oro.

Zawiodłam się bardzo, gdy przewodniczka, wyzutym z emocji głosem, powiedziała:

- Jeszcze w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku sądzono, że wyroby złotnicze pochodzą sprzed czasów konkwisty. Dziś wiadomo, że niektóre eksponaty są prawie doskonałymi kopiami albo podróbkami. Stąd odradzam państwu zakupy prekolumbijskich wyrobów ze złota, których nie brak w tutejszych sklepach, a nawet na bazarach, bo choć trudno na pierwszy rzut oka rozpoznać, że to współczesne falsyfikaty, nie są one oryginalne. Przejdźmy do następnej sali...

Czy muszę uzasadniać rozczarowanie po wizycie w Muzeum Złota?

- Zaprowadzę was jeszcze do Museo Rafael Larco Herrera - wymyśliła Victoria.

Maks dyskretnie odciągnął mnie na bok i zaproponował obiad i zwiedzanie zabytków.

Zgodziłam się. Jacek pognął z Victorią do następnego muzeum, my złapaliśmy taksówkę.

Posługując się łamaną angielszczyzną i pojedynczymi słówkami z rozmówek polsko-hiszpańskich 57

uzgodniliśmy cenę przejazdu, bo tutejsze taksówki nie miały zamontowanych Śadnych taksometrów i ruszyliśmy w drogę. Rozklekotane auto mknęło spowitymi mgłą ulicami z zawrotną prędkością.

Zawrotną zarówno jeśli wziąć pod uwagę stan techniczny pojazdu, jak i warunki atmosferyczne.

Mimo uprawianego przez kierowcę piractwa drogowego, bez szwanku przejechaliśmy ze wschodniej części miasta do centrum.

Znowu zakręciło mi się w głowie. Tym razem nie udało mi się tego ukryć przed Maksem.

Usiedliśmy na kamiennej ławeczce. Oddychałam z trudem, miałam wraŚenie, Śe jakiś ogromny głaż uciska mi Śebra. Po chwili objawy ustąpiły. Mogłam cieszyć się pięknym widokiem.

Znajdowaliśmy się na Plaza Mayor, najbardziej reprezentacyjnej części Limy. O tym, Śe miejsce to jest wartościowym elementem dla historii architektury i kultury świadczył fakt, Śe centrum stolicy Peru znalazło się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Plaza Mayor z równo przystrzyŚonymi trawnikami i klombami wypełnionymi cyniami oraz strzelistymi palmami robiła wraŚenie na turystach. Otaczające ją budynki miały Śółty kolor, z niektórych okien powiewały granatowe proporce przypominające obcym o tym, Śe oto znajdują się w Limie. Zrobiliśmy sobie zdjęcie na tle wysokiej fontanny, z której spoglądał aniołek.

Mgła stopniowo przeredzała się, wilgoć lgnęła do wszystkiego, na czym mogła osiąść lub co było w stanie wchłonać choćby odrobinę wody. Przy tym na dworze było ciepło, wręcz parno.

Spacerowało się bardzo przyjemnie. Tylko te prześladowające mnie zawroty głowy... Maks teŚ nie wyglądał najlepiej. Był blady i milczący.

Wstąpiliśmy do kafejki niedaleko deptaku. Klientami byli głównie obcokrajowcy - Francuzi, Amerykanie i para Rosjan. Na szczęście dysponowaliśmy niewielką ilością gotówki, bo Maks jeszcze w hotelu wymienił walutę.

- Mam chorobę wysokościową - powiedział. - Ty teŚ? - zapytał, jakby czytając w moich myślach.

Przytaknęłam głową. Znowu dostałam ataku duszności.

- Lima położona jest wysoko nad poziomem morza i stąd nieprzyjemne objawy. Organizm musi się przyzwyczać do rozrzedzonego powietrza. Jutro wszystko wróci do normy. Na razie pomoŚe nam pewien miejscowy specyfik - powiedział, równocześnie wskazując kelnerce coś w karcie i na palcach pokazując, Śe prosimy o dwie porcje.

- Mate de coca - powiedziała zachrypniętym głosem kelnerka i zapisała w notesiku.

- Zamówiłeś coca colę? - zainteresowałam się.

- Niezupełnie. Napar z koki. Koka ma w Europie niepocholebną opinię, ponieważŚ wytwarza się z niej proszek kokainowy - czysty narkotyk. Zanim w XIX wieku naukowcy opracowali procedurę

pozyskiwania narkotyku, koka była powszechnie znana i używana w Ameryce Południowej, ale nie w postaci proszku kokainowego, a rodzaju herbaty. Suto takŜe liście koki, co łagodziło objawy choroby wysokościowej i hamowało uczucie głodu. Kokę uprawia się tu zupełnie legalnie i legalnie się ją spoŜywa. Przy czym naleŜy zaznaczyć, Ŝe Indianom nie przyszłoby do głowy produkować z koki kokainy, bo uważają to za występki godny potępienia. Mimo to sądzi się, Ŝe w Ameryce Południowej jak nigdzie na świecie kwitnie biznes narkotykowy. Kokaina jest stąd przemykana nawet do Europy, gdzie ma sławę białej śmierci. Nikt nie wie, ilu ludzi zabiła, a ilu cierpi z powodu uzależnień.

- Paskudztwo! I ty kaŜesz mi to pić?

- Nie będziesz piła czystej kokainy, ale napar z liści koki. Przypominają wyglądem liście laurowe i ręcę głową Ŝe z ich powodu nie ucierpisz.

- Mam cię! - wycelowałam palec prosto w Maksa. - Jak mogłam o tym wcześniej nie

pomyśleć! Jak znam Ŝycie, Jacek zdąŜył zareklamować ci juŜ wszystkie wartości herbatki?

- Nawet wypiliśmy po filiŜance, kiedy spałaś. Jest naprawdę skuteczna.

Zainteresowani potrawą, której próbował prawie kaŜdy gość knajpki, na migi wytłumaczyliśmy kelnerce, Ŝe równieŜ chcemy spróbować dziwnej sałatki podawanej w wysokich pucharkach ze szkła.

- Ciągle zastanawiam się, co my tu jeszcze robimy - podzieliłam się z Maksem swoimi wątpliwościami.

- W jakim sensie?

- Chodzi o to, Ŝe nie mamy Ŝadnego punktu zaczepienia. Cassidy chyba nie chce przeczesać dŜungli metr po metrze, bo to niewykonalne!

- Niezupełnie. Nocą w klubie Victoria zdradziła nam, Ŝe posiada coś, co jest dowodem na istnienie Eldorado i zarazem drogowskazem do Złotego Miasta.

- Bazujesz na słowach. Czy widzieliście ów konkretny przedmiot?

- Zobaczymy go w Machu Picchu.

- Dlaczego nie wcześniej?

- Vicky w tej chwili fizycznie go nie ma. Wiesz... bo właściwie sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie wydało ci się to dziwne, Ŝe Manuel z Victorią postanowili stanąć do rywalizacji o to, kto pierwszy dotrze do mitycznego miasta Inków?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- A powinnaś. Victoria i Manuelem są współwłaścicielami tego przedmiotu, który ma wskazać drogę do Eldorado.

- Jak to możliwe?

- Tego nie udało mi się wyjaśnić, natomiast jest to bardzo podejrzane. MoŜe ów przedmiot pochodzi z jakiegoś nielegalnego zakupu albo z kradzieŜy?

- Zarówno Manuel jak i Victoria są bardzo bogaci. Nie sãdzę, Ŝeby musieli składać się na zakup. Przyczyna musi być inna. Co do kradzieŜy, szczerze wãtpię w nikczemne zamiary pani Cassidy. Pamiętaj, Ŝe z Victoriã skontaktował nas stryj, a on jest nadzwyczaj ostroŜny, jeŜli ma jakiegokolwiek wãtpliwości co do uczciwości człowieka, z którym pracuje. Tymczasem, kiedy rozmawiałam ze stryjem przez telefon, stanowczo zabronił nam wypisywać się z druŜyny pani Cassidy. Wiem, Ŝe jej ufa, wiãc uwaŜam, Ŝe my teŜ powinniśmy. A tak na marginesie... Kto przechowuje przedmiot-drogowskaz?

- Chyba jakaś osoba trzecia, bo z tego co mówiła Victoria, wszyscy zobaczą go dopiero w Machu Picchu. Podejrzewam, Ŝe ten przedmiot mógł trafić w posiadanie Victorii i Manuela za poœrednictwem złodziei wykopalisk. W Peru ich nie brakuje, rabujã stare groby i to, co znajdã sprzedajã na czarnym rynku za pokaźne sumy. SprzedaŜ autentyków i falsyfikatów rozwinęła się perfekcyjnie. Czarny rynek kwitnie i to niekoniecznie w ciemnych zaułkach, wystarczy przyjrzeć się temu, czym handlujã kupcy na ulicznych straganach. Znajdziesz i cukrowe czaszki, i ceramikę, i cenne figurki zarówno z kamienia, jak i ze złota.

- Wolãłabym, Ŝebyś nie miał racji.

Nareszcie na stół trafiły pucharki z ceviche. Na tę tradycyjnã peruwiańskã potrawę składa się surowe mięso morskiej ryby, bardzo drobno posiekane razem z chili i cebulã, zaprawione sokiem z limonki lub cytryny. Oczywiście potrawa ulega modyfikacjom w zaleŜności od zdolności i wyobraźni kucharza. Cechã niezmiennã, koniecznã do spełnienia, jest ŜwieŜość mięsa. Potrawa jest smaczna, delikatny aromat ryby uzupełnia nuta ostrej papryki. Cytryna staje się prawie niewyczuwalna. PoŜłek uzupełniliśmy ziemniakami i fãszerowanã paprykã.

59

Uraczeni rozgrzewajãcym napojem i rybã udaliśmy się na podbój centrum historycznego Limy, wypełnionego prawdziwymi perłami architektury kolonialnej. TuŜ przy Plaza Mayor mieœciły się katedra i ratusz. Ten pierwszy budynek powstał z polecenia Pizarra. Wielokrotnie niszczone przez trzęsienia ziemi, za kaŜdym razem odzyskiwał dawnã Ŝwietnoœć. Wnãtrze prezentuje się imponujãco. Głównã atrakcjã jest kaplica, w której spoczywajã szczãtki samego Francisca Pizarra.

Opuœciwszy katedrę, skierowaliśmy się w ulicę ograniczonã przez budynek poczty i Pałac Prezydencki. Przed pałacem pełnili wartę Ŝołnierze w reprezentacyjnych czerwono-chabrowych mundurach i białych rękawicach. Fasada budynku, który powstał w pierwszej połówce XIX wieku, mogła zmylić turystę nieobeznanego z historiã sztuki, albowiem bogactwo jej zdobieñ sugerowało, Ŝe jest duŜo starsza. Tak czy inaczej wspaniały portal ciãgnãcy się na całe wysokości gmachu idealnie

harmonizował z kruśgankami wykonanymi z drewna. Każde spojrzenie na fasadę przynosiło nowe wrażenia estetyczne. Uwagę przyciągał na przykład balkon ponad głównym wejściem imitujący olbrzymią muszlę.

Nazajutrz Cassidy przyprowadziła do hotelu mężczyznę, którego chciała nam przedstawić.

- Poznajcie Davida Motollę - powiedziała. - Był amerykańskim komandosem, zajmie się zorganizowaniem wyprawy, ma w tym zakresie spore doświadczenie. Potrafi prześyć w dżungli bez ekwipunku, licząc wyłącznie na własny umysł, a nawet dotrzeć do cywilizowanego świata bez pomocy mapy czy kompasu. Wie, jakie owoce można bezpiecznie jeść, jak zdobyć wodę i zna się na leczniczych właściwościach niektórych roślin. Jest niezastąpionym przewodnikiem i doradcą dlatego mianowałam go kierownikiem wyprawy.

- Od momentu, kiedy wasza noga postanie na ziemi należącej do selwy, nie uznaję najdrobniejszej niesubordynacji. Wyprawa do serca tropikalnego lasu wymaga maksymalnej koncentracji i niezawodnej organizacji. Nie będziecie mieli okazji do popełniania błędów, bo każdy błąd może równać się śmierci - powiedział, skupiając się na sednie sprawy.

- Polak potrafi! - stwierdził w ojczystym języku Jacek i cała nasza trójka wybuchła śmiechem.

Victoria była niezadowolona. Zbyt wiele czasu zajęłoby nam objaśnianie kulturowego kontekstu wypowiedzi, więc powiedzieliśmy jej, że śmiejemy się z siebie.

Wyciągnęłam rękę i przywitałam się z Davidem. Zdecydowanym ruchem uściśnął mi dłoń.

Był silny i wysoki. żeby spojrzeć mu w oczy, musiałam mocno zadrzeć głowę. Miał prawie dwa metry wzrostu oraz umięśnione barki i ramiona. Stał na szeroko rozstawionych nogach, jakby podświadomie chciał zakotwiczyć się w gruncie. Pozował na kowboja, niezłomnego drania, jednak zdradzały go oczy - pełne dziecięcej ufności, osadzone w twarzy o subtelnych jak na mężczyznę rysach.

Wymienił zwyczajowe uprzejmości z Jackiem i Maksym i od razu wrócił do rzeczy.

- Rozumiem, że wymagane zezwolenia peruwiańskich władz na wyprawę macie już załatwione?

- Jeszcze dziś odbiorę resztę dokumentów - zapewniła Victoria.

- Jak najszybciej zabierz się też do uzupełnienia braków w sprzęcie. Tutaj masz wykaz tego, co niezbędne.

- Załatwiłeś już indiańskich przewodników? - zapytała.

- Ciągle z nimi negocjuję. Mam wrażenie, że Falco chciałby, żeby dołączyli do jego wyprawy i usiłuje ich przekupić. Są najlepsi.

- Więc na co czekasz? Zapłać im więcej. Cena nie gra roli, chcę żeby byli w naszym teamie.
- Obawiam się, że tu nie chodzi o cenę, ale o wybór. Jeśli ty podniesiesz stawkę, Manuel też to zrobi. Ale ja już znajdę sposób na Aleksandra i jego kompanów. Obiecuję ci, że będą z nami.
- Nie interesują mnie obietnice, ale czyny.
- Zróbcie zakupy. Musicie poradzić sobie sami, bo ja mam inne zajęcia - mruknął i wyszedł, nie pośledzawszy się.

Wzięłam kartkę, którą zostawił David. Zestaw dla jednej osoby przewidywał takie oto akcesoria: maczeta, nóż, 2 manierki z wodą, tabletki oczyszczające wodę, zapalniczka, mapa, 2

kompasy, hamak, moskitiera, poncho chroniące przed deszczem, husta na głowę (nie kupujcie kapeluszy z dużymi rondami, jakie noszą bohaterowie filmów przygodowych, bo są niewygodne i ograniczają pole widzenia), wytrzymałe rękawice, gwizdek.

- Moim zdaniem, w spisie brak wielu niezbędnych artykułów - powiedziałam. - David zrobił spis rzeczy potrzebnych komandosowi do zabawy w szkołę przetrwania, nie zaś niezbędnik zwykłego człowieka.

- Zgadzam się z tobą - przytaknęła Angielka. - Powinniśmy zabrać także: aparaty fotograficzne, kamerę albo lepiej dwie...

- ...apteczkę - dorzuciłam.

- Mydło, preparat przeciwko komarom, flary.

- Latarki i baterie, kłębek wytrzymałej linki.

- Naczynia.

- Prowiant - wyprzedzałyśmy się w pomysłach, zapisując je niezwłocznie.

- I pilniczek do paznokci! - kąśliwie uzupełnił Jacek.

We czwórkę zapakowaliśmy się do taksówki i najpierw pojechaliśmy do Jockey Plaza Shopping Mall, później odwiedziliśmy inne centra handlowe, a na samym końcu wstąpiliśmy jeszcze na plac targowy o egzotycznej jak na Amerykę Południową nazwie - Chinatown.

- Czego nie kupiliśmy w sklepach, na pewno znajdziemy na straganach - podsumowała Victoria, przeciskając się w rozwrzeszczanym tłumie.

Ponieważ Maksowi, Jackowi i mnie kiepsko szło targowanie się na migi, a w łamanym hiszpańskim na bieżąco odczytywanym ze słownika szło jeszcze gorzej, daliśmy sobie spokój z zakupami. Zainteresowały nas natomiast szaszłyki i ziemniaki z grilla. Pachniały wyśmienicie.

Zjedliśmy po jednym i dopiero później Victoria uświadomiła nam, że to „anticuchos”, czyli wypiekane nad ogniem kawałki wołowych serc. Na szczęście, kiedy jadłam nie miałam o tym zielonego pojęcia, bo danie było doprawdy wyśmienite.

W drodze powrotnej taksówka zatrzymała się przed jakimś urzędem. Victoria odebrała zezwolenia potrzebne do zorganizowania legalnej wyprawy w głąb amazońskiego lasu. W hotelu zapakowaliśmy bagaże, które miały być potrzebne w Machu Picchu. Resztę rzeczy, zakupionych już na wyprawę do dżungli, zostawiliśmy w recepcji, skąd miał odebrać je David - odpowiedzialny za organizację głównej eskapady. Ponadto podjął się zadania zwerbowania pomocników: tragarzy i indiańskich przewodników oraz ludzi, którzy mieli opiekować się wyprawą z Cuzco, to znaczy w razie niebezpieczeństwa przeprowadzić akcję ratunkową.

Później udaliśmy się na lotnisko, skąd prywatny samolot przewiózł nas do Cuzco. Tamtego popołudnia nie zdarzyło się już nic godnego uwagi. Nazajutrz budzik miał zadzwonić jeszcze przed świtem, a że każdy chciał wyspać się przed męczącą wyprawą zaraz po kolacji przytuliliśmy się do poduszek.

61

Miękka, pachnąca pościel, klimatyzowany pokój i cudowne orchidee na nocnej szafce, a ponadto taca ze śniadaniem do łóżka, nie jakąś tam kukurydzą czy pieczonymi bananami, ale zwyczajnym angielskim śniadaniem - jajkami na bekonie, tostami i czarną kawą. Oto powody, dla których nie chciało mi się wstawać z łóżka. Znalazłabym jeszcze inne. Na przykład kilkukilometrowy marsz trudną trasą który nas czekał, i noc w gołych murach Machu Picchu. To prawda, że mieliśmy niepowtarzalną okazję stawić czoła przygodzie, ale w momencie, kiedy człowiek zrywa się z łóżka przed świtem, nie myśli o nowych odkryciach, a raczej marzy, żeby pospać jeszcze chociaż przez kwadrans.

Chłopcy zaczęli krzątać się po apartamencie. Niespiesznie było mi wstawać, więc naciągnęłam poduszkę na głowę i zamknęłam oczy. Jacek, gdy spostrzegł, co się święci, zdarł ze mnie kołdrę i siłą zaciągnął przed umywalkę.

Lustro odbijało dziwnie nieznaną postać. Cienie pod oczami, ziemista cera i te czarne włosy, za nic nie podatne na działanie grzebienia.

- Ciemne okulary i czapka - pocieszałam się.

Kiedy weszłam pod prysznic, okazało się, że efekty niewyspania są niczym w porównaniu do białych plam, które niczym kropki u biedronki, pokrywały całe moje ciało. Plamy miały średnicę od siedmiu do dwunastu centymetrów i wyglądały jak jakaś paskudna choroba tropikalna.

Przypadłością groźną jednak nie były, a wyłącznie skutkami nadużycia samoopalacza. Intensywnie

zabarwiony na brązowo naskórek w niektórych miejscach złuszczył się, odsłaniając naturalny odcień skóry.

- Zośka, wyłaż z stamtąd, bo nam pociąg ucieknie! - pieklił się Jacek.

- Zaraz!

Wpadłam w panikę. Gdyby na dworze panowała zima, ubrałabym się w golf i długie spodnie, i nikt nie zauważyłby uszczerbku w moim wyglądzie. Niestety, zimy nie było, a ja musiałam być przygotowana nawet na upał. Tylko, że nie mogłam pokazać się ludziom na oczy jako wielka biedronka, żeby nie powiedziec - krowa. Bo właściwie wyglądałam jak to ostatnie, łaciate zwierzę.

Nie mając pod ręką peelingu, złapałam to, co było w pobliżu, a mianowicie pumeks. Tarłam nim o skórę, a brązowa warstwa znikła. Pumeks działał dość dobrze, ale nie bez wad. Tam, gdzie szorowałam zbyt mocno, zdarłam naskórek, co potwornie piekło. Wychodząc spod prysznic, zarzucana zza drzwi gradem okrzyków w wykonaniu Jacka i Maksa, wyglądałam nieco lepiej niż

kwadrans wcześniej. Nieco, bo teraz zamiast białych plam na ciemnym tle, miałam czerwone na jasnym. Przetrzęsłam kosmetyczkę, której jeszcze nie zdążyłam zapakować do walizki i wysypałam jej zawartość wprost do umywalki. Przerzuciłam kosmetyki, znalazłam puder w kompakcie i pędzel. Paroma wprawnymi ruchami pomalowałam się, z powrotem upchałam do saszetki fluidy, szminki, różę, kredki i cienie.

- Albo w tej chwili wyjdiesz, albo wywaś drzwi! - odgrażał się Jacek. - Ile czasu można brać prysznic? - burknął, kiedy otworzyłam drzwi.

Zamiast kłócić się z nim, zabrałam bagaż, mówiąc:

- Spóźnimy się na pociąg.

Pokojówka na migi oznajmiła nam, że Victoria zwolniła apartament wcześniej rano, jeszcze przed ósmą. W holu nie było żywego ducha, nawet recepcjonistka dokądś wyszła i zza lady wydobywał się monotony dźwięk telefonu. Przed hotelem nikt na nas nie czekał. Atakowani przez kapuśniaczkę, ułożyliśmy plecaki na stos i usiedliśmy na nich.

- Co teraz? - zapytałam, popadając w ton rozpacz. - Czyby Victoria zostawiła nas na pastwę 62 losu?

- Nie ma się czemu dziwić - mruknął niezadowolony Maks. Był coraz bardziej poirytowany.

- Wracamy do domu? - powiedziałam najciszej jak potrafiłam.

- Genialny pomysł - Jacek palcem popukał się w czoło. - Proponuję wplaw przez ocean.

Dopłyniemy akurat na Boże Narodzenie.

- Jesteś jadowity jak indyjska kobra.

- Przynajmniej nie bujam w obłokach.

- Uspokójcie się - rozgniewał się Maks. - Pojmijcie wreszcie, że działamy w jednej drużynie.

Musimy pomagać sobie, planować wspólne działania, a nie wiecznie zwalczać się docinkami słownymi! Zamiast kłócić się, zaplanujmy coś.

- Proponuję najpierw zrobić podsumowanie - stwierdził mój brat. - Jesteśmy w niewesołej sytuacji, zważywszy na to, że nie mając zbyt wielu środków finansowych, znajdujemy się wiele tysięcy kilometrów od domu. Najbliższa przyjazna nam dusza, pani Sabina Grydoń, zajmuje się teraz pakowaniem precjozów na wystawę i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że robi to na innym kontynencie. Niestety z Ameryki Południowej do Północnej na piechotę nie dotrzemy, a przynajmniej nie przed odlotem pani Grydoń do Polski. Na samolot do Meksyku nas nie stać...

- Generalnie pomysł pogoni za legendą był nietrafiony - przerwałam. - Jeśli wziąć pod uwagę, że o Inkach wiemy tyle, co nic, a o samym Eldorado - jeszcze mniej...

- Liczyłeś na przygodę i rozczarowałeś się? - bąknął Jacek.

- Nie będę ukrywał, że tak. Przede wszystkim jednak, uważam, że powinniście mieć przynajmniej minimum zaufania do własnego stryja. Wysłał nas tu w konkretnym celu...

- Właśnie! - Jacek zaś podniósł się z miejsca. - Mieliśmy zbadać sprawę lamp, a tymczasem po lampach ani śladu, a my stanęliśmy do jakiegoś infantylnego wyścigu o to, kto pierwszy odnajdzie nieistniejące miasto!

Wtem, tuż przy krawędzi chodnika, z piskiem opon zatrzymał się jeep. Czarny, potężny i z przyciemnianymi szybami. Od strony kierowcy wyskoczyła Victoria.

- Zmiana planów. Jedziemy samochodami - stwierdziła, nie tracąc czasu na tłumaczenia.

- Moment! Znikasz wraz ze świtem, nie zostawiając nam żadnej informacji, pojawiaasz się ni stąd, ni zowąd w obcym samochodzie, choć mieliśmy jechać pociągiem i uważasz, że postępujesz fair? Do czego tak naprawdę jesteśmy ci potrzebni? Jak mamy ci zaufać, skoro nie mówisz nam wszystkiego? - Maks zagroził jej drogę. Był o pół głowy niższy od niej. Stała wyprostowana z opadającą na plecy kurtyną włosów w obcisłym ubraniu uwypuklającym kobiece krągłości, ze ściągniętymi łopatkami i wzrokiem twardo wlepionym w Maksa. Chłopak skulił ramiona i odsunął

się o krok.

- Tomasz mi zaufał i to wystarczy. Jedziemy samochodami, bo tak jest wygodniej, do pociągu przesiądziemy się później. Poza tym nasz informator zmienił ustalenia. Przekazuje nam towar dziś w południe na targu w Pisac. Musimy pojechać jeepem. Myślicie, że łatwo jest kupić od ręki takie auto w dobrym stanie?

- Tłumaczy się, a to znaczy, że kręci - powiedział Jacek po polsku. Victorii się to nie spodobało.

- Wsiadacie albo jadę sama. Nie pozwolę, by Manuel pierwszy zobaczył znalezisko.

Maks złapał plecak i wrzucił na tylne siedzenie.

- Znalezisko? - zapytał niby od niechcienia, ukrywając prawdziwe zainteresowanie.

Zapakowaliśmy się do jeepa. Victoria uśmiechnęła się do lusterka i do oporu wcisnęła pedał gazu.

63

- Ów przedmiot został przypadkiem odnaleziony niedaleko Vilcabamby, ruin inkaskiego miasta, pochłoniętych przez dżunglę.

- Co to za przedmiot i kto go odnalazł? - dociekałam, równocześnie analizując wszelkie „za” i

„przeciw” wyprawy do Machu Picchu. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to, co się wokół nas dzieje, to jedna wielka gra. Problem w tym, że ani Jacek, ani Maks, a tym bardziej ja, sąadne z nas nie rozdawało kart. Obawiałam się o nasze bezpieczeństwo, bo poruszaliśmy się po nieznanym gruncie, wśród obcych ludzi, zdani bardziej na wydarzenia, które przyniesie los niż na własny intelekt i działanie.

- Jeszcze nie wiemy, co to za przedmiot. Wiemy na pewno, że może doprowadzić nas do Eldorado - powiedziała Cassidy.

- Dlaczego obecny właściciel przedmiotu sam nie zajmie się poszukiwaniami? - zapytał

Jacek.

- Ten człowiek nie ma odpowiedniej wiedzy, jest biologiem i w dżungli interesują go wyłącznie motyle. Odkrył kilka nowych gatunków, zapewnił sobie miejsce w specjalistycznych encyklopediach...

- Skoro nie jest historykiem... - dedukował mój brat - ...skąd wiedział, że ów przedmiot jest cenny?

- Trudno nie zwrócić uwagi na złoto.

- Ach! - klasnęłam. - Czyli przedmiot jest wykonany ze złota?

- W całości.

- I to wystarczyło, żeby zainteresować ciebie i Manuela? - starałam się hamować sceptycyzm.

- Zafascynował nas kształt przedmiotu, prawdopodobnie wyobrażenie kondora. Reszty dowiecie się

na miejscu.

Maks, który razem ze mną zajmował tylną kanapę, zwrócił się do mnie szeptem:

- Czy kondory mają coś wspólnego z Eldorado?

- Nie wiem, ale pewnie były z jakiegoś powodu ważne dla Inków.

Niedługo później zatrzymaliśmy się w Sacsayhuaman - na terenach umocnionych położonych tuż za granicami Cuzco, dawnej twierdzy Inków.

- Myślę, że wystarczy czasu, żeby pokazać wam kilka miejsc, zanim pojedziemy do Pisac -

powiedziała Victoria, wyciągając kluczyki ze stacyjki.

Zaparkowaliśmy w piaszczystym zakolu, tuż przy drodze, obok paru innych samochodów.

Przed nami stanęła otworem olbrzymia przestrzeń porośnięta słotawą karłowatą trawą spod której prześwitywała ziemia. Dnem niewielkiej doliny biegły trzy rzędy murów rysujących na łące kształt zębów rekina.

Bokiem zbocza, omijając linię umocnień, wdrapaliśmy się na szczyt. Widok na dolinę ukraśzoną ruinami fortu zachwycał nie mniej niż panorama rozciągająca się po drugiej stronie wzniesienia. Zobaczyliśmy setki pomarańczowo-czerwonych dachów i jasnych murów wkomponowanych w pofalowany teren Cuzco. Ładnie współgrały z mnogością odcieni zieleni miejskiej. „Pępek świata”, nawet w XXI wieku, z perspektywy wzniesienia, wyglądał jak zaginione miasto na końcu świata.

- Pięknie tutaj - westchnęłam sentymentalnie.

Victoria przycupnęła na sterzącym z trawy głazie.

- Piękne jest Machu Picchu, Sacsayhuaman co najwyżej ładne. Niemniej jednak Sacsayhuaman jest bardzo istotnym miejscem ze względów historycznych, albowiem zdobycie tego rejonu umocnionego przez Hiszpanów prawdopodobnie zaważyło na tym, że ostatecznie to 64

przybysze z Europy wygrali wojnę o Peru.

- Streść nam przebieg wojny konkwistadorów z Inkami - poprosił Maks.

Victoria zerknęła na zegarek.

- Dobrze, możemy poświęcić na to parę chwil.

Chłopcy ulokowali się wygodnie na murze. Po przeciwnym krańcu doliny spacerowała grupka turystów, ale byli zbyt daleko, by nam przeszkadzać. Mogliśmy w spokoju wysłuchać opowieści Cassidy.

- Konkwistadorzy przybyli do wybrzeŝy Peru jesienią 1532 roku. Mieli jeden prawdziwy cel -

wzbogacenie siê. Najbardziej interesowało ich złoto, a ŝeby wytłumaczyć autochtonom niezaspokojone pragnienie cennego kruszcu, spreparowali historiê o swej chorobie, któr¹ uleczyć mogło jedno lekarstwo - złoto. Dla Inków złoto miało taką sam¹ wartoŝć jak jakikolwiek inny metal. Nie rozumieli, dlaczego biali przybysze tak bardzo go łakn¹. Ale zacznijmy od dnia, kiedy noga przywódcy konkwistadorów, Francisca Pizarra, po raz pierwszy stanêła na nieznanym terenie. W

owym czasie nie miał pojęcia, ŝe przyjdzie mu zmierzyć siê z ludem bardzo dobrze zorganizowanego państwa, ci¹gn¹cego siê wzdłuŝ zachodniego wybrzeŝa kontynentu przez tysiące kilometrów. Państwo to miało system starannie wybudowanych dróg, które codziennie przemierzali posłańcy najwaŝniejszego człowieka w kraju - Inki, odpowiednika europejskiego króla. Wyprawa Pizarra skierowała siê z północy kraju na południe. Inka, dowiedziawszy siê o przybyszach, nakazał

zapewnić im poŝywienie i noclegi. Z kolei Pizarro zadbał o to, by wykształcić tłumaczy, którzy mieli poŝredniczyć w rozmowach hiszpaŋsko-indiaŋskich. Swoj¹ drog¹ myŝlê, ŝe warto wspomnieć o tym, ŝe jêzyk keczua, którym posługiwali siê Inkowie, przez kilkadziesiąt lat, jakie upłynty od podboju Peru, praktycznie nie uległ modyfikacjom. Domyŝlacie siê pewnie, ŝe dla historyków jest to wielkie ułatwienie, wystarczy bowiem, ŝe poznaj¹ dzisiejsze narzecze keczua, by prowadzić badania pozostałoŝci po Inkach. Wróćmy do rzeczy. Hiszpanie podróŝowali w gł¹b kraju, planuj¹c wojnê i... zachwycaj¹c siê ziemniakami. Jedli je po raz pierwszy w ŝyciu. Zwróćcie uwagê na to, ŝe mówimy o pierwszej połowie XVI wieku. Zanim ziemniaki dotarły do Europy, upłynty jeszcze trochê czasu, a nam wydaje siê, ŝe znamy je od zawsze. Hiszpanie pilnie przyjrzeni siê wierzeniom tubylców i od razu uznali, ŝe autochtoni czczą diabła i naleŝy zapoznać ich z chrzeŝcijaŋstwem.

Pretekst do wojny był gotowy. Europejczycy maszerowali przez spowite gęst¹ roŝlinnoŝci¹ góry wprost do Cajamarki, gdzie spodziewali siê spotkać z Ink¹. Pod¹ŝali błotnistymi duktami, które zdawały siê pi¹ć po zboczach gór aŝ do nieba. Zapoznaj¹c siê z histori¹ podboju, przemierz¹ł¹ ten szlak. Wiecie, co zachwycało mnie najbardziej? Widok z wierzchołka góry na dolinê wypełnion¹ mgłą. Opary zdawały siê tworzyć mleczne jezioro zamknête w misce mchu. A ponad tym jeziorem rozci¹gało siê niebo o błêkitnej barwie, niespotykanej nigdzie indziej - rozmarzyła siê, lecz szybko zreflektowała. - Pizarro niebawem zorientował siê, ŝe dla Inków, podobnie jak dla Azteków, zarówno konie jak i broŋ palna, a nawet stopy metali, z których Hiszpanie wyrabiali bi¹l¹ broŋ, s¹ nowoŝci¹. Postanowił wykorzystać przewagê, maj¹c nadzieję na rychłe zwycieŝstwo. Wreszcie, po dłuŝszej i męcz¹cej wêdrówce przybysze stanêli u bram Cajamarki. Wtedy to dopadły ich w¹tpliwoŝci. Zadawali sobie pytanie, dlaczego tubylcy pozwolili im wejŝć tak głêboko w gł¹b l¹du?

Czuli siê zagroŝeni, nieustannie rozmyŝlaj¹c nad tym, czy aby nie wpadli w puł¹pkê. Wci¹ŝ liczyli jednak na spotkanie z samym Ink¹ - Atahualp¹. I tak siê stało. Kiedy dowódc¹ konkwistadorów stan¹ł naprzeciw Inki, udał, ŝe mu siê podporz¹dkowuje. Atahualpa pozwolił Hiszpanom pozostać w mieŝcie. Nakazał obserwować ich nieustannie. Najbardziej interesowało go to, czy biali ludzie s¹ bogami. Szpiedzy błyskawicznie donieŝli o chorobach podróŝników. Bogowie nie choruj¹, wiêc sprawa została wyjaŝniona. W trakcie nastêpnego spotkania Pizarra z Atahualp¹ towarzyszył im 65

ksi¹dz. Duchowny pokazał Ince krzyŝ i Pismo Ŝwiête i opowiedział o wierze chrzeŝcijaŋskiej, próbuj¹c zjednać sobie wł¹dcê z czerwon¹ kit¹ nad czołem. Inka wzi¹ł ksiêgê, przejrzał j¹, ale nie

mógł pojąć, dlaczego przedmiot miałby mieć coś wspólnego z Bogiem i zniecierpliwiony cisnął

księgą o ziemię. W jednej sekundzie Pizarro miał gotowy powód do wypowiedzenia wojny. W

ciągu następnych godzin przelało się wiele krwi, zginęło kilka tysięcy ludzi. Indianie nie mieli szans w starciu z bronią białych. Nawet ogromna przewaga liczebna nie uratowała mieszkańców Cajamarki przed pogromem. Jednego wieczoru nastąpił początek końca ich świata, który przez następne lata miał trwać w nieustannym konflikcie z Nowym Światem. Choć konkwistadorzy koniec końców podbili Peru, inkaskie wierzenia i tradycje w pewnym stopniu zachowały się do dziś i współistnieją z chrześcijaństwem. Feralnej nocy Atahualpa został schwytany przez Pizarra. W

nadziei na ocalenia siebie, przedstawił najeźdźcy propozycję nie do odrzucenia. Obiecał, że w zamian za swoją wolność, wypełni złotem pomieszczenie, gdzie go uwięziono. Od tamtego momentu zaczął się największy rabunek w historii dziejów. Hiszpanie ruszyli na podbój kraju, zabierając po drodze wszystko, co było wykonane ze złota. Kunsztowne precjoza przetapiali, nieodwracalnie niszcząc je, by kruszec łatwiej było dostarczyć do ojczyzny drogą morską. Łącznie do celi Inki trafiło siedem ton złota. Atahualpa był pewien, że umowa wiąże obie strony, natomiast Pizarro nie miał zamiaru dotrzymać obietnicy. Zamiast zwrócić królowi wolność, postawił go przed naprędce spreparowanym sądem i oskarżył o zdradę. Inkę skazano na śmierć.

Victoria ponownie rzuciła okiem na zegarek. Kontynuowała:

- Kolejnym przystankiem Pizarra było Cuzco. żeby do niego trafić, konkwistadorzy przemierzili ponad półtora tysiąca kilometrów. Od wkroczenia na nieznaną ziemię minął rok.

Wciąż byli niepewni swej sytuacji. Postanowili niejako ubezpieczyć się i zamiast rozgrywać następną krwawą bitwę, uznali władzę następcy Atahualpy, jego przyrodniego brata, zwanego Manco. Mimo to Inkowie czuli się zniewoleni. Nowy Inka w ukryciu postanowił wszcząć wojnę, więc zgromadził armię. Powodzenie Hiszpanów miało zależeć od tego, czy zdobędą twierdzę Sacsayhuaman. Inkowie bronili jej dzielnie, lecz ostatecznie ponieśli klęskę. Gdyby stało się odwrotnie, prawdopodobnie nie doszłoby do podboju Peru, a już na pewno nie przez Francisca Pizarra - Victoria przerwała wątek. Pstryknęła placami w zegarek. - Czas już na nas.

- Co się stało z Manco? - dopytywał się Maks. - Zginął w czasie oblężenia fortu?

- Wycofał się w głąb Doliny Urubamby.

66

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DZIEŃ TARGOWY W PISAC • NOCLEG W OLLANTAYTAMBO • CZYM UGOŚCILI NAS TUBYLCY? • GWIAZDY INKASKIEGO NIEBA • ZAGINIONE MIASTO • MANUEL

SZEFEM KUCHNI • ACH, TE KOBIETY! • WSPINACZKA NA PUNKT WIDOKOWY •

SAM NA SAM Z MANUELEM • ZAGADKA MACHU PICCHU • DOGONIĆ MIT • KILKA LEGEND O ZŁOTYM MIEŚCIE • CZŁOWIEK NAMASZCZANY CENNYM PYŁEM •

VILCABAMBA • ZMIERZCH WŁADCÓW IMPERIUM • CO ZNACZY „ELDORADO”?

Jeep sunął krętą drogą pnącą się na szczyty, za którymi była Święta Dolina Inków. Tam teŚ mieściło się Pisac, najbliŚszy cel naszej podróŜy. Minęliśmy rzekę, która niczym srebrna nitka ciągnęła się u stóp zboczy obfitujących w urodzajną roślinność. Mikroklimat doliny sprzyjał uprawom, toteŚ juŚ setki lat temu na piętowych tarasach sadzono kukurydzę i kokę. W pobliŜu miejscowości znajdowały się ruiny Pisac, ale tym razem interesowały nas nie pozostałości po kulturze prekolumbijskiej, a wiejskie targowisko. Właśnie tam Victoria miała odebrać przedmiot-klucz do Eldorado.

Na placu okolonym dwupoziomowymi budynkami i równo wyłoŜonym owalnymi kamieniami, panował ogólny gwar. Mnóstwo kobiet handlowało warzywami wprost z rozłoŜonych na bruku płacht materiału. Inne kupowały potrzebne artykuły, pakując je następnie do przewiązanych na ramionach chust. Zamiast reklamówek uŜywano tu właśnie pasiastych chust lub wiklinowych koszy. Kobiety były ubrane w suto marszczone spódnice i swetry w raŜących kolorach oraz beŜowe kapelusze. Gdziegdzie pomiędzy autochtonami przechadzali się turyści z róŜnych zakątków świata.

Kiedy zainteresowaliśmy się swetrami z wełny lam, Cassidy wykorzystała moment naszej nieuwagi, ulatniając się. Kupiliśmy trzy swetry, Maks i Jacek wybrali granatowe, ja wzięłam turkusowy. Nastął odpowiedni moment, by rozejrzeć się po okolicy, zwracając szczególną uwagę na to, czy gdzieś w pobliŜu nie ma Manuela.

Przy wieŜy z niebieskimi oknami i trzema dzwonami natrafiliśmy na Victorię. Na szczęście, zanim zauwaŜyła nas, ukryliśmy się pomiędzy płachtami ozdobnych tkanin. Powiewały na sznurze jak suszące się pranie.

Cassidy rozmawiała ze starym Indianinem. Miał wysuszoną wiatrem twarz, zoraną zmarszczkami i spracowane dłonie, na których uwydatniły się Śły.

Byli niespokojni, wymachiwali rękami, wygraŜając sobie. W końcu Victoria zagryzła usta, grzebiąc butem w ziemi, a Indianin poszedł pod foliowy dach, gdzie odbywała się towarzysząca targowi fiesta.

Wróciliśmy do samochodu. Nasza towarzyszka przerzucała kartki w notesie z adresami. Gdy dostrzegła nas, włoŜyła notes do schowka przy siedzeniu pasażera. Zajęliśmy miejsca w aucie, ale Śadne z nas nie miało odwagi zabrać głosu.

- Nici z transakcji - przyznała szczerze. - Łowca motyli oszukał mnie.

- Jak to? - Zdziwił się Jacek. - Wydaje mi się, Śe przedmiot-klucz miał zostać dostarczony do Machu

Picchu, kiedy będzie tam również Manuel.

- To były pierwsze ustalenia. Przekonałam tego człowieka, że jestem jedyną osobą godną zaufania, że przedmiot-klucz nie powinien trafić do rąk Falco. Albo raczej sądziłam, że go przekonałam.

- Dostaniemy tę rzecz w Machu Picchu? - zapytał Maks.

67

- To się okaże...

- Pospieszmy się zatem, by zdążyć do Machu Picchu przed zmrokiem - zaproponowałam.

- Za późno - odparła. - Pojedziemy na kraniec doliny i tam znajdziemy nocleg.

Ollantaytambo nie czekało na nas z otwartymi ramionami. Po podróży drogą prowadzącą dnem doliny przez Calca i Urubambę byliśmy zmęczeni, a należało znaleźć przyzwoity nocleg. W

tym wypadku był to pokój wynajęty od rodziny mieszkającej u podnóża gór. Podłogę współdzieliliśmy ze stadkiem świnek morskich. Zwierzątka o mądrych, czarnych oczkach i lśniących rudych futerkach miały wadę - nieustannie podgryzały pokarm, pokwikuując przy tym donośnie. Liczyłam na to, że w nocy uspokoją się.

Na kolację gospodarze podali pieczone nad ogniem mięso... ze świnek morskich.

Nie chciałam urazić sympatycznych Indian, ale nie potrafiłam opanować się. A już na pewno zjeść mięsa z gryzonia, tym bardziej że po podwórku biegają kilka sztuk drobiu akuratanego na rosół. Przypomniałam sobie moją świnkę morską, którą hodowałam w dzieciństwie. Zwierzątko było łagodne i przymilne. Pozwalało się głaskać i z zapalem pałaszowało podkładane pod pyszczek smakołyki. Czy teraz mogłabym pochłonąć na kolację dalekiego kuzyna mojej świnki? Nie! Na pewno nie!

- Indianin, który rozmawiał z tobą w Pisac, jest łowcą motyli? - zapytał Jacek, mlaszcząc.

Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę z tego, co je.

- Nie. Indianin nawet nie jest mieszkańcem Pisac. Na spotkanie przyszedł z dżungli. Oznajmił mi, że nie dostanę przedmiotu-klucza. Groził też, że jeśli nie wycofam się z poszukiwań Eldorado, szaman jego plemienia naśle na mnie duchy przodków.

- Chyba nie wystraszyłaś się - parsknął Maks i zaczął oglądać kości, z których obgryzł mięso.

Miałam wrażenie, że dopiero teraz zorientował się, co zjadł, bo mina mu zredła.

- Z duchami, szamanami i ich miksturami nie ma sztów - odparła serio.

- Co chciał wskórać tymi pogróŹkami? - mój brat myślał na głos. - PrzecieŹ Eldorado i tak nie istnieje.

Victoria popatrzyła na niego dokładnie w ten sam sposób, jak na starego Indianina. Bez poŹegnania poszła się połoŹyć. Nam nie chciało się spać, zwłaŹcza Źe gwiazdy rozsiane na niebie wydawały się być na wyciągnięcie ręki.

Nazwa Ollantaytambo prócz ruin kryła za sobą niewyszukane domostwa. Pomiędzy budynkami biegły brukowane uliczki, a przy murach - wąskie kanały nawadniające. Szumiała w nich czysta woda. W dzieñ czerwone dachówki malowniczo kontrastowały z fioletowo-granatowymi skałami górującymi nad wioską. I w tej miejscowości nie zabrakło tarasów uprawowych. Obecnie porastała je Źółta trawa, z której wystawały zeschnięte łodygi i kopczyki kamieni.

CiemnoŹ zmieniała krajobraz radykalnie. PoŹwiata księŹyca, padająca na góry, wydobyła fantazyjną fakturę skał. Przeniosła widza do baŹniowego Źwiata elfów.

Jacek zaszył się na tylnym siedzeniu jeepa, chyba miał zamiar spędzić noc w samochodzie.

Znacznie ochłodziło się. ZałoŹyliŹmy z Maksem nowe swetry. Wełna z lam nie była gorsza od owczej, w kaŹdym razie ogrzaliŹmy się.

Niebo przyjęło gamę barw od nasyconej ultramaryny w miejscu, gdzie słońce przed dwoma kwadransami schowało się za horyzont, do czerni na wschodzie. Na tym tle odznaczały się gwiazdy

- Źwieciły jasno, bo ich blasku nie tłamsiły zanieczyszczenia.

- SĄ cudowne - westchnęłam.

68

- Trochę kiczowate - powiedział zadziornie Maks.

- Nie dorabiaj niepotrzebnej ideologii. W Źyciu nie oglądałam ładniejszych gwiazd!

- Gwiazdy są wszędzie te same. Ale jedna jest tu niezwykła.

Zadarłam głowę.

- Która?

- Siedzi przede mną - szepnął Maks.

- Wiesz... To rzeczywiŹcie jest kiczowate...

- Co?

- To, co przed chwilą zrobięŹ - odparłam i dołączyłam do Victorii.

Z samego rana, kiedy dolinę wypełniał jeszcze różowy brzask, posignaliśmy się z gospodarzami. Pociągiem udaliśmy się do Chalcabamby, skąd do Machu Picchu było niecałe dziesięć kilometrów. Skład przystawał też na wcześniejszej stacji, w Qorihuayrachina. Stamtąd do Zaginionego Miasta można było dojść Szlakiem Inków. Niewytrawny piechur potrzebował na to około pięciu dni. Prawie tydzień wędrówki przez zapierające dech w piersiach przełęcze i dżunglę obfitującą w nadzwyczajne orchidee i dzikie zwierzęta. Po drodze jest czas na podziwianie przyrody i ruin oraz na przemyślenia. My wybraliśmy krótszy wariant wyprawy do Machu Picchu, wiążący się z zaledwie kilkugodzinnym spacerem ze stacji kolejowej.

Po południu pokonaliśmy ostatni szczyt i oto przed nami otworzyła się przestrzeń Zaginionego Miasta. Victoria, obyta z niezwykłymi krajobrazami Peru, parla naprzód. Chłopcy ze mną przystanęli.

- Chodźcie! - ponaglała Cassidy.

- Gdzie sprzedają bilety wstępu? - zapytał Maks.

- Nie są potrzebne.

- Jak to? - zdziwiłam się. - Państwo odrzuca możliwość zarobienia na największej atrakcji?

- Niezupełnie. Normalni turyści muszą wykupić bilety i opuścić miasto przed zamknięciem.

Jeśli ktoś zechce i są wolne miejsca, może zanoć w hotelu, niestety jest tylko jeden. Ale my, jako wyprawa naukowa, rozłożyliśmy obóz w ruinach. Uwierzcie, było niełatwo było załatwić pozwolenie. Udało się dzięki znajomościom i naszej pozycji.

- Waszej? - udałam, że nie zrozumiałam, żeby wyciągnąć od Victorii więcej informacji.

- Mojej i Manuela - ucięła krótko. - Dość zmarudziliśmy, idziemy!

Machu Picchu pozostało w zapomnieniu przez setki lat po tym, jak zostało opuszczone przez ostatniego mieszkańca. Na nowo przywrócił je światu Hiram Bingham dopiero latem 1911 roku, na dodatek stało się to przez przypadek. Marzeniem Bingham'a było ujawnienie miejsca, gdzie powstała ostatnia stolica Inków - Vilcabamba. Kiedy napotkany w trakcie wyprawy badawczej tubylec zaprowadził go do ruin, nie miał wątpliwości, że oto jego sen spełnił się. Popełnił błąd.

Rzeczywista Vilcabamba mieściła się gdzie indziej, pochłonięta przez tropikalny las, natomiast Bingham dotarł do Machu Picchu.

W trakcie naszych odwiedzin miasto wśród chmur zostało zamknięte przed zwiedzającymi.

Przy Domu Strażników, gdzie mieściło się wejście do ruin, czekali mężczyźni w czarnych kombinezonach z białymi plakietkami. Zagrodzili nam drogę, ale wystarczyło kilka słów Victorii rzuconych po hiszpańsku, by ustąpili. Jeden z nich przekazał coś przez krótkofalówkę, po czym poprowadził nas do Pałacu Księżniczki. Od razu muszę nadmienić, że nazwy nadane poszczególnym budowiom przez Bingham'a są wymysłem jego wyobraźni i nie mają potwierdzenia naukowego. Zatem Pałac Księżniczki wcale nie musiał być arystokratycznym domem.

W środku przygotowano wygodny nocleg, wypełniając kamienne pomieszczenie sprzętem turystycznym najlepszej jakości. Zostawiliśmy plecaki i ochroniarz wskazał nam drogę do innej części miasta.

Oślupiałam na widok Manuela przewracającego mięso na grillu. Był swobodny, ubrany w luźne spodnie i tunikę z lnu. Roześmiałam się, ponieważ widok mężczyzny grillującego pośród inkaskich ruin w ten sam sposób, jak robi się to w przydomowym ogródku, był bardzo zabawny.

- Witam strudzonych piechurów - powiedział. - Mam nadzieję, że okażę się lepszym kucharzem niż przewiduję. W przeciwnym wypadku będziemy mieli kłopoty, bo niestety nie dowożą tu jedzenia na telefon.

- Ekspedycja naukowa! - prychnął Jacek po polsku.

Na trawie stały kosze z prowiantem i przenośne lodówki z napojami. Rozsiedliśmy się na rozgrzanych przez słońce kamieniach. Przy pomocy szczypiec Manuel zdjął z ognia spory kawałek mięsa i położył na desce do krojenia. Danie pachniało wybornie, natychmiast poczułam wzbierające soki ślaskowe.

- Chcesz nas otruć? - zapytał Maks, pesymistycznie patrząc na zwęgloną powierzchnię wołowiny.

- Mr Falco jest znakomitym kucharzem, na pewno cię nie otruje - powiedziała Victoria z humorem, ale mnie nie umknął błysk zachwytu, jaki dostrzegłam w jej oczach.

- Serwuję stek według najnowszej receptury zwanej niebiesko-czarną - zaczął kroić mięso na cieniutkie plasterki. - Jak widzicie, czarna jest wyłącznie skórka, w środku mięso jest krwistoczerwone. Trzeba je piec w żywym ogniu.

Rozłożył kawałki pieczystego na pszenne tortille, dodał do tego warzywa i sos, a następnie zwinął jak naleśniki.

- Pyszne! - stwierdziłam zjadając.

Victoria zmieniła temat:

- Kiedy dokładnie zjawi się nasz informator?

- Przyjdzie o zachodzie słońca - odparł Falco.

- A jeśli nie?

- Przyjdzie! - stwierdził z naciskiem Manuel.

- Poproszę o jeszcze jedną porcję - przerwałam, obawiając się kłótni.

- Ja teŚ! - Jacek podniósł rękę do góry.

- I ja! - odezwał się Maks.

- A tobie, moja... - Manuel zawahał się. - Dla ciebie teŚ?

Nieoczekiwanie Victoria podniosła się z kamienia i ruszyła w stronę Pałacu Księżniczki.

- Spotkamy się wieczorem przy Domu Strażników - oznajmiła, zanim znikła nam z oczu.

Utkwiłam wzrok w Manuelu. Zachowywał się, jakby nic się nie wydarzyło.

- Ach, te kobiety! - Jacek ostatecznie rozładował atmosferę.

- Ach, te piękne Polki! - powtórzył mu Falco.

Mój brat dał znak Maksowi i stwierdził:

- Połazimy po ruinach.

- Całkiem mi tu dobrze. Chłodny tonik z cytryną...

- Nie leń się, idziemy sprawdzić kondycję - Jacek nie odpuścił i Maks w końcu zmienił zdanie.

Zapanowała cisza. Słońce prażyło, w powietrzu brakowało wilgoci, a od paleniska bił dodatkowy Śar.

70

- Zostaliśmy sami, Cinderello.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Miasto Inków zdawało się być opustoszałe, obsługa techniczna wyprawy zapewne schroniła się przed upałem w brezentowym pawilonie rozstawionym przy Pałacu Księżniczki. Czułam strach, bo Manuel był nieprzewidywalny. A ja w razie niebezpieczeństwa, nie miałabym dokąd uciekać.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Muszę przyznać, Śe choć bałam się Falco, równocześnie byłam nim zaintrygowana. Zniewalały mnie jego ciemne oczy i twarz z mocno zarysowaną szczęką. Był nieprzeciętnie przystojny i potrafił zachowywać się szarmancko wobec kobiet. Kusił, bo miał jakąś tajemnicę. I ja tę tajemnicę postanowiłam wydobyć na światło dzienne.

- Dokąd poszła Victoria? - zapytałam.

- Nie wiem. Jest członkiem waszego zespołu, nie mojego.

- I nie interesuje cię to?

- Niezależnej, silnej kobiecie nie można odmówić prawa do samodzielnych decyzji.

- Nikomu nie można odmówić takiego prawa.

Przewiesił sportową torbę przez ramię.

- Chodź, zabiorę cię do najpiękniejszego miejsca w Machu Picchu. Potraktuj to jako propozycję i sama zdecyduj.

- Idę.

Gdybym miała pojęcie, w co wpakuje mnie Manuel, zrezygnowałabym już na wstępie. Przez blisko dwie godziny wspinaliśmy się stromym podejściem, wykręcając kostki na skalnych stopniach. Z każdym następnym metrem słońce stawało się coraz bardziej niemiłosiernie. Smagało plecy parzącymi mackami. Rozgrzewało twarz, a na policzkach wystąpiła purpura. Wycisnęło z karku ostatnie krople wody. Jednak kiedy stanęliśmy na szczycie skały, zwanym Huayna Picchu, rozciągająca się z niego panorama wynagrodziła nam trudy alpinistycznych wyczynów.

Z perspektywy szczytu wydawało się, że mury miasta rysują na zielonych połaciach sekretne symbole. Przypominały chińskie znaki. Ruiny przemawiały sobie tylko znanym językiem, a my mogliśmy wyłącznie cieszyć wzrok.

Machu Picchu wciąż jest dla naukowców wielką zagadką. Nie wiemy, dlaczego Inkowie wybudowali i opuścili je w ciągu zaledwie jednego wieku. Istnieją teorie, jakoby Zaginione Miasto było punktem rytualnym przeznaczonym na potrzeby kultu religijnego albo centrum rolniczym.

Inna teza głosi, że było to miejsce, gdzie przechowywano i czczono mumie przodków, odgrywające kluczową rolę w inkaskich wierzeniach. Żadnego z tych twierdzeń nie udowodniono. Nawet przeznaczenie poszczególnych budowli stanowi zagadkę.

- Jak to się stało, że zapragnąłeś odkryć Eldorado?

- Gdy w swojej dziedzinie osiągniesz już wszystko, chcesz jeszcze więcej. Pragniesz sięgnąć dalej...

- Odkryć coś, co nie istnieje?

- Poszukuję Złotego Miasta właśnie dlatego.

- Nie rozumiem. Chcesz odkryć je dlatego, że nie istnieje?

- Znajdę je, właśnie dlatego, że ludzie myślą, że nie istnieje. Ale ono jest, hen daleko na południe, strzeżone przez dżunglę.

- Gdyby było, jak twierdzisz, przy technice dostępnej w XXI wieku, naukowcy już dawno by je zlokalizowali.

- Nie masz racji. Eldorado jest pilnowane przez dŹunglę, czyli przez naturę, a człowiek jest bezsilny wobec Źywiołu przyrody. Tak jak my, tu na szczycie skały, jesteśmy bezsilni wobec 71

piorunów.

- Czym dla ciebie jest Eldorado?

- Powiedz uczciwie... Myślisz, Źe to mit?

Przytaknęłam.

- Dla mnie jest celem. Widzisz... Mam juŹ wszystko. No... MoŹe prawie wszystko. W kaŹdym razie to, co mogłem samodzielnie zdobyć i jest to niezależne od innych ludzi, osiągnąłem. Gdybym nie miał marzeń, umarłbym. Marzenia dają siłę, by stawić czoła budzącemu się dniu. A wracając do Złotego Miasta. Na podstawie przekazów starych Indian, ludzi wędrujących po dŹungli i tekstów pozostałych po konkwistadorach, a takŹe legend moŹna uwierzyć w to, Źe Eldorado naprawdę istnieje.

- Więc... - wtrąciłam cicho, ale Manuel nie dał sobie przerwać.

- Największy problem tkwi w ustaleniu jednej wersji legendy o Eldorado, której moŹna by trzymać się w trakcie poszukiwań. Przez setki lat zgromadziło się mnóstwo podań. Właściwie kaŹdy człowiek zainteresowany ostatnim bastionem Inków, jest w stanie znaleźć nowych świadków. Mówią o tajemniczych przekazach przodków albo wręcz twierdzą Źe byli w Eldorado.

Ale Źaden z nich nie otworzył cywilizacji drogi do Złotego Miasta.

- Którą z legend wybrałeś na motyw przewodni?

- Tę, która wydaje mi się najbardziej wiarygodna, o ile legenda w ogóle moŹe być wiarygodna. Najpierw powinnaś poznać jednak inną. Myślę, Źe właśnie od niej wzięła się dzisiaj uŹywana nazwa Eldorado. Opowiada o Złotym Człowieku - władcy, który codziennie rano nacierał

ciało złotym pyłem, a Źe nie uŹywał ubrań, wyglądał niczym posąg ze złota. Ów kosztowny „strój” codziennie, przed snem zmywał, by rano na powrót ozłocić się.

- Złoty człowiek musiałby posiadać niezmiernie bogactwa.

- I tak myśleli konkwistadorzy, kiedy w 1540 roku Hiszpanie wyruszyli z Quito na poszukiwanie ziem należących do Złotego Człowieka.

- I co było dalej?

- Europejczycy przeŹyli trudne chwile ścierając się z tropikalnym klimatem, walcząc z dzikim nurtem rzek, przedzierając się przez dŹunglę, cierpiąc wyniszczający głód i zmagając się z Indianami. Nie skupię się na szczegółach wyprawy, bo akurat ta legenda nas nie interesuje. Dodam tylko, Źe

związane jest z nią Jezioro Guatavita w Kolumbii, gdzie może kryć się skarb. Zbiornik wodny jest położony w niezwykle malowniczym miejscu, otaczają go porośnięte zielenią zbocza, ma kolor szmaragdów i kształt niemalże idealnego koła. Trudno uwierzyć, że prawie doskonale wyrysowana linia brzegowa może być wytworem przyrody. Wyobraźnia sugeruje, że wyszła spod ludzkich rąk, fantastyka natomiast napomykać, że powstała dzięki kosmitom. Tak czy inaczej wizja złota spoczywającego na dnie jeziora doprowadziła Hiszpanów do ostateczności.

Zdecydowali, że osuszą zbiornik i żeby pozbyć się wody, wyrąbali w zboczu rów. Wody nie udało im się spuścić, bajkowego bogactwa nie odnaleźli.

- Pompy, nowoczesne technologie nie pomogły?

Manuel nie zwrócił uwagi na moje pytanie. Myślni był hen daleko od ciała. Mówił powoli, jakby opisując film, który odtwarza w głowie.

- Jezioro Titicaca jest drugim punktem obleganym przez poszukiwaczy Eldorado. Titicaca leży na granicy Peru i Boliwii. Jest niezwykle istotne dla Inków, gdyż wedle mitu to kolebka tego ludu. Podanie mówi, że Ojciec Słońce zesłał na ziemię dwoje swoich dzieci - syna i córkę, żeby nauczali ludzi o Słońcu. Ludzie mieli uznać je za boga i oddawać mu wszelakie honory. Poza tym dzieci Słońca miały pokazać podopiecznym jak hodować zwierzęta, uprawiać rośliny i żyć w 72

zorganizowanej społeczności. Ojciec Słońce skierował swe dzieci na *Titi caca*, czyli Titicacę.

Stamtąd poszły w świat i jako pierwsza inkaska para królewska założyły Cuzco. Inkowie czcili jezioro jak miejsce święte. W głębinach mogli ukryć złoto, którego nie zrabowali Hiszpanie. Biorąc pod uwagę, że konkwista posuwała się z północy na południe, a jezioro znajduje się na południowym krańcu Peru, tubylcy mieli i czas, i możliwość uczynić to przed przybyciem wrogów.

W boliwijskiej części Titicaca znaleziono cenne przedmioty ze złota, prawdopodobnie wrzucane do wody w celach ofiarnych. Niestety, liczne badania, przeprowadzane nawet przy pomocy kamer zainstalowanych na batyskafach, nie potwierdziły tezy, jakoby dno jeziora skrywało skarb Inków.

- Ale jednak jakaś opowieść zainspirowała cię do poszukiwań...

- Najbardziej zainteresowałem się legendą o Vilcabambie. W sumie trudno powiedzieć, żeby był to mit podobny do dwóch poprzednich. Powiedziałbym, że to raczej desperacka próba załatwienia luk w historii.

W napięciu wzięłam głęboki oddech, a Manuel pojął, że zniecierpliwiłam się.

- Słyszałaś o twierdzy Sacsayhuaman?

- Byliśmy tam z Victorią.

- Kiedy Hiszpanie przejęli kontrolę nad Sacsayhuaman, Inkowie musieli wycofać się z terenów umocnionych. Skierowali się wzdłuż Świętej Doliny. Na zboczach pobudowali osady z charakterystycznymi tarasami, gdzie uprawiali ziemniaki, kukurydzę i liście koki przeznaczone dla

członków rodu królewskiego i posłańców. Szczycili się tym, że w Ollantaytambo zbudowali najtrudniejszy do zdobycia bastion. Forteca jest położona bezpośrednio nad miastem. Samo miasto wygląda jak labirynt, wyznaczają je wąskie przejścia pomiędzy stosunkowo gęstą zabudową.

- Zgadza się. Widziałam.

- Kiedy Hiszpanie weszli pomiędzy budynki Ollantaytambo, Indianie pod dowództwem Manco zaatakowali. W tej bitwie odnieśli wielki sukces. Był rok 1536. Manco pragnął zbudować w Świętej Dolinie następną stolicę, równie godną co Cuzco. O znaczeniu tego miejsca dla Inków mogą świadczyć olbrzymie monolity znajdujące się na terenie Ollantaytambo. Jednak do Inki docierały niepokojące wieści - potęga Europejczyków rosła. Na terytorium Peru napływała coraz większa liczba nieproszonych przybyszów. W związku z tym należało się przygotować do dalszej obrony, a może nawet opuszczenia Ollantaytambo. Manco nakazał wybudowanie nowego miasta, ale po drugiej stronie pasma Andów, zamykającego Świętą Dolinę. Wraz z poddanymi przedarł się do dŹungli. Zatarli za sobą wszelkie możliwe ślady - drogi zrównali z ziemią zerwali mosty. Z Ollantaytambo poszli najpierw na północ, potem na północny zachód, dalej po bardziej płaskim, ale porośniętym puszcza terenie podążyli na zachód, następnie wykonali pętlę, kierując się z powrotem na południe, a kiedy zmierzli się z ostatnim łańcuchem górskim, wracając na północ, znaleźli się w Vilcabambie. Hiszpanie nie poddali się i ruszyli za Inką. Pizarro dowodził trzystoma ludźmi. Czekala ich niełatwa wędrówka przez wysoko położone partie gór, gdzie powietrze było rozrzedzone, więc oddychanie sprawiało trudność, a ludzie szybko się męczyli. Gdy Europejczycy zdobyli ostatnią przełęcz, otworzyły się przed nimi niezmiernie połączony lasów. Manco nie czekał

biernie. Przygotował dla przeciwników niemiłą niespodziankę. I tak w trakcie wędrówki Hiszpanów, w pewnej chwili z gór potoczyły się olbrzymie kamienie. Zginęło trzydzieści sześć osób. Europejczycy po raz drugi polegli. Gdy Hiszpanie nareszcie dotarli do Zaginionego Miasta, nie zastali w nim Inków. Zabawili tam dwa miesiące, penetrując dŹunglę. Zamordowali syna Manco i jej ciało wrzucili do rzeki. Na tym nie koniec. Inca uszedł z synem. Wkrótce powstała nowa stolica Inków - Vitcos, położona na rozległym szczycie, gdzie król wraz z dworem przebywał

kilka lat. W końcu Hiszpanie dopadli go i zabili na oczach dziewięcioletniego syna - Titu Cusi.

73

Wypiliśmy napój z kukurydzy, gasząc pragnienie.

- To był koniec Inków? - zapytałam, przełknąwszy ostatni łyk.

- W pewnym sensie. Manco miał następców, ale rządzą oni zaledwie garstką poddanych. W

1572 roku nadszedł kres inkaskiej dynastii królewskiej, kiedy wykonano wyrok na ostatnim władcy państwa.

- Gdzie znajdujesz w tej historii miejsce na Eldorado? - zapytałam, przypatrując się jak mężczyzna zginał puszkę po napoju i wsuwał ją do torby.

- Uważam, że część ludzi przeszyła najazdy Hiszpanów i po śmierci Manco w Victoros zaszła się w dżungli wraz z resztą skarbów, jaka została po Ince.

- Eldorado, Eldorado... - powtarzałam półszeptem.

Drżałam. Z przejęcia? Z zimna? Nie pamiętam. Manuel dostrzegł to i objął mnie.

- Przez stulecia, które minęły od chwili, kiedy konkwistadorzy dowiedzieli się o potężnym imperium bogatym w złoto, nazwa „Eldorado” przybrała różne znaczenia - mówił. - Naukowcy i podróżnicy zajmujących się dziejami Peru, odnoszą ją zarówno dosłownie do Złotego Miasta jak i do Złotego Człowieka i jego królestwa, lecz także w znaczeniu przenośnym określa się tym mianem Złoto Inków - precjoza ze szlachetnych kruszców i drogocennych kamieni.

- To znaczy, że mówiąc o Eldorado, niekoniecznie myślisz o Złotym Mieście?

- To prawda. Kiedy stracono Atahualpę, Inkowie przestali dostarczać Hiszpanom złoto.

- Kruszec, którego nie zawieźli najeźdźcom, ukryli?

- Tego nie wiemy z całą pewnością ale istnieje takie prawdopodobieństwo.

Zebrałam się na odwagę i zapytałam:

- Skąd wiesz, dokąd skierować wyprawę badawczą skoro nie znasz dokładnego miejsca ukrycia złota?

- Mówiłem już, że nie interesują mnie legendy mówiące o Złocie Inków, ale te bezpośrednio związane ze Złotym Miastem. Sprawdzimy tereny na południowy wschód od dwóch kondorów -

powiedział i zamilkł, jakby niewidzialna siła dała mu kuksańca w bok. - Dokładnie zadecyduję, gdy zobaczę przedmiot, który przyniesie informator.

Nagle zmienił temat:

- Masz sławnego stryja.

Domyśliłam się, że Manuel wie dużo więcej, niż chciał mi powiedzieć. Nie wykluczałam też

możliwości, że świadomie próbował wprowadzić mnie w błąd. Gdyby stryj przyleciał z nami, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Gdybyśmy choć mogli skontaktować się z Panem Samochodzikiem, wsparł by nas wiedzą i doświadczeniem. Ale musieliśmy liczyć wyłącznie na siebie.

- Wracajmy, bo nie zdążymy na zachód słońca - powiedziałam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

SPOTKANIE O ZACHODZIE SŁOŃCA • WARUNEK STAREGO INDIANINA •

TRADYCYJNE POLSKIE PASKUDZTWO Z WKŁADKĄ • ŚWIT W MIEŚCIE

**SKĄPANYM W CHMURACH • PORANNA POGOŃ • ODGŁOSY ZE SNU I PRZYKRA
NIESPODZIANKA • NAIWNA • FANT • W ŚLAD ZA MANUELEM • DWA KONDORY I
DROGA MLECZNA W ŚWIĘTEJ DOLINIE • DLACZEGO FALCO ZAINTERESOWAŁ**

**SIĘ LAMPKAMI? • KOBIETA ZE SKALECZONĄ RĘKĄ • ŁUPY SPOD WATERLOO,
CZYLI SKARB NAPOLEONA**

Victoria z Jackiem i Maksem czekali już przy Domu Strażników. W dzień granatowoczarne wzgórza nabrały teraz barwy złota. Może szukanie Złotego Miasta jest bezcelowe? Tamtego wieczora Machu Picchu wyglądało, jakby jego mury pokryto warstwą kruszcu. Czy Matka Natura nie dawała nam znaków, że oto Eldorado istnieje, stoimy na jego terytorium i dalsze penetracje Peru nie mają sensu? Może.

- Martwiliśmy się - powiedziała Victoria na powitanie.
- Niepotrzebnie - odparłam. - Byliśmy na... na... W punkcie widokowym.
- Na Huayna Picchu - uzupełnił Manuel.
- Oszalałeś! - Victoria uniosła się. - Wiesz, jakie to niebezpieczne?
- Narażałeś moją siostrę? - podłapał Jacek.
- Chroniłem ją, jest cała i zdrowa.
- Zgadza się - potwierdziłam. - Nie dorobiłam się ani jednego zadrapania.
- Kazałeś jej uprawiać wspinaczkę wysokogórską! - Victoria wybuchła.
- Nie zmuszał mnie do niczego!
- Nie pozwoliłbym na to, by włos spadł jej z głowy!

Victoria zagryzła zęby i założyła ręce na piersiach. Była wzburzona. Najchętniej zapytałabym ją czy jest zła na Manuela za to, że zabrał mnie na szczyt, czy raczej dlatego, że nie wziął jej. Nie zdążyłam, bo na drodze zjawiły się trzy osoby.

Starszy człowiek wraz z dwoma młodzieńcami zbliżyli się do nas. Najstarszy przywitał się po hiszpańsku. Victoria z Manuelem odpowiedzieli mu, reszta złożyła usta do uśmiechu i ukłoniła się.

- Nie jesteśmy w Azji - zauważył Maks, ale nikt go nie słuchał.

Męszczyzna mógł mieć około siedemdziesięciu lat. Był niski i krępy. Miał pociągłą twarz, na której dominował nos z szerokimi nozdrzami, przekłuty na wylot palmowym cierniem. Prócz tego nie różnił się od przeciętnego Europejczyka. Nosił skórzaną kurtkę, dżinsy i torbę przewieszoną przez ramię.

Informator począł wyjmować z torby gablotki ze spreparowanymi motylami, na końcu sięgnął po coś owiniętego w podeschnięte liście. Victoria złapała przedmiot i zaczęła odpakowywać go.

Indianin zatrzymał ją i podał zawiniątko młodzieńcowi po swej prawej stronie. Upchał witrynki z motylami w torbie i wybełkotał jeszcze kilka hiszpańskich słów. Później oddalił się szybkim krokiem tam, skąd przyszedł.

- O co mu chodziło? - zapytał Jacek.

- Możemy zobaczyć przedmiot dopiero o świcie. Do tego czasu będą go pilnować ci chłopcy.

Zapłacił im za to, żeby nie spuścili zawiniątka z oczu - tłumaczyła Victoria.

- Chce zyskać na czasie. Zniknie nam z oczu, zanim zobaczymy, co przyniósł, żeby uniknąć dodatkowych pytań z naszej strony. Zasyje się w buszu, a tam go nie wytropimy - dodał Manuel.

75

- Możemy jakoś przekonać ich, żeby wcześniej oddali nam przedmiot? - zaproponował Jacek.

- Zawarliśmy umowę z Indianinem - mówił Manuel, spoglądając na Victorię. - Honor nakazuje nam przestrzegać zasad uczciwości.

Victoria prychnęła. Przyznam, że te słowa w ustach Falco zabrzmiały wyjątkowo fałszywie.

- Zaprowadźmy ich do Intihuatana, tam w drugim obozowisku przy budowli w spokoju spędzą noc, a rano oddadzą nam przedmiot - zaproponował Manuel.

Victoria przystała na tę propozycję pod pewnym warunkiem.

- Nasza czwórka na zmianę będzie pełniła dyżur przy Intihuatana.

- Nie mam nic przeciwko temu - zgodził się Manuel. - Mój człowiek też spędzi noc przy świątyni.

Przez całe miasto nieśliśmy zawiniątko w grobowej ciszy. Indiański młodzieniec trzymał je na lekko wyprostowanych rękach niczym posąg bóstwa. Obok kroczył drugi, śledząc każdy nasz ruch. Umieściliśmy zawiniątko na środku pomieszczenia utworzonego przez brezentowy pawilon, gdzie zostały cztery osoby: wysłannicy Indianina, Jacek i ochroniarz z grupy Falco.

- Możemy jednak zerknąć na zawartość? - Victoria spojrzała Manuelowi głęboko w oczy.

- Informator mówił, że posąg pilnują duchy. Chcesz zadzierać z indiańskim szamanem?

- Od kiedy to boisz się czarnej magii ludzi z dŹungli?

- Indianie s moimi przyjacimi i nie mam zamiaru ich obraŹa. Poza tym nie zapomnij, Źe jesteŹmy to winni informatorowi. Bez niego nawet nie dowiedzielibyŹmy si o znalezisku dokonanym w okolicach Vilcabamby.

Victoria odcignla Manuela na bok. Nie odeszli jednak zbyt daleko, bo ze szmerw rozmowy udao mi si złoŹy dialog:

- ZastanawiaeŹ si, dlaczego Indianin zosta łowc motyli?

- Nie obchodzi mnie to.

- Wydawao mi si, Źe to raczej zajcie dla naukowcw.

- Dlaczego z gry zaoŹyaŹ, Źe on nie jest naukowcem? MoŹe skoczy jakieŹ studia, a moŹe jest pasjonatem owadw? Albo zarabia w ten sposb na Źycie? MyŹlisz, Źe Indian, ktrzy otarli si o Źycie w miastach, nie kusi Źwiat neonw i fast foodw? KaŹdy chce Źy wygodnie i niekoniecznie biega codziennie z dzid za obiadem. Przesta si czepia.

- Nie tak szybko! Skoro znasz odpowiedŹ na kaŹde moje pytanie, wyjaŹnij mi jeszcze, skd badacz motyli wiedzia, Źe znaleziony poŹród mchw i liŹci przedmiot jest cenny - zapyta, jakby zapominajc, Źe wczejŹ tłumaczya nam, iŹ uwag łowcy motyli zwrci fakt wykonania przedmiotu ze zota.

- To okaŹe si rano.

- A jeŹli Indianin oszuka nas? Zabra forsz i ulotni si?

„Zapacili” - pomyŹlaam, tymczasem gos zabra Manuel:

- Wrocimy do domu i bdziemy wspomina przygod w Machu Picchu.

- TeŹ mi przygoda!

Doaczyli do towarzystwa. Obiega budow, zza ktrej podsuchiwaam rozmow, Źeby nie zorientowali si, Źe staam tuŹ za rogiem.

Zaczo si Źciemnia. Mury miasta poczerniay. Jacek zosta z Indianami przy Intihuatana, reszta osb podreptaa do Paacu KsiŹniczki. PoruszaliŹmy si szybko, bo nie mieliŹmy przy sobie latarek ani ciepych ubra. Temperatura powietrza spadaa byskawicznie. Manuel szed kilkanaŹcie metrw przede mn. LuŹne ubranie opywao jego perfekcyjnie zbudowane ciao. Biel materiau odbijaa Źwiato ksiŹyca, co dawao wraŹenie, Źe postac jest nie z tego Źwiata.

- W porzdku? - zapyta Maks, ktry mi towarzyszy.

Kiwnęłam głową. Dyskretnie zmierzyłam przyjaciela wzrokiem. Był taki przeciętny, brakowało mu tajemniczości Falco, jego postury i spojrzenia. Maks był po prostu zwyczajny. Ale to wcale nie znaczyło, że pozostawał mi obojętny. Złapałam go pod rękę i czułam się bezpiecznie.

Przed Pałacem Księżniczki ekipa Manuela przygotowała kolację. Założyłam sweter z lamiej wełny i zajęłam miejsce przy turystycznym stoliku. Aluminiowe rurki i sprężyny w krzesłach trzeszczały niemiłosiernie. Nie zwracaliśmy na to uwagi, gdy z termosu nalano do jednorazowych talerzy zupę. Gorącą, aromatyczną zupę.

- Fuj! - skrzywiła się Victoria po spróbowaniu pierwszej łyżki. - Paskudztwo!

Poza Angielką nikt nie miał zastrzeżeń do smaku zupy.

- Wolę świnki morskie - Victoria zazgrzytała zębami. - Smakuje wam to? - zapytała zbita z pantaląku, kiedy wszyscy poprosiliśmy o następne porcje.

- Jak powiedzieć po angielsku, że chcę z wkładką? - zapytał mnie w rodzimym języku Maks.

Poradził sobie na migi.

- Śurek jest tradycyjną polską zupą - Manuel wyjaśnił w końcu Cassidy, po czym zwrócił się do mnie. - Zaskoczyłem cię?

W uśmiechu pokazałam wszystkie zęby.

- Najsmaczniej na świecie!

- Zośka, wrzuć na luz! Po co próbujesz mu się przypodobać? - rzucił Maks po polsku.

- Bo mi naprawdę smakuje - odburknęłam. Przesiadłam się bliżej Falco.

Macie w Peru polskich kucharzy?

- Nie sprawdzałem. Kucharz przyleciał z Polski razem z tą... Jak to się nazywa? - pokazał palcem na mięso.

- Kiełbasą.

- Białą kiełbasą - podkreślił, jakbym nie wiedziała, na czym gotuje się Śurek.

- Kosztowna kolacja.

- Twój uśmiech był tego wart.

Pozostali członkowie ekipy Manuela dokończyli jedzenie, złożyli krzesła i znikli z nimi w namiocie rozłożonym na podwórku.

- Chce mi się spać - powiedział Maks, stukając widelcem o kant stolika.

- Dobranoc! - rzuciłam sucho.

- A ty?

- Chyba nie myślisz, że zostawię Jacka samego, bez kolacji, obok zimnych murów starej świątyni?

- Wezmę z obozowiska śpiwory, wodę i latarki. Będziemy spać w Intihuatana.

Teraz razem spojrzeliśmy na Victorię.

- Nie ma mowy! - uniosła dłonie.

Jeszcze raz na nią popatrzyliśmy.

- Już dobrze! Pójdziemy razem.

Manuel nie miał zamiaru wspierać nas swoim towarzystwem. Zaszył się w swoim namiocie i ani myślał opuszczać ciepłego legowiska. Zabraliśmy termos z resztą Śurku dla mężczyzn pilnujących zawiniątka w świątyni i przez ciemną noc powędrowaliśmy na przeciwległy kraniec miasta.

W przestrzeni ograniczonej przez kamienne ściany, pod płachtą brezentu, roznosiły się ciche 77

pochrapywania. Czuwał jeden z młodzieńców zatrudnionych przez informatora i Jacek. Staralam się dotrzymać im towarzystwa, ale oczy same mi się zamykały. I zamykały... Aż usnęłam.

Na dwie godziny przed świtem potrząsnęła mną Victoria, a kiedy oprzytomniałam, położyła się. Usiadłam na schodach najbliższego budynku i owinełam się śpiworem, żeby nie zamarznąć, bo było przeraźliwie zimno. Lodowate powietrze rozbudziło mnie. Nie mogłam przypomnieć sobie, jaki miałam sen. Nie pamiętałam szczegółów, natomiast wiedziałam, że towarzyszyło mu nieprzyjemne uczucie strachu. Chyba za bardzo nasłuchiwałam się o szamanach i duchach, bo nie opuszczało mnie przeświadczenie, że w czasie mego snu Machu Picchu ożyło. Wyraźnie słyszałam dudniące dźwięki, jakby odgłosy obchodów religijnych ceremonii. Na szczęście wrażenie to było wytworem mojej wyobraźni. Na dworze było cicho i bezwietrznie. Budowle, opuszczone przed setkami lat, straszyły pustką. Odpoczywały pod nieskazitelnym niebem, skąpane w chmurach. Bo chmury otulały Machu Picchu jak łabędzi puch, lecz nie przesłaniały gwiazd.

Świt nadbiegł zza gór, ciągnąc za sobą różowo-pomarańczowy ogon, którym w jednej chwili przegonił noc. Cierpliwie wyglądałam ze schodów licząc na to, że wreszcie z południowego wschodu nadejdzie Manuel. Słońce wędrowało po niebie coraz wyżej, a Falco wciąż nie pojawiał się.

Prócz chłopca opłaconego przez łowcę motyli, wszyscy spali. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym porozumieć się z młodym Indianinem, więc nawet nie próbowałam. Zostawiłam przyjaciół w spokoju i udałam się na spotkanie Manuelowi. Po drodze natknęłam się na japońskich

turystów. Zdziwiłam się, bo przecież miasto miało być zamknięte dla zwiedzających pod pozorem przeprowadzania badań. Azjaci natomiast przywitali mnie z entuzjazmem, czyniąc liczne ukłony. Z

grzeczności naśladowałam ich i wyszło mi to całkiem niezłe, bo nikt się nie śmiał. Następnie odbyliśmy krótką sesję zdjęciową ze mną w roli dyŝurnego ducha Machu Picchu. Broniałam się przed fotografowaniem, wymachując rękami. Poniewaŝ nie porozumieliśmy się w ŝadnym języku, a oni z radością ustawili mnie pomiędzy sobą jak ciekawy eksponat w muzeum, uległam. Japończycy pstryknęli parę zdjęć i znudzili się mną. Natychmiast pobiegłam po Manuela, który wciąż nie pojawiał się na drodze. Zaniepokoiłam się na dobre. Czyŝby Falco stracił zainteresowanie przedmiotem-kluczem? Niemoŝliwe! „Zaspał” - pomyślałam.

Biegłam coraz szybciej i coraz mniej uważnie pokonywałam ciągi inkaskich schodów.

Gdzieniedzie stopnie były wyszczerbione, ale uniknęłam skręcenia kostki.

Zdyszana dopadłam Pałacu Księŝniczki. Kręciło mi się w głowie, a myśli pojawiały się i znikwały z szybkością błyskawicy.

Złość prawie rozrywała mi klatkę piersiową a gardło skuł uścisk ŝalu, bo oto po ekspedycji Manuela nie pozostał najmniejszy ŝlad. Nawet w miejscu, gdzie rozłoŝony był namiot, trawa była niezniszczona. Poczułam iskrę nadziei. Nie zastanawiając się długo, pognałam do Domu Straŝników. Tam teŝ było pusto. Taŝmy ochronne zamykające turystom wstępn do miasta, na których poprzedniego dnia widniały tabliczki z napisem: „Badania naukowe”, usunięto.

W drodze powrotnej przeszukałam jeszcze pomieszczenie, gdzie ulokowano część obozowiska, ale tam równieŝ nikogo nie zastałam. Nie wyobraŝam sobie, ŝeby ktoś kiedykolwiek szybciej pokonał odległość dzielącą Pałac Księŝniczki od Intihuatana.

Victoria, widząc, ŝe gnam na złamanie karku, wybiegła mi na spotkanie. Zatrzymałam się. Ze zmęczenia trudno mi było utrzymać równowagę.

- Manuel... Obozowisko... - z trudem łapałam oddech. - Nie ma ich!

Angielka oparła ręce na biodrach.

- Myślałam, ŝe mi się ŝni... Ktoŝ walił w bębny... To nie bębny... Ani sen... - dyszałam. -

78

Odgłosy ŝmigłowca...

Odwróciła się na pięcie i wielkimi susami wskoczyła do pawilonu. Poczłapałam za nią powłócząc nogami. Kiedy wlaŝłam pod dach, Victoria zajmowała się unieszkodliwianiem ochroniarza Manuela. Nie wysilała się zanadto, bo męŝczyzna sam zrezygnował z walki.

- Moja rola dobiegła końca! - oŝwiadczył i wyszedł, nie interesując się tkwiącym na ŝrodku sali zawiniątkiem.

Cassidy chwyciła przedmiot. Rozerwała liście i tym, co znalazła wewnątrz pakunku, rzuciła w kamienie.

- Jak mogłam być tak naiwna! Nabrałam się na jego sztuczki, choć dobrze je znam! -
wykrzykiwała.

Maks podniósł wyrzucony przedmiot.

- Wyjaśnisz to jakoś? - zapytał, kierując uwagę na mnie. Przełknęłam ślinę na widok pantofla ze szkarłatnej satyny zdobionej połyskującymi kryształami.

Victoria, kobieta samodzielna i ambitna, zamiast opłakiwać porażkę, wzięła się do działania.

Przez telefon satelitarny, który jak się okazało przez cały czas nosiła w plecaku, zadzwoniła do Davida Motolli i poczyniła pewne ustalenia. Następnie poczęstowała nas batonami czekoladowymi.

To było śniadanie. W tym czasie chłopcy wynajęci przez informatora, umknęli niezauważeni.

- Dlaczego Falco uciekł? - wyjęczał Jacek. - Wracajmy do Polski.

- Za godzinę przyleci po nas śmigłowiec - oznajmiła Cassidy.

- Wspaniale! - ucieszył się Maks.

- Nie wiem, czy podtrzymasz swój optymizm, jeśli powiem ci, że nie wracamy do Cuzco - tu zrobiła wymowną pauzę. - Polecimy wprost do serca dżungli. David był przeciwny, powiedział, że potrzebuje jeszcze paru dni na przygotowanie wyprawy, ale przecież nie możemy zwlekać.

- Po co mamy błądzić po buszu, skoro nie masz przedmiotu-klucza? - zapytał Jacek. Był zniecierpliwiony, marzył o powrocie do domu.

- Pójdziemy w ślad za eskapadą Manuela.

- Jak?

- Do obudowy telefonu satelitarnego wkleiłam mu nadajnik.

- Jak? - powtórzył Jacek.

- Zrobiłam to jakiś czas temu, jak jeszcze... - zawahała się. - Najważniejsze, że wiemy, dokąd się udali. Manuel nieźle to sobie wykombinował. Myślał, że zostawiając nas tu na pastwę losu, zyska nad nami przewagę. Ale ja nie dam się dezorientować!

- W jakim celu zaaranżował przedstawienie z butem? - zapytał Maks.

- Chciał zyskać na czasie, by mieć możliwość zbadania przedmiotu-klucza, który od łowcy motyli

przechwycił zapewne siłą - pacnęła się otwartą dłonią w czoło. - Jak mogłam być tak głupia!

Kiedy wieczorem nie chciałam rozpakować zawiniątka, miałam złe przeczucia. Uśpił je zrećźnie, mówiąc o honorze. Manuel nie jest człowiekiem honoru, ale byłam przekonana, że popisuje się przed Zośką i stąd to afiszowanie się z nienagannymi manierami.

Jacek dźgnął mnie palcem pomiędzy łebkami.

- Siostrzyczko, co to za historia z tym butem, he?

Nagle olśniło mnie.

- Wiem, co mogło być na przedmiocie z Vilcabamby! Pamiętacie, byliśmy wczoraj z Manuelem w punkcie widokowym...

- I co z tego? - wtrącił Maks.

- Spędziłam razem sporo czasu. Manuel dużo opowiadał mi o legendach na temat Eldorado.

79

W pewnym momencie posunął się o krok za daleko i zdradził, że ma zamiar szukać Złotego Miasta na południowy wschód od dwóch kondorów.

- Na południowy wschód od dwóch kondorów. A więc to tak! - Victoria podskoczyła z radości.

- Wiesz, gdzie są dwa kondory? - dociekałam.

- Myślę, że Manuel oparł swe przypuszczenia na badaniach pewnego naukowca noszącego nazwisko Sullivan.

- Poszukiwacza Eldorado? - zapytał Maks.

Cassidy odzyskała dobry humor, mówiła łagodniejszym głosem:

- Nie. Bill Sullivan jest historykiem, naukowcem. Wraz z Fernando Elorietą dopatruje się znaczenia układu gwiazd dla inkaskiego świata. Twierdzi, że Święta Dolina jest odbiciem Drogi Mlecznej. Oko człowieka zapoznanego z tą teorią może rozpoznać na górskich zboczach ponad Świętą Doliną rzeźby przedstawiające gwiazdozbiory: kondora, lamy, ropuchy, węże i drzewa.

- Podróżowaliśmy przez Świętą Dolinę i nie zauważyłem tam żadnej z wymienionych rzeczy

- powiedział Maks.

- Nie wiedziałeś, w jaki sposób patrzeć. Inkowie mogli podziwiać Drogę Mleczną z gwiazdozbiorami jawiącymi się na niej jako ciemne plamy. I przenieśli to, co widzieli, na górskie zbocza. Postać kondora można obejrzeć w okolicach Pisac. Na niezbyt stromym i rozłożystym

zboczu widać głowę ptaka z mocno zarysowanym dziobem i górną część tułowia.

- Czyli jeśli wiesz, skąd patrzeć, znajdziesz kondora, a z innych punktów go nie widać, tak? -

dociekałam. - W jaki sposób można wyrzeźbić kondora, żeby był widoczny tylko z określonej perspektywy?

- Rzeźba składa się z czegoś, czego w Świętej Dolinie jest pod dostatkiem, bowiem kondor jest uformowany w dużej mierze z tarasów uprawnych. Wyjaśniałoby to, dlaczego Inkowie budowali tarasy w miejscach, gdzie na pierwszy rzut oka wydają się bezużyteczne, ze względu na wysokość położenia, trudny dostęp i niewielkie rozmiary. Patrzyli nie tylko na funkcję rolniczą tarasów, ale przede wszystkim na to, jaki kształt nadadzą rzeźbie. Warto wspomnieć, że u podnóża kondora leżą ruiny inkaskiej świątyni. Drugi kondor znajduje się nad miastem Urubamba. Pokazany jest od tyłu, z wygiętą szyją i olbrzymimi skrzydłami. Nad Ollantaytambo dostrzegliśmy zaś lamę.

- Czy kondory były w szczególny sposób ważne dla Inków? - zapytał Jacek.

- W mitach są kojarzone z przeniesieniem duszy po śmierci do lepszego świata.

- Jaki związek mogą mieć z Eldorado? - drążył mój brat.

- Nie potrafię dopatrzeć się logicznego powiązania ptaków i Złotego Miasta.

- A gdyby wyjaśnić to w ten sposób, że rzeźby kondorów, które były już w Świętej Dolinie, kiedy Inkowie musieli się z niej ewakuować, posłużyły mieszkańcom Eldorado jako punkt orientacyjny do skonstruowania mapy? - dedukowałam.

- Całkiem możliwe - odparła Cassidy. - Ale twoje tłumaczenie nie przekonuje mnie do końca.

Zamyśliła się, złożyła ręce w pięści.

- Pilnowaliśmy zawiniątka, tymczasem powinniśmy pilnować pana Falco! - powiedziała, ocknąwszy się.

Zabraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy, resztę złożyliśmy w pawilonie. Po południu do Cuzco mieli je zabrać pracownicy Angielki. Po dolinie rozniosło się echo łomotu helikopterów. Czas na następną odsłonę przygody.

Teresa załatwiała przez telefon sprawy służbowe, Ola z Tolą siedziały w salonie. Zajęły się 80

doczepianiem do firanki kwiatków uformowanych z papierowych serwetek. Wymknąłem się z domu niezauważony, wsiałem do ferrari i odjechałem w stronę pałacu w Krobielowicach. Po drodze postanowiłem, że najpierw przyjrzę się monumentowi wystawionemu feldmarszałkowi wiele lat po jego śmierci.

Nie chciałem zostawiać samochodu przy grobowcu, ponieważ nie trudno było zauważyć go z drogi, ale nie znalazłem lepszego miejsca. Zamknąłem auto i poboczem poszedłem do pałacu.

Musiałem zastanowić się nad sensownością dalszego pobytu w Krobielowicach. Zośka z Jackiem i Maksym - jak mi się zdawało - dawno zapomnieli o sprawie lamp, pochłonęła ich legenda o Eldorado. A jeśli chodzi o lampy, no cóż... Może miały dla Manuela Falco wartość sentymentalną?

Faktem jest, że wyrób należący do Teresy był niegdyś ciekawym eksponatem, ze znakomitej i sławnej huty. Ale kiedy karafince odcięto szyjkę, to z punktu widzenia kolekcjonerskiego bezpowrotnie straciła wartość. Z racji tego, że karafinki pochodziły z miejsca oddalonego od Krobielowic o kilkaset kilometrów, trudno było przypuszczać, ażeby w jakikolwiek sposób łączyły się z pałacem. Stale frapowało mnie jednak to, że karafinkami zainteresował się Falco, który był przecież wybitnym badaczem artefaktów. Dlaczego człowiek zajmujący się na co dzień zagadnieniami wielkiego kalibru, jak chociażby Eldorado, nagle zainteresował się zniszczonymi karafkami pochodzącymi z huty polskiej szlachty?

Miałem w głowie mętlik i nijak nie potrafiłem połączyć poszczególnych wątków. „Chyba że równocześnie z poszukiwaniami Eldorado, Manuel trudniłby się także jakimś problemem związanym z Napoleonem?” - pomyślałem. „Coś w tym jest. Jeśli Falco poniesie klęskę w poszukiwaniach Złotego Miasta, a jest to bardzo prawdopodobne. Manuel będzie miał następną kartę do rozegrania. Jeśli odkryje coś związanego z Napoleonem, nie okrzykną go wielkim przegranym w sprawie Eldorado, bo wyciągnie z kieszeni asa.”

- Cóż mógłby odkryć? - zacząłem szeptać do siebie. Rozemocjonowałem się. - Feldmarszałek Gebhard Leberecht von Blücher dwukrotnie zwyciężył wojska francuskie. Po raz pierwszy stało się to w bitwie nad Kaczawą 26 sierpnia 1813 roku. Za drugim razem jego wkroczenie do boju przeważało szalę w bitwie pod Waterloo na niekorzyść Francuzów. Kiedy 15 czerwca 1815 roku pokonał na polu bitwy Napoleona, był już bardzo dojrzałym człowiekiem. Za odwagę na polu walki i zasługi na stanowisku dowódcy, dostał od cesarza majątek w podwrocławskich Krobielowicach.

Wtem mamrotanie przerwał mi damski głos:

- Pan szanowny coś mówił?

Ujrzałem starszą kobietę uprzętą trawnik. Miała na sobie staromodne legginsy i mocno wysłużoną wędkarską kamizelkę. Ruszała się swawo. Ciemnobrązowa skóra wskazywała na to, że kobieta wiele czasu spędzała na dworze.

- Dzień dobry - ukloniłem się.

Oparła grabie o drzewo i wyprostowała kręgosłup. Prawą rękę miała owiniętą bandażem, poruszanie nią sprawiało jej ból.

- Mogę w czymś panu pomóc? - zapytała, wyciągając zza pnia jutowy worek. Schyliła się, żeby zapakować zagrabione liście i śmieci.

Podtrzymałem worek, żeby ułatwić jej pracę.

- Nie, nie mogę! - zaprotestowała.

- Nie jestem gościem hotelu - powiedziałem, domyślając się, że obawiała się szefostwa. -

Proszę pozwolić sobie pomoc, dobrze mi zrobi trochę ruchu. Widzę, że ma pani poturbowaną rękę.

- Ach... Skaleczyłam się. Ludzie to w ogóle wyobraźni nie mają! Po zabawie potłukli butelki i szkło wrzucili do kwiatka. Pan szanowny sobie wyobraża? A takie paniska! Z Ameryki! Nawozu 81

kwiatkom podsypać chciałam, a że szkło zielone, nie było go widać pomiędzy liśćmi. W szpitalu sześć szwów musieli mi założyć.

- Bardzo mi przykro.

Pewna myśl przyszła mi do głowy.

- Czy byłaby pani tak uprzejma i pokazała mi te kwiatki?

- A co mam nie pokazać! O proszę! Tam naprzeciw wejścia. Ale żeby to tak z lenistwa do śmieci nie wyrzucić...

Ukloniłem się i ruszyłem na podjazd. Zabrałem się do przeczesywania kwietnika.

- Niechże pan zostawi to szkło! A jeszcze potrzeba, żeby i pan ręce pociął! - ruszyła w moją stronę.

- Obejrzę taras - powiedziałem, umykając kobiecie sprzed oczu, żeby uniknąć jej zainteresowania.

Dolny krużganek był pusty, więc zająłem jedną z wolnych ławek. Wyciągnąłem z kieszeni kartki wydarte z broszury Krzysztofa R. Mazurskiego. Miałem nadzieję znaleźć jakieś informacje dotyczące Blüchera, które naprowadziłyby mnie na ślad łupów zdobytych przez generała w bitwie pod Waterloo. Chodziło mi o przedmioty należące wcześniej do Napoleona. Prócz majątku w Krobielowicach oraz książęcego tytułu, który otrzymał za zasługi wojenne, feldmarszałek wszedł w posiadanie części rzeczy z polowego wyposażenia Napoleona.

Na dwunastej stronie broszury znalazłem potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Przechowywano tu liczne pamiątki po Feldmarszałku i z kampanii napoleońskiej, w tym tabakierę, miniatury i polową wannę Blüchera, srebrny talerz z zastawy cesarza Napoleona, jego empirowe łóżko z pałacu Saint Cloud pod Paryżem i zdobyczną karetą podróżną z 1815 r. oraz karetę paradną z koronacji Wilhelma I na króla Prus. W 1945 r. zostały one rozgrabione przez żołnierzy radzieckich i miejscową ludność.

A jeśli Blücher ukrył część zdobyczy? Feldmarszałek zmarł po upadku z konia, była to dość niespodziewana śmierć, można by rzec, że w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Nie zmienia to jednak faktu, że Blücher w chwili odejścia z tego świata liczył sobie 77 lat, więc nie był

człowiekiem młodym. Mógł myśleć o tym, by zachować jakąś rzecz dla potomnych, ukrytą przed oczami chciwych ludzi w bezpiecznym miejscu. Coś mogłoby to być?

- BiŚuteria? - mruknąłem do siebie.

Napoleon lubił obsypywać kobiety klejnotami. Doskonałym przykładem jest rubinowo-diaamentowy garnitur, który zachował się po jego ówczesnej narzeczonej - Desiree Clary, która była królową Szwecji. Obecnie klejnoty naleŚą do duńskiej królowej Małgorzaty. CzyŚby Manuel Falco trudnił się poszukiwaniami skarbu samego Bonapartego?

82

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ŁĄDUJEMY W SELWIE • ROZKAZ: ZDJĄĆ SKARPETY! • ROZKŁADAMY OBÓZ •

NOCNE ODGŁOSY DŚUNGLI • INDIAŃSKIE POCZUCIE CZASU • JAK NA EGZOTYCZNEJ PLAŚY • TOWARZYSZE Z KOLCAMI JADOWYMI I INNE

ZAGROŚENIA • NIEOCZEKIWANA WIZYTA O PORANKU • KTO JEST WODZEM

NASZEGO PLEMENIA? • MAM TAJEMNICZĄ MOC • ESKORTA DO WIOSKI •

UWIERZYĆ W ELDORADO • POLOWANIE NA GADA • ŚWIAT INDIAN I CYWILIZACJA

Dopiero kiedy odgłosy śmigłowców rozplęły się w oddali, poczułam, Śe Śarty się skończyły. Mimo Śe wyprawa składała się z kilkunastu osób, nagle poczułam samotność. W starciu z ogromem tropikalnego lasu byłam jak nic nieznaczący pyłek. Obserwowana z wysokości dŚungla była zielonym kobiercem, miękkim i puszystym jakby utkał go ktoś z kaszmirowej włóczki, ale w bezpośrednim kontakcie okazała się niedostępnym borem pełnym niebezpieczeństw i wilgoci. Przy kaŚdym kroku rzucała kłody pod nogi - w znaczeniu dosłownym i przenośnym.

Zanim wynajęci pomocnicy wylądowali z helikoptera ekwipunek i zapasy, moje ubranie moŚna było wykręcać z wody jak ścierkę. Od tej chwili, aŚ do końca wyprawy, pot miał łać się z nas struŚkami. Powietrze było nasycone wilgocią na tyle, Śe pot nie odparowywał ze skóry, tylko po niej spływał.

Naszym głównym przewodnikiem oraz osobą, która kierowała eskapadą i miała decydujący głos w spornych kwestiach był David. Kiedy zgromadziliśmy się wszyscy wokół sterty bagaŚy, huknął:

- Zdejmować skarpety!

Jacek spojrzał na mnie zagadkowo, Maks westchnął cięŚko. Victoria nawet nie drgnęła, bo skarpet w ogóle nie załoŚyła, a do plecaka spakowała tylko jedną parę.

- Chyba się nie rozumiemy? - warknął były wojskowy, celując w nas palcem. - Ja wydaję rozkazy, wy wykonujecie.

- Rzeczywiście, chyba się nie rozumiemy - odparłam stanowczo. Wskazałam na Victorię. -

Ona płaci, ty prowadzisz. Masz głos tylko i wyłącznie w sprawach survivalu.

- W takim razie zdejmuj skarpety!

- Tylko bez przemocy - Cassidy rozdzieliła nas. - Skarpety musicie wyrzucić. Specjalnie kupiliśmy na wyprawę sięgające pół łydki skórzane buty, podobne do tych, jakich wojsko używa na wyprawach w tropiki, żeby jak najlepiej chronić nogi. Takie buty zabezpieczają przed ukąszeniami owadów i gadów, a naturalny materiał pozwala nogom oddychać.

- Skarpety są bawełniane. Te naturalne - bąknął Jacek.

- Liczcie się z tym, że nogi będziecie mieć nieustannie mokre. Trzeba je co kilka godzin suszyć, żeby uniknąć zakażenia skóry. W panującym tu klimacie najmniejsza rana czy obtarcie goją się długo i mogą być źródłem śmiertelnych infekcji - Victoria wzięła stronę Motolli.

- Śmiertelnych, powiadasz? - zapytał Maks retorycznie, po czym posłusznie ściągnęliśmy skarpety.

- Zdejmowanie skarpet to sposób amerykańskich żołnierzy, którzy byli w Wietnamie -

podsumował David. - Druga uwaga. W dżungli przez nadmierne pocenie traci się z organizmu jedną czwartą płynów dziennie. Oznacza to, że aby zachować pełnię sił i zdrowia należy pić nawet dziesięć litrów wody na dobę. Pamiętajcie o tym.

83

- Idziemy już? - Jacek przebierał nogami.

- Niedługo zapadnie zmierzch. Rozłożymy obozowisko. W drogę wyruszymy z samego rana - powiedział David. Tym razem wypełniliśmy rozkaz bez zbędnego marudzenia.

Obozowisko stanęło dzięki sile męskich mięśni, my z Victorią przygotowaliśmy posiłek - improwizowaną zupę. Mamałyga z ryżu, fasoli i suszonego mięsa lepiej smakowała niż wyglądała.

Wprost w płomienie wrzuciliśmy trochę zielonych liści. Kiedy trawił je ogień, powstało dużo dobrego dymu odstraszającego owady i większą zwierzynę - nieproszonych gości. Później wgramoliliśmy się do hamaków, które rozwieszono naokoło paleniska. Szczelnie owinęliśmy się moskitierami i przyszedł czas na sen. Tylko dlaczego sen nie nadchodził? A jak tu spać, skoro z nadejściem nocy zbudziła się cała dżungla?

Ciszej jest w mieście w trakcie szczytu komunikacyjnego niż w równikowym lesie po zapadnięciu zmroku. Wtedy to na ścieżce udaje się większość zwierząt. Dzikie koty mogące rozszarpać człowieka jednym pazurem, wszędobylskie mrówki, krwiożercze wampiry, węże, śmieje... A naszą jedyną ochroną miały być delikatne jak mgła moskitiery!

Z sąsiedniego hamaka dobiegało chrapanie. Tymczasem ja nawet nie zmrugałam oka. Każde pisk, huk, trzaśnięcie gałązki, powiew wiatru poruszający liście przyprawiały mnie o zawrót głowy.

Najchętniej przeleżałabym bez ruchu i z otwartymi oczami do rana. Jednak nie mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ najgorszym wrogiem wędrowca w dżungli było zmęczenie. W trakcie snu siły regenerowały się, by następnego dnia można było wytrzymać dalszy maraton.

Paraliżował mnie strach, ale podjęłam decyzję. Nigdy wcześniej nie spałam w hamaku, a tym bardziej w tropikalnej puszczy i nie miałam zamiaru przeżywać tego w pojedynkę. Ani chwili nie straciłam na analizowanie, czy moje zamierzenia są słuszne. Wychodząc z hamaka ryzykowałam życie, nie wychodząc - pomieszenie zmysłów.

Wyplątałam się z moskitiery i zeskoczyłam na ziemię. Dałam trzy kroki, największe jakie potrafiłam zrobić i wgramoliłam się do hamaka Jacka. Na szczęście był wystarczająco obszerny, by nas pomieścić. Mój brat bez słów pojął, w czym rzecz. Starannie okrył mnie moskitierą i przytuliliśmy się jak wtedy, gdy mieliśmy po kilka lat. Poczulałam się znacznie bezpieczniej i zasnęłam.

Puszcza o poranku jest intrygująca. Po południu i nocą tętni życiem, o świcie śpi. Śpi, więc milczy. Jest szarozielona i spowita oparami, które w dolinach tworzą jakby mleczne jeziora. Później wstaje słońce, powietrze staje się przejrzyste, ale coraz bardziej duszne i mokre. Wilgoć jest zresztą wszędzie, przesyca włosy, ubrania i sprzęty, wkrada się do plecaków, niszczy sprzęt elektroniczny.

W takich warunkach człowiek dochodzi do wniosku, że najlepszym ubraniem, jakie zostało stworzone, jest skóra. I dlatego okrycia tubylców są tak skąpe...

Zjedliśmy przyrządzone z zapasów śniadanie i spakowaliśmy obozowisko. Victoria sprawdziła odczyty na GPS.

- Kierują się na zachód. Pospieszmy się, bo mają sporą przewagę.

- Musieli wyruszyć dużo wcześniej od nas - powiedział Maks.

- Manuel pracuje z doświadczonymi przewodnikami, sam był na niejednej wyprawie w dżungli i wie, że noc zapada tu błyskawicznie, a obóz trzeba rozłożyć, zanim zacznie zapadać zmierzch - wytłumaczył David.

Naszą eskapadę prowadzili dwaj mężczyźni. Wykonywali ciężką pracę, torując drogę maczetami. Zagłębianie się w tropikalny las to jak przebijanie się przez ścianę. Dodam, że przez ruchomą ścianę, ponieważ często zaraz po tym, jak przez wykarczowany tunel przejdzie jedna

osoba, dżungla zarzuca na następnego człowieka swe zielone macki, głównie w postaci lian.

Drapie, uderza, chłosta - nie okazuje przyjaźni.

Posuwaliśmy się w ślówim tempie. Należało być bardzo skoncentrowanym, żeby przez przypadek nie nadepnąć albo nie złapać czegoś jadowitego. A jadowitych rzeczy w tropikalnym lesie nie brak, zarówno w świecie fauny jak i flory. O węszach i śmijach wolę nawet nie myśleć, ale są także pająki, gąsienice, ropuchy, rośliny, a nawet motyle. Przed nieuwważnym dotknięciem czegoś groźnego miały nas chronić skórzane rękawice, ale one osłaniały wyłącznie ręce.

Gdzieniedzie podłoŜe było rozmokłe, buty grzęzły po kostki i cały pochód spowalniał

jeszcze bardziej. Rozpadliny i pagórki ze stromym zboczem obchodziliśmy naokoło, bo wspinaczka była zbyt ryzykowna i męcząca.

- ŚcieŜka Manuela! - zawołał Aleksander, który do tej pory zajmował się torowaniem przejścia.

Wyszliśmy na polanę w pobliŜu strumienia. Na mule zauwaŜyłam wyraźne ślady butów.

Wszędzie pełno było porzucanych gałęzi, a na łąsze piasku dymiło dogasające palenisko, przy którym leŜały szkielety upieczonych ryb. Dalej na zachód zaczynało się wykarczowane przejście.

Teraz droga miała stać się łatwiejsza do przebycia, ponieważ mężczyźni nie musieli tak intensywnie pracować maczetami. Z drugiej strony naleŜało zachować szczególną ostroŜność, by nie podejść za blisko rywala.

- Wy dwaj! - David wskazał na Aleksandra i jego towarzysza. Zerknął na swój ogromny zegarek z kompasem i GPS. - Pójdziecie na zwiady. Będziecie wyprzedzać resztę pochodu o kwadrans.

David popatrzył na Peruwiańczyków. Nie mieli czasomierzy. A ludzie, którzy są przyzwyczajeni do Ŝycia w buszu nie liczą czasu. Powszechnie uŜywane w cywilizowanym Ŝwiecie pojęcia typu: „zaraz”, „juŜ”, „za chwilę”, „wkrótce”, nie miały odzwierciedlenia w rzeczywistym upływie czasu. Mogły oznaczać zarówno: „za godzinę”, „jutro” i „za tydzień”. Komandos pojął, Ŝe kwadrans jest dla Indian pojęciem równie abstrakcyjnym, co pieniądz jako Ŝrodek płatniczy. W

końcu machnął ręką i powiedział:

- Idźcie przodem!

Niecałe dwie godziny później postanowiliśmy zakończyć dzisiejszy marsz. Obóz ulokowaliśmy na skarpie, skąd w minutę moŜna było znaleźć się w zatoczce rzeczki, która według map nie istniała. Na brzegu woda płytko rozlewała się na łąchy czystego piasku. Szybko to wykorzystaliśmy z Victorią, Maksem i Jackiem urządzając sobie w tym miejscu plaŜę.

Usiedliśmy w chłodnej wodzie i napawaliśmy się widokiem palm. W czuprynach z szablanych liści harcowały czerwono-niebieskie papugi. Na chwilę ciemne włosy Angielki przyozdobił turkusowy motyl. Ponura i straszna dŜungla, przez którą przedzieraliśmy się cały dzień, stała się rajem.

- I po co nam Eldorado? - westchnął Maks. - Tutaj jest fantastycznie!

- Brakuje tylko napojów z parasolką bo piękne kobiety już mamy - dodał Jacek nie spuszczać wzroku z Victorii.

Raptem powietrze rozdarł krzyk Aleksandra. Męszczyzna przybiegł do nas, prawie zsuwając się ze skarpy. Był przerażony, wymachiwał rękami i ciskał niezrozumiałymi dla nas słowami.

- Nie ruszajcie się! - z obozowiska wrzeszczał David. Dopadł brzegu i natychmiast uspokoił się. W tym czasie cała nasza czwórka leżała w wodzie jak sparaliżowana.

- Na dziesiątej i drugiej macie płaszczki i jeszcze jedną pomiędzy Jackiem i Maksem. Są prawie niewidoczne, ale musicie je zlokalizować. Teraz powoli, tak by nie wzburzyć wody i nie zdenerwować zwierząt, podnieście się i wyjdźcie z wody.

- Stop! A jak nas zaatakują? - zapytałam.

- Nie zaatakują.

- A jeśli...

- Nie umrzecie, ale będzie bolało. No, na co czekacie? Powoli.

Płaszczki, które współdziałały z nami plażą, do perfekcji opanowały sztukę kamuflażu.

Spostrzegliśmy je dopiero, gdy Indianin wskazał je kijem. Brunatno-szare dyski cierpliwie wyczekiwały na ofiarę. Jedyne bystre oko człowieka wychowanego przez dżunglę mogło w porę zauważyć ogony zakończone kolcem z jadem.

Podnieśliśmy się najspokojniej jak to możliwe. Woda zafalowała, wzburzyła się lekko.

Victoria i ja byliśmy już na brzegu, gdy płaszczka, która leżała pomiędzy chłopcami, gwałtownie zerwała się z dna. Mignęła nam przed oczami i pospieszyła na głębszą wodę. Jacek z Maksem skamieniali. Potrzebowali chwili, by odetchnąć, zerknęli na siebie i z kopyta ruszyli na brzeg. Woda zakotłowała, wraz z piaskiem utworzyła musztardową zawiesinę. Po paru minutach, kiedy pył opadł na dno, ponownie zrobiła się krystaliczna. A płaszczki odpłynęły w nieznane.

- Węgorze elektryczne, piranie, anakondy, płaszczki, kajmany... - zaczął wyliczać David.

- Wiemy, co żyje w dżungli! - obruszył się Jacek.

- Szkoda, że nie wiecie, co was mogło zabić w tym strumieniu! A nie wymieniłem wszystkiego! Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Ja dowodzę tą wyprawą i ja decyduję o tym, gdzie i kiedy kąpiemy się, gdzie śpimy i którędy idziemy. Macie poruszać się po moich śladach, macie patrzeć tam, gdzie ja i myśleć w ten sam sposób. Inaczej selwa was pokona i nie wyjdziecie stąd żywi.

- O co mu chodzi? - zapytałam Maksa po polsku.

- Chyba o to, że Amazonia to nie Bory Tucholskie.

Nie muszę pisać, że nie było nam do śmiechu. Prawdopodobnie wszyscy razem w tamtym momencie uświadomili sobie, że czeka nas szkoła przetrwania, a nie spacer po zagajniku. Za każdym drzewem, na każdej gałęzi czaiło się niebezpieczeństwo. Najmniejszy liść mógł zawierać truciznę albo tworzyć schronienie dla parzącej gąsienicy.

Dopóki było jeszcze widno, musieliśmy rozłożyć obóz, żeby zabezpieczyć się przed tymi wszystkimi niebezpieczeństwami i przetrwać noc. Na drzewach niedaleko skarpy rozwiesiliśmy hamaki, a na środku ulokowaliśmy ognisko. Drugi stos drewna został rozpalony przy obozie od strony lasu i miał nas chronić przed wizytą jaguarów.

Zbudził mnie poranny chłód. Był przyjemny, nie przeszywający. Dawał oddech przed zbliżającym się skwarem.

Odkryłam moskitierę i ze zdziwieniem stwierdziłam, że współtowarzysze wyprawy siedzą przy wygasłym ognisku w całkowitym milczeniu. Obserwowali mnie złęczonym wzrokiem, a ja nie wiedziałam, w czym rzecz. Upewniłam się, czy aby jakiś nieproszony gość nie postanowił

dzielić ze mną hamaka. Spałam jednak sama.

Zeskoczyłam na ziemię, a jeżeli ktokolwiek spał w hamaku wie, że jest to zdolność niemalże akrobatyczna. Chciałam podejść do przyjaciół, ale David gestem ręki dał mi do zrozumienia, że bym się nie ruszała.

Wtedy zza zarośli wyłoniła się grupa Indian. Najpierw zobaczyłam dzidy, później całe sylwetki. Mężczyźni poruszali się boso, całym ich ubraniem były jedynie skąpe przepaski biodrowe. Zerknęłam za siebie. Pod skarpą przy brzegu rzeki stali następni Indianie, w rękach dzierżyli łuki.

86

- Dzicy - spokojnym tonem powiedział David.

- Co teraz? - po cichu zapytał Jacek.

- Jesteśmy zdani na ich łaskę i niełaskę.

- Powiedz coś do nich! Każ tragarzom przywitać się z nimi - ponaglał Maks.

- Cisza! - syknął David.

Indianie czekali, uważnie przyglądając się nam. Czy pierwszy raz w życiu widzieli ludzi o kredowej skórze? Niewykluczone. Mogli potraktować nas przyjaźnie albo od razu uznać za wrogów. Niejedna wyprawa badawcza nie wróciła z wyprawy, w trakcie której natknęła się na dzikie plemiona.

Nastąpiła próba charakterów. Kto powinien wykonać pierwszy ruch? Ostrza dzid i strzał

celowały w niebo, nie w nas. Wydawało mi się, że to dobry znak. Nie zmieniało to jednak faktu, że Indianie mieli nad nami przewagę. Do tego nie sposób było ocenić, ilu łowców czai się za drzewami? Czy mają przy sobie zatrute strzałki, którymi w mgnieniu oka mogą unieszkodliwić wszystkich członków wyprawy?

Minuty mijały. Ciało cierpło mi w bezruchu. Wtem na rzece pojawiło się czółno, a w nim następni myśliwi. Jeden przewodził reszcie. Wyróżniała go obfitość ozdób z piór i tarcza wykonana z jaszczurzej skóry.

Indianie wymienili uwagi w swoim języku. Nie potrafiłam rozpoznać poszczególnych słów, słyszałam coś w rodzaju piosenki-mruczanki. Język dzikich nie przypominał żadnego z europejskich dialektów, może odrobinę mowę dalekowschodnią.

Przywódca podszedł do mnie i rzucił parę niewyraźnych słów, mogłabym założyć się, że usiłował poskładać jakieś zdanie po hiszpańsku. Uśmiechnęłam się, ale nie drgnęłam ze strachu, że go spłoszę albo obrażę, co mogłoby skończyć się dla eskapady tragicznie. Kątem oka zobaczyłam, że David podnosi się z miejsca i zbliża się powoli. Z odległości kilku kroków powiedział coś po hiszpańsku. Rozmawiali jeszcze parę chwil, chociaż jeśli zważyć na sposób dialogu, bardziej pasowałoby określenie, że porozumiewali się, albowiem na parę słów przypadała wprost proporcjonalnie większa ilość gestów.

- Zośka, idziemy do czółna. Cała reszta w eskorcie Indian pójdzie do wioski. Nie obawiajcie się niczego, jesteście bezpieczni. Traktujcie Indian przyjaźnie. Tymczasowo dowództwo w grupie przejmie Victoria. Spotkamy się w wiosce. Wódz plemienia, którego nazwy nie jestem w stanie wymówić, sądzi, że Zośka jest wodzem naszego plemienia. Musicie się z tym pogodzić i traktować ją jak najważniejszą osobę w grupie. Indianie mają widzieć, że darzycie ją szacunkiem - powiedział David.

- Nie wierzę! - parsknął Jacek. - Indianie uznali, że kobieta jest wodzem? Nie wydaje mi się, żeby w Amazonii było normą zajmowanie wysokich stanowisk przez kobiety.

- Wódz myśli, że Zośka ma jakąś moc. Jeszcze nie wiem, o co chodzi, ale pewnie z czasem się to wyjaśni.

- Musimy płynąć tym czymś? - zapytałam.

- Dostałaś honorowe miejsce w czółnie wodza. Udawaj, że się cieszysz. I ciesz się, że udało mi się wprosić na łódkę razem z tobą.

David słuszył ramieniem, reszta eskapady pokłoniła mi się, jakby wcześniej się zmówili. Wódz poprowadził przodem do czółna. Komandos pomógł mi zejść ze skarpy i wsiedliśmy do łodzi. Z

tyłu stali dwaj Indianie i przy pomocy długich tyczek odpychali łódź. Jako pierwszy siedział wódz, z rękami splecionymi na piersiach, za nim ja i David. Indianin siedział dumnie wyprostowany, z

wysoko uniesioną głową. Również chciałam zachować godną postawę, ale skutecznie 87

przeszkadzały mi w tym roje atakujących mnie owadów. Krwioścerze bestie kasały i wysysały krew, szczypały miniaturowymi śuwaczkami i wpuszczały szczypiący jad. W miejscu ugryzienia niezwłocznie pojawiał się swędzący bąbel. Na domiar złego owego bąbla nie można było drapać, żeby nie uszkodzić skóry, bo najmniejsza rana goiła się w nieskończoność.

Wioska była oddalona od rzeki o kwadrans marszu. Na szczęście nie musieliśmy przedzierać się przez chaszczę, bo tubylcy dobrze wydeptali ścieżkę. Kobiety z dziećmi prawdopodobnie kilka razy dziennie przemierzały drogę, by dostarczyć do osady czystą wodę.

Na klepisku, powstałym po wykarczowaniu kawałka lasu, mieściło się kilkanaście szałasów.

Miały stołkowy kształt, a pokrywały je olbrzymie suszone liście ułożone warstwowo.

Grupka kobiet z lękiem spoglądała na blade twarze wkraczające pomiędzy ich domostwa.

Wódz krzyknął coś do nich i natychmiast rozbiegły się. Zauważyliśmy z Davidem, że sprzątaję jeden z szałasów. Wyniosły z niego naczynia, za to podłogę wysłały matami wplecionymi z traw.

Później zaprowadziły nas do schronienia, wyraźnie dając do zrozumienia, że przekazują szałas w nasze użytkowanie.

- Zaczynam się niepokoić - oznajmiłam. - Długo nie ma ekipy.

- Przyjdą. Zanim ruszyli, musieli zapakować sprzęt i rozdzielić nasze bagaże, bo przecież nic nie zabraliśmy.

- Nie obawiasz się?

- Czego?

- Indian.

- Dopóki wódz Śywi do ciebie szacunek, nic nam nie zrobią.

- Uważa, że jestem bóstwem albo duchem?

- Ma cię za wodza i najwyśszego szamana.

- Dlaczego akurat mnie?

- Indianie zapewne obserwowali nas od świtu. Ty wstałaś ostatnia. Może to jest właściwy powód.

Siedząc na matach, zdjęliśmy buty, żeby przewietrzyć nogi. Wsłuchiwalismy się w dochodzące z wioski odgłosy, by nie przegapić nadejścia przyjaciół.

- Chce mi się pić, jestem głodna jak wilk i nie wiem, jak długo będę musiała tutaj beczynn timer tkwić.

- Zośka, weź się w garść. Nie czas na babskie łyzy. Masz być silna, bo jesteś naszym wodzem -

David szturchnął mnie łokciem. - Wiem, iŚ spodziewałaś się tego, Śe jak juŚ wylądujemy w dŚungli, przespacerujemy się parę godzin, oglądając motylki i orchidee i dojdziemy do Eldorado, gdzie powitają nas odświeżenie ubrane nimfy z tacami egzotycznych owoców, ale przeliczyłaś się.

Eldorado, jak na razie jest mitem. W pogoni za nim zginęło juŚ wielu ludzi, ale nikt go jeszcze nie zdemaskował. Nawet nie mamy pewności, Śe istnieje.

- To dziwne... - połoŚyłam się na plecach, Śeby wyprostować kręgosłup.

- Co?

- Wszyscy powtarzają podobne zdanie: „Nie ma pewności, czy Eldorado istnieje”. A ty, wierzysz, Śe istnieje?

- Osobiście martwię się zgoła czymś innym. Eskapada Manuela wyruszyła o świcie na wschód. JeŚeli zostaniemy w wiosce dłuŚej, nasi przeciwnicy zdobędą przewagę, której nie damy rady odrobić. KaŚda godzina zwłoki działa na naszą niekorzyść. Problem w tym, Śe nie moŚemy Indianom powiedzieć, Śe serdecznie im dziękujemy, ale czas nas goni, więc musimy iść, bo potraktują to jak obrazę i mogą zareagować gniewem. Śeby ruszyć dalej, potrzebujemy ich 88

aprobaty, trzeba poczekać na właściwy moment. Nie obejdzie się teŚ bez symbolicznej wymiany darów, więc na pewno wyjdziemy stąd uboŚsi o kilka artykułów. Kiedy my będziemy wymieniać uprzejmości z Indianami, Manuel moŚe osiągnąć cel i wygrać wyścig.

W szalasie był półmrok, mimo to mojej uwagi nie umknęła Śyłka pulsująca na skroni komandosa. Ani trochę nie przejmował się tym, czy aby przypadkiem Indianie nie chcą zrobić z nas wywaru do zupy bananowej. Jak prawdziwego męŚczyznę obchodziło go jedno - zwycięstwo w ustalonej konkurencji. Choćby po trupach.

Wesołe piski dzieci mogły wskazywać na to, Śe do wioski wrócili męŚczyźni, a z nimi nasi przyjaciele. Nieśmiało wyszliśmy z szalasu, albowiem obawialiśmy się, Śe samowolne poruszanie się po osadzie moŚe zostać niemile przyjęte przez gospodarzy.

Indianie przydzwigali upolowane kapibary. Te największe gryzonie na świecie są w dŚungli przysmakiem. Mają rudobrazowe futra i nieźle pływają. W Ameryce Południowej często uwaŚa się kapibary za szkodniki. Radość kobiet i dzieci wskazywała na to, Śe wieczorem będzie ucza. A syte dni w największym lesie świata, wbrew pozorom, naleŚą do rzadkości. Indianie często głodują.

Za Indianami przywędrowali pozostali członkowie naszej eskapady. Prócz swoich bagaŚy dzwigali takŚe przedmioty, które w obozie zostały po Davidzie i po mnie. Jakby tego było mało, kaŚde z nich podtrzymywało kilkumetrowego węŚa, równieŚ składnik przyszłej kolacji.

- Szliśmy dłuŚszy czas, pilnując się brzegu rzeki, aŚ natrafiliśmy na rów wpadający do głównego

koryta. Zalegała w nim masa truchlejących liści. Okropność! Patrzymy, a Indianie na raz dali susa do tych gałęzi i siłują się z czymś. Śadne z nas nie drgnęło, bo nie dało się naprędce pojąć, co wyczyniają. Wtedy któryś, jak sznurówkę z buta, tylko taką olbrzymią wyciągnął z wody ogon gada. Reszta doskoczyła do niego i siłują się ze zwierzęciem, aŜ w końcu pokazała się głowa.

Najsilniejszy z męŜczyzn sprawnie się z nią rozprawił i oto mamy kolację - Jacek wypręŜył pierś.

- Jak moŜesz z taką satysfakcją mówić o polowaniu na zwierzęta! - prychnęłam.

- W dŜungli przetrwa silniejszy. Nikt nie przejmuje się sentymentami.

„Kolacja kolacją, a ja umieram z głodu” - pomyślałam. Odnalazłam swój plecak i wyjęłam wysokoenergetyczny baton. Ze smakiem zatopiłam zęby w czekoladowym przysmaku. Niedługo trwała moja radość, bo od razu okrąŜyły mnie dzieci. W ich oczach zobaczyłam smutek i marazm.

Zdaje się, Őe byłam dla nich istotą z innego świata, o ile w ogóle potrafiły wyobrazić sobie, Őe gdzieś hen daleko na górach i lasach jest inny świat. Inny, niekoniecznie lepszy. Rodzice, dziadkowie małych od dawien dawna Őyli pośród roślin i zwierząt, z daleka od cywilizacji, za to w pełnej harmonii z rytmem natury. Nie znali pojęcia czasu, nigdzie się nie spieszyli. Mieszkając w selwie, szukając poŜywienia, codziennie zmagając się z Őywiołem przyrody, potrafili jej słuchać i wczuć się w naturalny puls. Słyszeli, widzieli i czuli znacznie więcej niŜ „biali”. Byli częścią tego ekosystemu, a my jedynie niemile widzianymi gośćmi. Dlaczego te dzieci, Őyjące w zielonym raju bez przymusu nauki w szkole, poddawania się rutynowym szczepieniom i z daleka od wszechobecnego pędu do kariery, wydawały się nieszczęśliwe? MoŜe przez wyniszczające Indian choroby, moŜe przez głód, a moŜe dlatego, Őe biały człowiek nazbyt często wytrącał współczesnych Indian z ich naturalnego rytmu, osaczając kręgiem cywilizacji?

Scyzorykiem podzieliłam batonik i rozdałam dzieciom. Najpierw były nieufne, ale kiedy spróbowały słodczy, uśmiechnęły się pogodnie, a oczy zaczęły im pięknie błyszczeć. Dalej byłam głodna, ale naprawdę szczęśliwa.

- Musimy tu zostać minimum do jutra. Rozkładamy obóz! - nakazał David.

Pomogłam rozwiesić hamaki tragarzy. Ustaliliśmy, Őe Victoria, Jacek, Maks, David i ja będziemy spali razem w szałasie, chyba Őe sprzeciwi się temu wódz. Potem kobieta z wioski w 89

towarzystwie dzieci, tych samych, które poczęstowałam łakociami, przyniosła nam kosz bananów.

Z apetytem złapałam jednego i juŜ szykowałam się do zdjęcia skórki, kiedy poczułam na sobie twarde spojrzenie Davida. Natychmiast odłoŜyłam owoc do kosza. Tak samo postąpili Jacek z Maksem, którzy równieŜ poczęstowali się smakołykami.

Komandos nazbierał parę garści wysuszonych liści i wziął kilka gałęzi. Z dala od szałasów ułoŜył stos i podpalił. Następnie zaostrzył długi kij i nadział na niego banany, tak jak w Polsce nadziewa się kiełbaski. Po kilkudziesięciu minutach opiekania bananów w ogniu, mogliśmy spałaszować owoce. W smaku i konsystencji przypominały ziemniaki. Na surowo były trujące.

Po południu odpoczywaliśmy przy szałasie, chroniąc się przed słońcem kapeluszami.

Mogliśmy ukryć się w cieniu na skraju lasu, ale w pełnym słońcu znacznie mniej dokuczały owady.

Oznacza to, że było ich tyle, ile można spotkać o zmierzchu nad mazurskim jeziorem!

David sprawdził na GPS, gdzie znajduje się wyprawa Manuela.

- Oddalili się o dwa i pół kilometra od miejsca, gdzie wczoraj obozowali.

Nikt nie odważył się na komentarz. Prawdopodobnie dlatego, że byliśmy zmęczeni przedzieraniem się przez chaszczę, tym bardziej że powoli wąpiliśmy w istnienie Eldorado. A nawet jeśli kilkaset lat temu egzystowało, do dziś pochłonęła je dżungla. Pnącza, liany, drzewa i mchy wdierały się na najmniejszy kawałek wolnej przestrzeni. Porastały pagórki i doliny. Zaściercie walczyły o światło - źródło życia, bo wody nie brakowało nigdzie. Czerpały ją nie tylko z podłoża, ale i z powietrza, specjalnie dostosowanymi korzeniami. Przez kilkaset lat bez trudu zapanowałyby nad ludzką osadą.

- Złote Miasto uparcie strzeże swych tajemnic - odezwała się Victoria. - Puszcza porosła je na długo, zanim nad Amazonią pojawiły się pierwsze samoloty. Sami widzieliście, że z góry widać wyłącznie zielony dywan we wzorki z rzecznych koryt.

90

ROZDZIAŁ DWUNASTY

OZDOBY GOSPODARZY • UCZTA I TAŃCE • RYTUALNA WYMIANA PREZENTÓW • CO

DOLEGA JACKOWI? • FIKUS NAJLEPSZYM REMEDIUM NA GORĄCZKĘ • PIRANIE NA ŚNIADANIE • ZDAŚYĆ PRZED TRZECIM ATAKIEM • I JESZCZE RAZ PREZENTY •

CZEKAMY NA HELIKOPTER • NIE ZABRALI MNIE! • UCIEKINIER • PRZYRZĄDZANIE

ZUPY I O TYM, SKĄD DAVID WZIAŁ CZYSTĄ WODĘ • PRZEKLĘTA KAWA • WYPADEK

• TROPIKALNA BURZA • BÓL I CIEMNOŚĆ

Wraz z zachodem słońca przyszło po nas trzech wojowników w towarzystwie kobiet. We włosy wpletli pióra, a piersi przyozdobili naszymi naszyjnikami z kłami jaguara. Biodra kobiet opływały spódniczki z szeleszczących trzcin. Powiedli nas do największego szałasu zbudowanego w centralnym punkcie wioski.

Panowała atmosfera świętowania i zabawy. Przykucnęliśmy w szałasie. Przyjęta pozycja była nader niewygodna, ale właśnie w ten sposób siadają Indianie, tak samo, jak Japończycy przy stole klęczą. Kręciłam się, przenosząc ciężar z nogi na nogę. Po kilkunastu minutach miałam wrazenie, że ktoś założył mi na kolana ołowiane ciężarki, ponieważ byłam nieprzyzwyczajona do spędzania dłuższego czasu w ten sposób. Im bardziej o tym myślałam, tym mocniej czułam ból nóg.

Zapomniałam o nim dopiero, gdy Maks zwrócił mi uwagę na ozdoby Indian.

- Wojownicy noszą złotą biżuterię. Prymitywną bo prymitywną, ale ze szlachetnego kruszcu.

- Nie wiem, jak mogłam to przegapić.

- Byłaś, jakby to powiedzieć, podekscytowana. W końcu nie codziennie zostaje się wodzem plemienia „białych twarzy”.

Przerwaliśmy rozmowę, bo oto kobiety wniosły placki z manioku. Maniok jest bulwiastą rośliną, z której pozyskuje się rodzaj mączki do wypiekania placków przypominających podpłomyki. Co ciekawe, surowe brązowe bulwy są trujące, zawierają cyjanek. Należy je poddać długiej obróbce, by nadawały się do jedzenia. Placki w Saden sposób nie dorównywały babcinym naleśnikom, ale w tamtej chwili wydawały się być najznakomitszą ambrozją. Kobiety częstowały plackami, a każdy odrywał sobie kawałek.

Gdy wyszliśmy przed szałas, w ogniu piekły się już kapibary i wąż. Mężczyźni płasali dookoła paleniska w rytm wybijany na bębnach. Wkrótce najedliśmy się do syta. Uczta jeszcze się nie skończyła. W czarkach ze skorup po orzechach, których nazwy nie potrafię przytoczyć, podano cuchnący zielkiem napar. Mnie przypadło w udziale sączenie herbatki pospołu z wodzem.

- Uwaga, napar może być halucynogeny - szepnął David. Mówił to po kolei każdemu członkowi wyprawy.

Zanurzyłam usta, ale nie wypiąłam ani kropli. Indianie byli przyjaźni, ale nie dali nam listów żelaznych zapewniając bezpieczny pobyt na ich terytorium. „A jeśli chcą nas uśpić i unieszkodliwić?” - zastanowiłam się.

Rzeczywiście po pewnym czasie mężczyźni wpadli w trans, który trwał ponad pół godziny.

Długość wraz z nadejściem nocy stała się czarną otchłanią. Przekroczenie granicy wioski mogło równać się ze śmiercią. Tu, gdzie człowiek był bezradny wobec sił natury, należało zachować bezwzględną ostrożność. Tym bardziej że w odległości kilkudziesięciu metrów od ogniska panowała nieprzenikniona ciemność. Księżyc zasnuły chmury. Z powodu mgły powietrze stało się półprzezroczyste. Światło latarki nie zdawało się na wiele.

Wódz odszedł dokądś na chwilę, a kiedy wrócił, miał w ręce dzidę. Płomienie w ognisku 91

sięgały ponad dwa metry i tuż przy palenisku było stosunkowo jasno, więc dostrzegłam, że dzida prezentuje się niezwykle. Miała fikuśnie zdobiony trzonek z polerowanego drewna, pięknie rzeźbionego. U nasady ostrza zwisał mały pompon z piór w białe cętki. Pompon, choć piękny, wydawał się zupełnie niepraktyczny, bo z pewnością przeszkadzałby w skutecznym polowaniu.

Indianin przekazał mi dzidę. Zrozumiałam, że mam do czynienia z rytuałem wzajemnego obdarowywania się prezentami. Dostałam podarek, pokłoniłam się i co dalej?

- Daj mu coś! - poradził David.

I bez jego sugestii wiedziałam, co powinnam uczynić.

- Mam zdjąć bluzę? Nigdy w Śyciu! Chcesz, Śeby komary zŚarły mnie Śywcem?

- Daj mu kolczyk.

- Kolczyk? Nie jest nawet złoty!

- Cudownie się mieni. Wódz ciągle przygląda się twoim kolczykom i wisiorce. Myślę, Śe nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział. Indianie nie znają sposobu tak precyzyjnej obróbki kamieni, pozwalającej na wydobycie równie pięknych efektów.

- To nie są nawet diamenty, tylko zwykłe kryształy austriackie.

- Litości, kobieto! - mój brat potrzęsnał czupryną. - On nie Śada od ciebie brylantu z certyfikatem potwierdzającym autentyczność, tylko podarku w ramach podziękowania za gościnę.

- Nie zareaguje negatywnie na to, Śe daję mu coś uŚywanego?

- A myślisz, Śe dzida jest zupełnie nowa? - zirytował się David.

Odpięłam zatyczkę i zdjęłam kolczyk. PołoŚyłam go na otwartej dłoni, którą wyciągnęłam przed siebie. Wódz podszedł. Drugą ręką złapałam go delikatnie za nadgarstek i włoŚyłam mu kolczyk do ręki.

Kamień roziskrzył się w blasku ogniska. Indianin wpiął go na miejsce wcześniej noszonej złotej ozdoby. Znowu zaczęły się pląsy i tańce.

Jacek jako jedyny zamiast poddać się nurtowi zabawy, siedział w milczeniu oparty o strzechę szałas. Trząśł się. Czoło i plecy miał złane potem. Zaniepokoiłam się na dobre.

- Braciszku! - zamachałam mu przed oczami.

Nie odpowiedział. Zamiast tego do moich uszu dotarł odgłos szczękania zębami.

- Jacek jest chory - krzyknęłam i przyznam, Śe przeraziły mnie te słowa. Przed oczami natychmiast ukazała mi się lista wszelakich tropikalnych infekcji, na jakie mógł zapaść. Zresztą w środku buszu zwykle przeziębienie mogło okazać się śmiertelne.

Wokół Jacka natychmiast zebrali się członkowie wyprawy, Indianie teŚ szybko zorientowali się, Śe coś jest nie tak. Tańce i śpiew ustały.

David z Maksem zanieśli mojego brata do szałas i ułoŚyli na macie. Przykryliśmy go suchymi ubraniami i owinęliśmy kocem izolacyjnym - cienką płachtą folii skonstruowaną w ten sposób, by zatrzymywała ciepło.

Chory drŚał coraz mocniej. Komandos zmierzył mu temperaturę, choć wystarczyło połoŚyc mu rękę

na czole, by poczuć, jak bardzo jest rozgrzane.

- Pierwszy napad malarii - fachowo stwierdził komandos, usiłując podać Jackowi lekarstwa.

Brat zdawał się być nieobecny, mamrotał od rzeczy, ale ciągle był przytomny. - Noc będzie cięska.

Rano Jacek obudzi się prawie jak nowo narodzony. Wstanie najwyżej z bólem głowy.

- I będzie po wszystkim? - zapytałam naiwnie.

Victoria odciągnęła mnie na bok.

- Nie całkiem. Trzeci napad choroby może skończyć się śmiercią. Dlatego z samego rana, jak tylko wstanie słońce, przez telefon satelitarny połączę się z ludźmi w Cuzco. Niezwłocznie trzeba 92

odtransportować Jacka do szpitala. Odczytam nasze współrzędne i podam załodze śmigłowca, ale może minąć trochę czasu, zanim tu dotrą. Wszystko będzie zależało od pogody.

- A Eldorado?

- Kiedy zabiorą Jacka, wyruszymy dalej.

- Nie zostawię go samego. Polecę z nim.

- Twój wybór.

Wódz wioski przyprowadził starszą kobietę, która przyniosła ze sobą jakąś roślinę. Oskrobała korzeń i zanurzyła go w naczyniu z wodą. Po upływie paru minut tak przygotowany wyciąg podała mi, pokazując, że bym napoiła Jacka.

- Zrób to - podpowiedział komandos, widząc moje zakłopotanie. - Odkaziłem tę wodę, zaraz po tym, jak kobiety przyniosły ją do szałas. Roślina jest rodzajem fikusa, jej sok uśmierza gorączkę. Na pewno nie zaszkodzi.

Po kropli podawałam bratu napój. Przez całą noc nie zmruszyłam oka. O świcie gorączka ustąpiła, a Jacek zasnął. Miał równy oddech, co mnie uspokoiło. Nie pamiętam, kiedy i ja zakończyłam ów ciężki dzień.

Spałam bez moskitiery, dlatego rano moja skóra usiana była czerwonymi plamkami najróżniejszej wielkości i odcienia. Pokąsały mnie mrówki, komary, moskity i inne wampiryczne stworzenia, które miały ochotę spróbować mojej krwi, na pamiątkę zostawiając po sobie dokuczliwe bąble. Teraz skóra pieką mnie i swędziała potwornie!

Obudziłam się w szałasie zupełnie sama. Trzcিনowe maty dały mi się we znaki i wstałam z bolącym kręgosłupem. W tym czasie Jacek w najlepsze wcinał pieczone banany, popijając wysokobiałkowym koktajlem dla sportowców.

- Chcesz? - zapytał.

- Wolę kawałek ryby, jeśli można.

- Smacznego! Powinnaś jednak wiedzieć, że serdeczna gościna skończyła się i w zamian za piranie osmolone nad ogniem, oddaliśmy zapas soli, więc ryby są bez smaku.

- Nie narzekaj - wtrącił Maks, siłując się z pyszczkiem ryby. Chciał na własne oczy zobaczyć ostre jak brzytwa zębiska.

- Dobrze się czujesz? - wytarosiłam bratu włosy.

- Wyśmienicie, ale mimo to jednogłośnie postanowili odesłać mnie do Cuzco. Nawet jeśli zagłosowałabyś za tym, że bym został, jestem na przegranej pozycji.

Victoria oblizwała palce.

- Kończmy śniadanie i zbierajmy się. Musimy zboczyć z trasy, żeby odprowadzić Jacka na polanę, na którą ma przylecieć śmigłowiec. Zośka, słyszałam, że również chcesz wrócić?

- Nie zostawię Jacka bez opieki.

- W porządku. Zatem kiedy będziecie w powietrzu, zejdziemy na skróty po zboczu wąwozu.

Trasa jest niebezpieczna, użyjemy lin wspinaczkowych do asekuracji, ale nadrobimy czas, bo wyprawa Manuela obchodziła wąwóz naokoło, i znowu będziemy deptali przeciwnikowi po piętach

- zdecydowała Angielka.

- Na polanę prowadzi trudna trasa - pokręcił głową David. - Mamy do przejścia półtora kilometra po podmokłym terenie. Śmigłowiec przyleci o szesnastej, o ile na przeszkodzie nie stanie burza albo mgła. Jeśli spóźnimy się na polanę, wróci bez chorego.

- Jestem zdrowy - burknął mój brat. - Wczoraj poczułem się źle, ale to na pewno z przemęczenia.

- Stary, to malaria, łapiesz? - Maks klepnął Jacka w plecy. - Czytałeś „W pustyni i w 93

puszczy”? Zaatakowało cię to samo paskudztwo co Neli.

- O czym on mówi? - Victoria nie rozumiała.

- O polskiej powieści - wyjaśniłam.

- Nie ma dyskusji - powiedział David. - Wracasz, dopóki istnieje możliwość zapewnienia ci transportu do Cuzco. Malaria jest podstępna. Każdy następny atak gorączki robi spustoszenie w organizmie.

PoSegnaliśmy się z Indianami, zostawiając im podarunki, które zresztą sami sobie wybrali, wskazując na pewne rzeczy i jasno dając nam do zrozumienia, że nie obraziliby się, gdyby je dostali. W ten sposób багаże stały się lżejsze o 3 noże, 4 koszulki, 5 batoników wysokoenergetycznych, antybakteryjny żel do mycia rąk bez użycia wody (spodobał się ze względu na zapach, nie cudowne właściwości odkażające), mapę (natychmiast ozdobiła szalą wodza, bo miała ładne wzorki) i masę innych rzeczy. Wzbogaciliśmy się natomiast o kunsztowną acz nieprzydatną i niewygodną w transporcie dzidę, której nie wypadało nam „dyskretnie zapomnieć”.

Indianie, przez blisko kilometr marszu, zapewnili nam eskortę. Później niepostrzeżenie rozplynęli się między drzewami, jakby nagle pochłoniął ich cień wielkiej palmy.

Buty zapadały się w rozpulchniony mech. Zahaczaliśmy się o pnącza. Zdawało się, że rośliny celowo chcą nam przeszkodzić w wędrówce. Płoszyły się po ziemi, zamaskowane gnijącymi liśćmi.

Jak baty ciskały w plecy bolesnymi razami. Zagradzały drogę, rozpościerając się między pniami niczym gigantyczne pajęczyny.

Nie kryliśmy radości, gdy wreszcie puszcza otworzyła się na polanę. Porastająca ją trawa sięgała pasa. Listki raniły skórę jak ostrza brzytwy.

Nad polanę zaczęły napływać chmury. David otworzył kompas.

- Niebo zaciąga się od północnego wschodu, helikopter przyleci z przeciwnego kierunku.

Powinni być na miejscu za jakiś kwadrans.

David razem z Maksem nacięli zielonych liści i zrobili z nich mały stosik na krańcu polany.

Pod spód upchali trochę wiórów. Uzyskali je skrobiąc maczetą korę palmy. Podłożyli ogień.

- Dzięki zielonym liściom uzyskamy dużo dymu - podsumował David. Rzeczywiście, zanim rozłożył na trawie specjalne plansze sygnalizacyjne z namalowanymi jaskrawo pomarańczowymi kółkami, z paleniska podniosła się stróżka dymu. Białego i bardzo gęstego, pośród drzew widocznego z oddali.

Gdy usłyszeliśmy echo pracy śmigłowca, niebo było już prawie zupełnie zasnuwane. Załoga ryzykowała życie, ale nie wycofali się. Trwało to może dwie lub trzy minuty, jak spuścili linę z uprzęską, David pomógł Jackowi zapiąć się w nią i wciągnęli mojego brata na pokład. Kadłub śmigłowca kołysał się w powietrzu, targany porywami gwałtownego wiatru, który na ziemi był

niewyczuwalny. Czekałam, aż przyjdzie moja kolej, ale... nie nadeszła. Śmigłowiec wzniósł się ponad chmury i odleciał. Patrzyłam na to z przerażeniem. Odfrunęli gdzieś z moim chorym bratem, beze mnie! Jacek został zdany na łaskę i niełaskę obcych ludzi.

- Idzie burza. Przygotujmy obóz - komandos zachowywał się jakby nic się nie stało.

Victoria ścisnęła mnie za ramiona.

- Musieli spieszyć na zachód. Lepiej nie ryzykować starcia małego śmigłowca z olbrzymim piorunem. Jesteś zdrowa, więc uznali, że możesz z nami zostać. A o Jacka się nie martw, będzie pod opieką moich przyjaciół. Zajmą się nim w Cuzco.

- Pospieszcie się - rozkazał David. Kilkoma sprawnymi ruchami przeczesał plecak Jacka i rozdzielił pomiędzy nas przydatne produkty. Resztę rzeczy zostawiliśmy na polanie. W dżungli nie przewidziano koszy na śmieci...

94

Rozłożyliśmy mapę.

- Dwadzieścia minut drogi stąd jest rzeka. Przekroczymy ją i rozbijemy obóz. Jutro, po burzy, najmniejszy strumień zmieni się w rwący potok, a wtedy o wiele trudniej będzie nam zmierzyć się z nurtem.

Stojąc na środku polaci wolnej przestrzeni, raptem zorientowaliśmy się, że brakuje jednego z tragarzy, a wraz z nim przeważającej części zapasów żywnościowych.

Victoria zapytała o coś Aleksandra po hiszpańsku. Nic nie rozumiałam, ale z potoku miękkich głosek wyłowiłam imię tragarza. Aleksander odbąknął po cichu parę słów. Naraz David poczerwieniał na twarzy i doskoczył do Indianina. Złapał go za poły przeciwdeszczowej peleryny i niewiele brakowało, by podniósł mężczyznę nad ziemię. Biedny Aleksander miotał się, usiłując uciec z potężnego uścisku.

- Daj spokój, to nie jego wina - Victoria zastopowała Davida i przeprosiła Indianina po hiszpańsku.

- Co jest grane? - zapytał Maks, przechodząc na angielski.

- Tragarz zwiął razem z tymi z wioski. Zabrali plecak z prowiantem i innymi przydatnymi szpargałami. Zdarza się.

- Nie przejmujesz się? Co będziemy jedli? - Maks najwyraźniej bał się przymusowej diety.

- David jest naszą polisą ubezpieczeniową. Człowiek obeznany z dżunglą nie umrze z głodu.

W końcu Indianie jakoś tu żyją, a wierz mi na słowo, że nie dostają cotygodniowych paczek z żywnością.

David wskazał kierunek. Wkrótce zza ściany roślinności dostrzegliśmy refleksy odbite na powierzchni wody. W toni rzeki unosiła się zawiesina jasnozielonych glonów. W zatoczce dryfowały lilie wodne o prawie metrowym przekroju.

Aleksander jako pierwszy wszedł do wody. Był to znak, że nurt jest bezpieczny i nie natkniemy się zaraz na stado piranii. Z Makssem wleźliśmy następni. Na wyciągniętych do góry rękach trzymaliśmy ciężkie plecaki, żeby nie zamokły. Woda była ciepła jak ukrop, gęsta od glonów i nieprzezroczysta. Wyobraźnie podsuwała mi różne warianty na temat tego, co może kryć się pod powierzchnią. Na

brzeg dotarliśmy bezpiecznie i w komplecie.

Obóz rozłożyliśmy błyskawicznie. Męscy zrobili nawet prowizoryczny szałas z gałęzi i liści. Później David z Indianinem udali się na poszukiwanie czegokolwiek, co dałoby się zjeść na kolację. Zostało nam trochę zapasów prowiantu, ale należało rozporządzać nimi oszczędnie.

Znaleźli kwaśne owoce i złowili trochę ryb. Gdyby odciąć im głowy i ogony, miałyby około dziesięciu centymetrów i z całą pewnością nie nasyciłyby brzuchów wędrowców. Wzięliśmy się z Victorią na sposób, wrzucając wypatroszone tuszki razem z głowami do kociołka. Do przygotowania zupy potrzebna była jeszcze czysta woda. Niestety, bałyśmy się zanadto oddalać od obozu, więc próba zdobycia wody spełzła na niczym.

- Pomóc wam? - zapytał David, szykując rusztowanie, na którym nad ogniem miał zawisnąć kociołek. Podziwiałam komandosa za niewyczerpane pokłady energii. On po prostu nigdy nie tracił

sił, nie miał chwil słabości i zawsze na każdy problem znajdował radę.

- Gotujemy zupę - Victoria zatrzepotała rękami. Nawet w środku buszu, oblepiona potem i ze zmierzwionymi włosami, wykorzystywała atuty kobiecości.

- Bez wody?

- No właśnie...

David wstał, złapał lianę zwisającą tuż obok paleniska i zdecydowanym ruchem przeciął ją maczetą na wysokości kolan. Z rośliny wprost do kociołka lunęła czysta woda. Byłyśmy 95

zachwycone!

- Mogę spróbować? - przejęłam maczetę i wycelowałam w identyczną lianę, ale spadły z niej nieliczne krople ciecchy.

David roześmiał się przyjaźnie. Po raz pierwszy był dla mnie naprawdę miły. Pozbył się słuśbowego pancerza, który towarzyszył mu nieodłącznie jako kierownikowi wyprawy. Trudno mu się dziwić. Żeby zapanować nad ekipą w najtrudniejszych warunkach, jakie człowiek jest w stanie sobie wyobrazić, musiał być niezłomny i nieczuły na nasze śmiechy, skargi i postękiwania. Skrycie podziwiałam opanowanie komandosa, teraz poznałam też jego drugą twarz - zwyczajnego, wesołego faceta.

- Zanim zareagowałaś, woda spłynęła do korzeni. Trzeba mieć wprawę.

Wśród wyposażenia odnalazłam drugi kociołek. Wcisnęłam go Davidowi.

- Co powiedziałbyś na kubek aromatycznej kawy po kolacji?

- Wodę znalazłem, ale kawa, najlepiej świeżo palona, w dżungli nie rośnie.

Torebkę mielonej kawy spakowałam do plecaka jeszcze w Limie. Nie mogłam oprzeć się pokusie. Zaraz po kolacji - niezbyt smakowitej i mało sycącej, ujawniłam asa z rękawa. Zachwyty w oczach współtowarzyszy podróży wynagrodził małą niedogodność związaną z tachaniem kawy przez tropikalny las, gdzie każdy dekagram odczuwało się niemalże jak kilogram.

Chciałam się popisać, przyznaję, więc naszykowałam pusty kociołek, chwyciłam lianę i...

- Nie! - rozległ się wrzask Davida.

...błyskawicznie sieknęłam ją maczetą.

Liana wywinęła się i zasprężynowała.

Zamiast wody chlusnęła krew.

David wystartował ku mnie jakby poraził go piorun.

Maks znieruchomiał.

Dopiero na końcu poczułam lekkie ukłucie.

David rzucił się na mnie i odepchnął na bok. Ostrze maczety błysnęło w świetle ogniska i zmiażdżyło to, co upadło w miejscu, gdzie przed paroma sekundami polowałam na wodę.

Wciąż byłam w szoku. Victoria oglądała moje przedramię, Maks porwał mnie na rękę i położył na czymś miękkim. Poraziło mnie ostre światło latarek.

- Co się stało? - wybełkotałam półprzytomna z przerażenia.

Rozległa się cisza. To znaczy taka cisza, jaka zazwyczaj panuje po zmroku w buszu, choć miałam wrażenie, że znikły najsubtelniejsze szmery.

- Co się stało? - powtórzyłam, a kiedy ponownie nie uzyskałam odpowiedzi, wyrwałam z uścisku Davida rękę. Włożyłam ją w smugę światła. I wtedy ujrzałam dwa punkciki oddalone od siebie o około półtora centymetra. Obok rany zakrzepła kropla krwi.

- śmija - wycharczałam, bo nie chciało mi to przejść przez gardło.

Razem ze świadomością przyszedł ból. Nasilał się szybko. Wstrzyknięta trucizna niszczyła tkanki, a ból był skutkiem ubocznym. Rozrywał rękę od nadgarstka po łokieć.

- Jaki to gatunek? - usiłowałam dowiedzieć się czegokolwiek. Zdrową ręką szarpnęłam Davida za koszulkę i przyciągnęłam do siebie. Nie stawiał oporu. Uchwyciłam wzrokiem jego spojrzenie. - Co to było? Znasz się na węszach i śmijach! Mów natychmiast! Mamy w apteczce jakieś antidotum? Przecież robią surowice na jad węsy!

Pogładził mnie po włosach, a kiedy zwolniłam uścisk - odszedł w mrok. Bałam się. Bałam się jak

nigdy dotąd.

Burza rozpętała się w najmniej właściwym momencie. Najpierw usłyszeliśmy, jak pojedyncze 96

grube krople spadają na liście drzew, tworzące naturalne zadaszenie. Nie minęło kilka minut, a deszcz spływał z nieba ciurkiem. Bo tropikalne ulewy są o wiele intensywniejsze od najgwałtowniejszego oberwania chmury w Europie. Zmieniają strumienie i wydeptanie przez zwierzęta ścieżki w rwące potoki i najprawdziwsze rzeki. Deszcz jest zimny, rośliny rozgrzane, dlatego natychmiast powietrze nasycza duża ilość pary wodnej. Milkną ptaki, wielobarwne orchidee bledną dokuczliwe owady chowają się.

Ognisko zgasło prawie natychmiast, w kociołku, gdzie miała bulgotać kawa, zbierała się woda. Zmarłam. Przenieśli mnie do prowizorycznego namiotu zrobionego z plandeki rozciągniętej na lince, której końce zaczepiono o dwa pnie. Wolne rogi plandeki przymocowano do kijów, które wbito w ziemię. Nie pamiętam, na czym leżałam. Pamiętam natomiast drżące ręce Davida i współczujące spojrzenie Victorii. Maks nie opuszczał mnie ani na minutę, ale co jakiś czas odwracał głowę. Ciemność była moim sprzymierzeńcem, albowiem nie musiałam znosić widoku jego zaczerwienionych od płaczu oczu.

Ręka mi nabrzmiała, miałam wrażliwość, że całe ciało mam spuchnięte. I ten potworny ból!

Wstrzyknęli mi jakieś leki przeciwbólowe, ale nie były wystarczająco skuteczne. Z bólu zaciskałam szczękę, a ona zaczynała boleć.

Ostatnią zapamiętaną przeze mnie rzeczą było drżenie mięśni. Kurczyły się i rozkurczały, co sprawiało wrażliwość, że skóra faluje jak woda targana podmuchami wiatru. Później była już tylko ciemność.

97

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

POWRÓT DOROTY I OLAFI • CO SŁYCHAĆ U ŁOWCÓW PRZYGÓD? • TELEFON

ZWIASTUNEM ZŁYCH WIADOMOŚCI • GDZIE JEST ZOŚKA? • CZY MOJA SIOSTRZENICA PRZETRWA? • TOMASZU, WEŹ SIĘ W GARŚĆ! • KSIĄŻĘ VON

WAHLSTATT - WIELKI WÓDZ, ZAPOMNIANY CZŁOWIEK • INCYDENT Z LAMPĄ •

PRZEBUDZENIE • ZMIANA OPATRUNKU • CO WZBUDZA ZACHWYT

NIEZNAJOMYCH KOBIET? • ROZEZNIANIE • KĄPIEL W PRAWDZIWEJ WANNIE •

TEMBŁAK Z PRZEŚCIERADŁA • RAJSKI OGRÓD • CZŁOWIEK W LEKTYCE I ZNAJOMY INDIANIN • JAK ZADZIAŁA ZAWARTOŚĆ PUCHARU?

Na dnie kieszeni odnalazłem kawałek szkła zabranego z kwietnika. Wziąłem go w palce i ustawiłem

pod słońce. W ciemnozielonej masie dostrzegłem małe bąbelki. Byłem pewny, że nie pochodzi ze współczesnych butelek...

Niestety, musiałem przyznać się do porażki. Czego mieliśmy szukać, skoro lampy, a tym samym karafki, zostały zniszczone? Czy naprawdę szkło ze staropolskich hut było na tyle bezwartościowe, by robić z niego świeczki do kwiatków?

Teresa wyniosła na dwór kubki z białą herbatą. Napój był w smaku delikatny, mimo że wyczuwało się w naparze odrobinę goryczy. Delektowałem się naparem robionym z najmłodszych listków krzaków herbacianych, nie poddawanych fermentacji, skąd jasne zabarwienie herbaty, kiedy rozpoznałem odgłos nadjeżdżającego jeepa. Samochód w niecodziennym, malinowym kolorze, wtoczył się na podwórko, zatrzymując się niebezpiecznie blisko szopy. Olaf, ku uciesze Teresy, nie obdarł zderzaka.

Chłopak wysiadł i przeciągnął się.

- Praga jest piękna.

- Dzień dobry! - powiedziała Dorota. - Miasto tak nam się spodobało, że przedłużyliśmy pobyt. Mamy nadzieję, że nie jesteś z tego powodu zła.

- Nic się nie stało - zapewniła Teresa.

- Co słysząc u naszych łowców przygód? - zapytał Olaf pół żartem, pół serio. - W czeskiej prasie nie zauważyliśmy nagłówków mówiących o jakimś ważnym odkryciu historycznym.

- Nie kontaktowaliście się z nimi przez Internet? - zapytałem.

- Tak pochłonęło nas zwiedzanie, że zapomnieliśmy o całym świecie - przyznała Dorota.

- Są w Peru. Odkąd wyruszyli do Machu Picchu, nie dają znaków życia - wyjaśniłem.

- Może są w dżungli? Kontakt z serca amazońskiej puszczy jest utrudniony, zwłaszcza że na drzewach nie ma budek telefonicznych ani laptopów z łączem internetowym - wtrącił Olaf.

- Jeśli wyruszyli na wyprawę, są pod opieką Victorii Cassidy, badaczki kultur prekolumbijskich, mojej znajomej. Towarzyszą im wykwalifikowani przewodnicy, nie ma się czym martwić - rzekłem, żeby pocieszyć się. - Usiłują odkryć lokalizację Eldorado.

- Zdawali relację e-mailową? - zapytała Dorota.

- Niestety, bardzo lakoniczną. Kilka słów od Jacka albo Maksa. Zośka wcale nie pisała.

- Poczcie sprawdzaliśmy po kilka razy dziennie - dodała Teresa, otwierając bagażnik, skąd wyciągnęła lampkę owiniętą w foliowy worek. - Proszę, może pan ją obejrzeć.

Dorota z Olafem znikli w domu, by odświeżyć się i coś zjeść. Bliźniaczki bawiły się

nadspodziewanie cicho na piętrze.

- Sprawdź, czy czegoś nie zbroiły - powiedziała Teresa, jakby czytając w moich myślach.

98

Zanim zostawiła mnie samego, podzieliła się jeszcze wątpliwościami:

- Ciotka Adela do ostatnich chwil Śycia w domu spokojnej starości miała tę lampę przy sobie.

ZaleŜało jej na tym, by po jej śmierci trafiła w moje ręce. Zastanawiające, nieprawdaŜ?

Tak bardzo pragnąłem, by szklana buteleczka lub mosięŜne okucie przemówiły do mnie.

Milczały jednak jak zaklęte... Wtem pojawiła się obok mnie Dorota.

- Panie Tomaszu, Jacek dzwoni!

Gdy dotarłem do salonu, telefon ustawiony był na funkcję głoŝnego mówienia. Wyraz twarzy moich przyjaciół raczej nie zwiastował niczego pomyŝlnego, a cisza panująca w pomieszczeniu, potwierdzała moje przypuszczenia.

- JuŜ jest! - oznajmiła Teresa. - Mów.

- Stryju! Zdarzyło się coś strasznego! Zoŝka zaginęła! Nie tak, jak zdarzało się jej to do tej pory! Ona... Bo ja dzwonię ze szpitala!

- Zoŝka jest w szpitalu?

- Nie, ja jestem w szpitalu, ona zaginęła!

- Po kolei! - zarządziła Teresa. - Dlaczego jesteś w szpitalu?

- Podejrzewali malarię, ale nie potwierdziło się to.

- Ja będę mówiła - wtrąciła po angielsku Victoria. Od razu rozpoznałem jej zdecydowany ton głoŝu. - Polecieliśmy do dŜungli. Kiedy u Jacka pojawiły się objawy sugerujące, Ŝe mógł zarazić się malarią wraz z szefem wyprawy postanowiliśmy odtransportować go do szpitala. Następnego dnia Jacek został ŝmigłowcem przewieziony do placówki medycznej. Tego samego wieczora Zoŝkę ukąŝił wąŜ albo Ŝmija, tego nie wiem. Była przekonana, Ŝe chwyta za lianę, tymczasem złapała gada. Objawy zatrucia jadem postępowały bardzo szybko. Parę godzin później była nieprzytomna.

Nie spuszczaliśmy jej z oka, ciagle ktoś przy niej czuwał, aŜ do chwili, gdy David, to znaczy dowódca wyprawy, znalazł w apteczce fiolkę z surowicą. Nie wiedzieliśmy, na jaki jad działa. W

kaŜdym razie intensywnie rozwaŜaliśmy wszelkie moŜliwości, a kiedy wróciliśmy do jej poŝtania, Zoŝki nie było. Nie mogła stamtąd odejść sama, nie byłaby w stanie, zwłaszcza, Ŝe dolegały jej silne

skurcze mięśni.

- Więc jak to możliwe, że oddaliła się z obozowiska? - zapytała Teresa.

- Nie mamy pojęcia - odezwał się Maks. Mówił niewyraźnie, głos grzął mu w gardle.

- Od razu rozpoczęliśmy akcję poszukiwawczą. Człowiek zmożony gorączką pod wpływem halucynacji jest zdolny do czynów, które wydawałyby się nierealne. Mimo ciemności i niebezpieczeństw, które czyhają w ciemnościach dżungli, do świtu przeczesywaliśmy okolicę, a rano powtórzyliśmy poszukiwania jeszcze raz.

- Zosi nigdzie nie było - załkał Maks.

- Ulotniła się jak duch - powiedział Jacek. Siostrzeniec sprawiał wrażenie podekscytowanego, zapewne był pod wpływem środków uspokajających, które mogli zaaplikować mu lekarze.

- Natychmiast wróciliśmy z Maksem do Cuzco - tłumaczyła Victoria. - Wysłałam do obozowiska śmigłowiec z najlepszymi ratownikami. Może oni odnajdą Zosię.

- Mogła przeżyć ukąszenie? - zapytałem

- Musimy mieć nadzieję - dyplomatycznie odparła Angielka. - Zadzwońmy do was, jak dowiemy się czegoś.

Rozłączyli się.

Opadłem na krzesło i zamarłem. Nie wiem, ile czasu trwałem w tej pozycji. Przyjaciele wycofali się z salonu, zostawiając mnie sam na sam z myślami. Miałem mętlik w głowie. Cóż

robić? Akcję ratunkową zorganizowali na miejscu. Jak mogłem pomóc mej siostrzenicy zaginionej 99 w największym lesie na świecie?

Po pewnym czasie zapukała Teresa. Zaprosiłem ją do pokoju. Postawiła na serwecie kubek z melisą.

- Dorka twierdzi, że to dobre na uspokojenie.

- Dziękuję pani - objąłem rękami nagrany kubek. Nie czułem gorąca.

- Musimy wierzyć, że Zośka żyje - powiedziała prawie szepcząc.

- To dziwne, wiem, ale nie przyszło mi do głowy, że mogłoby być inaczej. Jestem skołowany, ale ani przez sekundę nie zwątpiłem, że Zośka gdzieś w tej dżungli jest. A przecież ukąsił ją wąż i...

- Proszę nie kończyć! Niech pan nawet o tym nie wspomina!

- Jeśli Zosieńka... To znaczy... Jak ona poradzi sobie sama w tropikalnym lesie? Jest delikatną młodą

kobietą, nie ma pojęcia o survivalu...

- Myli się pan. Zośka to twarda, pewna siebie dziewczyna. Na pewno da sobie radę. Jest inteligenta, kiedy napotka rzekę, pójdzie wzdłuż nurtu, aś dotrze do oceanu albo do jakiegoś ludzkiego skupiska. Przetrwa, jestem tego pewna.

A jaguary, piranie, pająki... W dŕungli nawet motyle mogą być śmiertelnie niebezpieczne! I węŕse!
Przecieŕ Zoŕkę coŕ ukąsiło, a organizm zdradzał objawy zatrucia jadem! To niemoŕliwe -

załoŕyłem ręce na kark i począłem chodzić po pokoju tam i z powrotem. - Gdybym ich nie wysłał do Ameryki...

- Panie Tomaszu, proszę się wziąć w garść. A Zoŕkę, równie dobrze, tutaj mogła ukąsić ŕmija. Ona ŕyje. Moŕse poczuła się lepiej, wstała i chciała napić się czegoŕ, ale szukając zapasów, zabłądziła? Na pewno tak było. Znajdą ją ale to wymaga czasu. Dŕungla to nie polski las. Jest gęsta i wystarczy odejść kilka kroków, by zgubić się. ŕciana lasu zamyka się za człowiekiem i nie sposób odnaleźć tę samą drogę drugi raz.

- Skąd pani to wie?

- Czytałam w ksiąŕkach podrŕniczych. Skoro Zoŕka oddaliła się z obozu, musiała być w lepszym stanie. Organizm na pewno zwalczył jad.

- Kiedy odeszli decydować, czy podać jej surowicę, była w bardzo cięŕkim stanie...

- To o niczym nie przesądza.

Tamtej nocy nie zmrŕyłem oka. Teresa teŕ. Najpierw połoŕyła bliźniaczki do łŕsek, później towarzyszyła mi. Dorka z Olafem ulotnili się do pokoju na piętrze, ale trzeszcząca podłoga zdradzała, ŕe nie śpią.

- Poszukajmy w Internecie informacji na temat Blüchera - zaproponowała Teresa.

- Słusznie. Lepsze to niŕ zdręczenie się.

Wpisaliśmy w wyszukiwarkę laptopa hasło „Gebhard Leberecht Blücher”. Spośród tekstów na stronach, które wskazały odnoŕniki, wyłoniła się ciekawa biografia: *Feldmarszałek urodził się 16 grudnia 1742 roku na terenie dzisiejszych Niemiec. Do wojska wstą pił bardzo wcześnie, mając czaledwie czternaŕcie lat. Walczył podŕczas po stronie szwedzkiej i dopiero w dowód uznania jego wielkiego talentu jeŕz dzieckiego, wciąż gniew to go do armii pruskiej. Ale działania wojenne nie były jedyną rzeczą, która pocią gała młodego męŕczyznę. Uwielbiał biesiady i zabawy, uchodził za łamacza kobiecych serc i nigdy w pełni nie poddał się wojskowej musztrze. Po siedemnastu latach zrezygnował ze słuŕby w armii. Zmienił swe ŕycie, oŕenił się i osiadł w majątku ziemskim. Ale nie zapomniał o wojsku i wrócił do niego w 1787 roku, by szybko, bo po siedmiu latach, awansować na stanowisko dowódcy jednostki. Bitwę pod Landau rozegrał z sukcesem, 100*

dzię ki czemu dołą czył do pruskiej generalicji. W póź niejszym okresie, jako gubernator Munsteru, zają ł się teorią wojskowoś ci.

Ś wiat wkroczył w XIX wiek, a Francja pod rzą dami Napoleona Bonaparte rozpoczę ła wojnę z Prusami. Począ tkowo Gebhard Leberecht Blücher nie odnosił szczególnych sukcesów dowódczych.

Francuzi pojмали go w niewolę . Okres ten był jednak krótki i generał szybko odzyskał wolność .

Zają ł się potajemnym szkoleniem Ő ołnierzy, co było sprzeczne z ustaleniami poczynionymi przez Prusy z pań stwem Napoleona. Z tego powodu został wydalony z armii. Przeniósł się kilkaset kilometrów od domu - na Ś lą sk. Do tej pory jego małą ojczyzną było Pomorze Zachodnie. Po klę sce Napoleona w Rosji, kiedy Prusy zawarły układ z Rosją , Blücher po raz trzeci wrócił do armii, gdzie mianowano go naczelnym dowódcą na Ś lą sku. Kluczowymi dla generała potyczkami miały stać się : bitwa nad Kaczawą 26 sierpnia 1813 roku, „bitwa narodów” pod Lipskiem, toczą ca się w dniach od 16 do 18 paź dziernika 1813 roku, oraz ta najślynniejsza - bitwa pod Waterloo.

18 czerwca 1815 roku stoczono walkę koń czą cą studniowy okres władzy Napoleona, który powrócił na kontynent z wygnania na Elbie. Dzień ten stał się kresem rzą dów słynnego cesarza Francuzów. Naprzeciw wojskom napoleoń skim stanę ły armie Wielkiej Brytanii i Prus pod dowództwem Arthura Wellesleya, księ cia Wellington, i Gebharda Leberechta Blüchera. Kiedy w ostatniej fazie walki, Francuzi zaczę li przełamywać opór aliantów, feldmarszałek wkroczył do akcji.

W rezultacie armia Napoleona została rozgromiona.

Po tryumfalnych zwycię stwach, dzię ki którym na zawsze zapewnił sobie w podrę cznikach historii miejsce jako pogromca Napoleona, przeszedł na zasłu Ő oną emeryturę .

W wieku siedemdziesię ciu dwóch lat otrzymał tytuł ksią Ő cy von Wahlstatt. Był to najniŐ szy tytuł „Fürst” w trójstopniowej tytulaturze arystokratycznej Prus. Zyskał na własność równieŐ

mają tek w Krobielowicach wraz z kilkunastoma wsiami. Zmarł w 1819 roku. W jego pogrzebie uczestniczył sam król Fryderyk Wilhelm III. Ale nawet po ś mierci nie zaznał spokoju. Ciało jego pierwotnie zło Ő ono w koś cie w Wojkowicach, nastę pnie, po wybudowaniu mauzoleum, trumna spoczę ła w grobowcu. W 1945 roku szkielet feldmarszałka został sprofanowany. Dziś wspaniałe mauzoleum ze zdewastowanym wnętrzem jest jak lament po niegodziwych czynach. NiewaŐ ne z punktu widzenia którego narodu bę dziemy oceniać feldmarszałka, miał prawo spoczywać w spokoju na ziemiach, za które był gotów oddać Ő ycie.

Skończyłem notować. Podniosłem nos znad kartki i powiedziałem:

- Powiniennem polecieć do Ameryki.

Przez przypadek Teresa uderzyła kubkiem o kant stołu, wyszczerbiając fajans.

- UwaŐ sam, Ő e będzie lepiej, jeśli zostanie pan w kraju.

- Ale Zosieńka! - wstałem, raptownie rozkładając ręce.

W tej samej sekundzie usłyszałem trzask tuczonego szkła.

- Teraz powinien pan się położyć - odparła Teresa rozkazująco.

- Przepraszam.

Uklęknąłem przy potrząskanej lampie.

- Nic się nie stało. Nie miała dla mnie większego znaczenia - kobieta próbowała pocieszyć mnie.

- Proszę iść do sypialni. Zanim położę się, pobieram to, co zostało z lampy.

Otaczało mnie coś cudownie miękkiego, skórę muskały czyjeś dłonie. Chciałam podnieść powieki, ale wydały mi się ciężkie, jakby leżały na nich kamienie. Orzeźwiający powiew rozrzucił

101

mi włosy. Jeszcze raz zmusiłam się do otworzenia oczu. Zamrugałam. Oczy poraziło ostre światło.

Zacisnęłam powieki i poczułam lzy spływające po policzkach. Tym razem ostrośniej rozchyliłam powieki, pozwalając dostosować się źrenicom do zalewającej mnie jasności.

Ciało miałam ciężkie i jakby bezwładne, szyję sztywną, a głowę pękającą z bólu, jakby ktoś nałożył mi śliwki zamiast włosów.

Oswoiłam się z rażącym światłem wypełniającym pomieszczenie. Pokój, znacznych rozmiarów, wychodził wprost na dwór. Ściany zwęziały się ku górze, przybierając kształt trapezu.

Taką samą figurę geometryczną stanowiły okna pozbawione szyb. To przez nie do środka wdzierały się promienie słońca, które następnie załamywały się na substancji pokrywającej ściany. Tą substancją było złoto.

Znowu ktoś dotknął mojej ręki. Zabolało, więc instynkt kazał mi ją odsunąć. Nie potrafiłam.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam kobietę, okładającą mi przedramię zieloną pastą. Maź była chłodna, co przyniosło chwilową ulgę. Mięśnie w ręce pulsowały, targane falami skurczów. Nie pamiętam, jak bardzo bolało, bo straciłam świadomość.

Ocknęłam się ponownie, gdy czyjeś palce gładziły mój policzek. Zobaczyłam uśmiechniętą dziewczynę. Cofnęła rękę i powiedziała parę słów w nieznanym mi języku. Brzmiał na przemian nosowo i gardłowo, nie dało się rozróżnić wyrazów.

Znowu uśmiechnęłam się, na tyle, na ile pozwalało mi zmęczenie. Dziewczyna odpowiedziała tym samym, kontynuując szczebiotanie w dziwnym narzeczu. Wyszła na chwilę z pokoju, ciągnąc za sobą

odgłos brzęczących blaszek, które w całości pokrywały jej ubranie, przypominające prostą tunikę. Blaszki były złote. Dziewczyna była niewiarygodnie piękna. Jej piękno leżało w egzotycznej urodzie i włosach ciemnych jak bazalt. Chodziła w sandałach z rzemieni. Paski skóry, oplatające kostkę, ciągnęły od turkusów. Kolor kamieni podkreślał orzechową karnację młodej kobiety.

Wróciła z miseczką parującego jedzenia, wykonaną ze złotego kruszcu. Pomogła mi usiąść na posłaniu i nakarmiła gotowaną kukurydzą. Duś mówiła, ale nic nie rozumiałam i coraz bardziej bałam się. Gdy skończyłam jeść, zadbała, żeby wygodnie ułożyła się, otoczona fałdami miękkiej tkaniny, przyjemnej w dotyku niczym jedwabna satyna. Później przyniosła złotą miednicę. Przy pomocy kawałka materiału zmyła z przedramienia zieloną maź. Chciałam zobaczyć rękę, lecz stanowczym ruchem kazała mi patrzeć w drugą stronę. Za chwilę na ręce znalazła się nowa warstwa roślinnej pasty.

Pokazałam na przedramię. W odpowiedzi usłyszałam potok nieznanych słów.

Dziewczyna raz jeszcze opuściła pomieszczenie, a pojawiwszy się z powrotem, trzymała węższą odlanego ze złota. Przytknęła przedmiot do mojej ręki. Zrozumiałam, że wie, dlaczego zachorowałam.

Później zostałam sama. Zasnęłam.

O zmierzchu do sali przyszło kilka kobiet w różnym wieku. Były bardzo eleganckie, w złotych szatach z ozdobami z szafirów i turkusów. Przyglądały mi się przez bardzo długi czas. Po kolei dotykały mojej twarzy. Następnie dziewczyna, która wcześniej mnie pielęgnowała, odsłoniła lekko mój dekolt. Ostatnie pomruki słońca, wydobyły z zawieszki, którą miałam na szyi, świeże iskierki. Austriacki kryształ mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Kobiety przyglądały się temu z zaciekawieniem, może nawet lękiem, bo śmiała nie odważała się złapać wisiorka w palce. Pojęłam, że ich stroje, choć warte w cywilizowanym świecie fortunę, były ubogie w szlifowane kamienie.

Tak, ludzie ci posiadali niewyobrażalne bogactwo, ale najwyraźniej nie znali sztuki obróbki kamieni. Zachwycali się zwykłym szkiełkiem, nie śmiętym brylantem czy nawet cyrkonią, bo 102

widzieli coś podobnego pierwszy raz w Syciu.

Dziewczyna przykryła mnie, uprzednio dotknawszy moich ramion, nóg i brzucha, jakby sprawdzała, czy nie mam temperatury.

Kobiety odeszły, zanim zupełnie ściemniło się. Miałam okazję, by rozejrzeć się. Wystarczyło tylko wstać z posłania i przejść parę kroków do drzwi lub okna. Problem w tym, że kości zeszywniały mi od leśnienia, a zakwasy w mięśniach nie ułatwiały rozruszania stawów. żeby krócej odczuwać ból, pospiesznie podniosłam się i stanęłam na pólstywnych nogach. Na nic się to nie zdało, bo nim minęło parę sekund, zamroczona upadłam na posłanie. Ogarnęła mnie fala gorąca, zalał lodowaty pot. Mroczki znikły sprzed oczu. Usiadłam na skraju posłania i wyęszając wzrok, postarałam się dostrzec zarysy przedmiotów niknących w szarówce. W niszach przęsnęły się posągi wielkości dziecka. Księżyc wydobywał na nich metaliczny połysk, ponieważ starannie je wypolerowano. Owinęłam się materiałem z posłania, jakby rodzajem kołdry i powoli podniosłam się. Nie zakreśliło mi się w

głowie, więc zrobiłam pierwszy krok, później drugi i następne.

OstroŹnie wychyliłam się za okno. Doznałam rozczarowania, bo moim oczom ukazał się mur.

Biegła pod nim wąska uliczka, ale nie miałam odwagi wyjść na zewnątrz.

Pomijając opuchniętą rękę, byłam sprawna. Co prawda nie mogłam popisać się najlepszą kondycją ale i tak mogłoby być gorzej. PrzecieŜ Źyłam! Właśnie... „Gdzie ja jestem? Co się stało?

Jak mam stąd uciec? Czyja sŹnię?” - przewinęło mi się przez głowę kilka pytaŹ.

Pocłapałam do poŹłania. Uszczypnęłam się w nogę najmocniej, jak potrafiłam. Pisnęłam.

- Więć to nie sen - zapewniłam się na głos, lecz nadal nie miałam pewności, czy otaczający mnie Źwiat nie jest wytworem wyobraźni. - Trzeba działać, trzeba zrobić plan...

PołoŜyłam się na boku i myśląc, obserwowałam księŜyc. Był moim jedynym towarzyszem.

ZnaliŹmy się od dawna. Nie przypuszczałam nigdy, Źe pewnego dnia jego pełna, srebrzysta facjata będzie moim najlepszym przyjacielem. Dodawał mi otuchy i przypominał, Źe gdzieś na drugim końcu Źwiata mam dom. Dom, do którego pragnęłam wrócić za wszelką cenę. Osłabiona, poddałam się w walce z zamykającymi się powiekami.

Poranny posiłek, przyniesiony przez znajomą dziewczynę, był bardziej urozmaicony w stosunku do poprzedniego. Zjadłam ziemniaki - słodkie w smaku, więc odrobinę mdłe, kawałek mięsa - nie mogłam oprzeć się wraŹeniu, Źe to pieczony wuŜ, i banana. Gdy złota taca z resztkami posiłku została wyniesiona przez słuŜącą piękną towarzyszką pomogła mi załoŜyc tunikę, podobną do tej, którą miała pod warstwą ozdób. Tunika nie miała rękawów, mimo to resztki zielonej maŹci, których jeszcze nie wytarłam w nakrycie poŹłania, znalazły się na materiale.

StaŹęłam przed dziewczyną i wskazałam na siebie.

- Zo-sia - powiedziałam powoli i wyraźnie. Powtórzyłam parę razy, aŜ uŹmiechnęła się i spróbowała mnie naŹladować.

- Toctollo - tym razem ona zabrała głos. Kalecząc, zmierzyłam się z wymową jej imienia.

Wyszło mi całkiem dobrze, bo ucieszyła się.

Pokazała, Źe mam za nią iŹć. WydostałyŹmy się na niewielki dziedziniec, na który wychodziły jeszcze dwa inne wyjŹcia. Toctollo wprowadziła mnie przez pierwsze po lewej stronie. W centralnej części pomieszczenia stała wanna w całości wykonana ze srebra, napełniona wodą.

Toctollo wzięła do rąk lustro z perfekcyjnie polerowanego srebra. Odbicie w nim było dalekie od odbicia, do jakiego byłam przyzwyczajona, mimo to moim oczom nie umknęła bladoŹółta barwa mojej skóry i siniak obejmujący całe przedramię, najciemniejszy w miejscu ukąŹszenia. Tam teŜ

była otwarta rana. Ciało uległo jadowi, co wyglądało przeraŹajaco, ale juŹ nie bolało.

Dziewczyna zostawiła mnie samą a ja weszłam do wody. Wykąpałam się, dokładnie 103 oczyszczając ranę. Letnia woda sprawiła, Źe ręka znowu zaczęła piec.

Kiedy na powrót znalazłam się w pomieszczeniu sypialnym, Toctollo przyniosła czarę z zieloną pastą. Wiedziałam, Źe przynosi ulgę, a w ranę nie wdało się zakaŹenie, więc ponownie nałoŹyła maść. Jako Źe nie miałam zamiaru męczyć się przez resztę dnia, uwaŹając, by maŹ nie spłyęła na ubranie, wzięłam płachtę materiału z poŹania i na oczach Toctollo oddarłam piętnastocentymetrowy pas tkaniny. Robiłam to niespiesznie, sprawdzając reakcję towarzyszki na moje ruchy. Nie wŹciekała się, wręcz odwrotnie - przyglądała się z zaciekawieniem. Oddarła parę pasów i pomogła mi zawinąć rękę, gdy udało mi się zademonstrować, czego oczekuję. Jak na niedoŹwiadczoną pielęgniarkę, znakomicie poradziła sobie z zadaniem. Oddarłyśmy jeszcze kwadrat materiału, który po złoŹeniu i podzieleniu na pół, dał trójkąty. Jeden poŹuŹył za temblak.

OdciaŹona ręka przysparzała mi mniej kłopotu, temblak sprawiał, Źe nie czułam bólu mięśni, który od miejsca ukąŹenia promieniował przez ramię aŹ do łopatki.

W upalnej duchocie męczyło mnie pragnienie, ale mimo wysiłków, nie udało mi się wytłumaczyć Toctollo, Źe mój organizm domaga się wody. Duchota dopełniana przez lejący się z nieba Źar, dała mi się we znaki jeszcze bardziej, kiedy poszłyśmy na spacer do ogrodu.

Nadzwyczajnego ogrodu. Mały raj z trzech stron otaczały zbocza wąwozu, z czwartej zaś budynki ze Źcianami wyŹciełanymi cennymi kruszcami. Po stokach pięły się kwiaty podobne do powoju, w Źrodku kielicha wybarwione na Źółto i coraz bardziej czerwone ku brzegom. Pełno tu było najrozmaitszych drzew i krzewów, rosnących wedle siebie tylko znanych prawidłowości. Doskonale ze sobą harmonizowały. SpoŹród koron drzew, kształtowanych kuliŹcie, spływały ku ziemi bluszcze, w cieniu których chroniły się orchidee, jakich nie znajdzie się w najlepszych kwiaciarniach. Pod stopami łaskotała trawa, z której „wyrastały” rośliny ze złota, podskubywane przez zwierzeta, teŹ złote. Złote, jak złote było słońce - najwaŹniejsze inkaskie bóstwo.

Usiadłam naprzeciw drzewka ze szmaragdami wielkości kurzych jaj imitującymi Źliwki. Przy liŹciach czaiły się złote pszczoły, dyndające na złotych drucikach. Czułam się jakby ktoś zamknął

mnie w odosobnionym klasztorze. Na wyciągnięcie ręki miałam niewyobraŹalne bogactwa, ale nie było przy mnie nikogo bliskiego. Rodziców, Jacka, stryja, Maksa, nawet Manuela! Kogokolwiek, z kim mogłabym zamienić parę zrozumiałych słów. Tęskniłam i bałam się. Czy kiedykolwiek uda mi się wydostać ze złotej pułapki? Gdzie ja jestem i czy aby na pewno nie Źnię na jawie?

W tamtym momencie jedno wiedziałam na pewno - musiałam uciekać. JeŹli to koszmar -

zbudę się, jeŹli nie - poznam prawdę. „JeŹli uda mi się wydostać za wąwóz, dam radę. Będę szła, aŹ napotkam na pierwszą rzekę, a później powędruję wzdłuŹ nurtu. W końcu dotrę do wybrzeŹa albo jakiejŹ osady. Przetrwam, choćbym miała błądzić latami. Wrócę do domu!” - pocieszałam się.

Z zamyślenia wyrwał mnie monotony dźwięk wygrywany na fletni pana. Zza zabudowań wyłoniła się grupa kilkunastu ludzi. Szli w dwuszeregu, niosąc na barkach lektykę. Połączoną oczywiście. Siedział na niej człowiek leciwy, z czerwonym wisiosem nad czołem i długimi piórami aryary wpiętymi we włosy. Na piersiach miał znacznych rozmiarów łańcuch z medalionem przedstawiającym Słońce.

Pochód zatrzymał się tuż przy mnie. Wcześniej zdążyłam wstać, a teraz, nie wiedząc, jakie zachowanie ta niezwykła kultura przewiduje dla przybysza, pokłoniłam się. Wtedy zza szeregu mężczyzn dzwigających lektykę, wyłoniła się znajoma twarz - indiański wódz, któremu w prezencie podarowałam kolczyk.

Inka zsiadł z lektyki. Długo się nie zastanawiając, wyjęłam z ucha drugi kolczyk z błyszczącym kryształem i dałam go mężczyźnie. Wziął go w palce i wyciągnął rękę. Obracał

nadgarstkiem, a z kamienia sypały się iskry. Iskry, jakich nie wydałaby nawet tona złota.

104

Indianie wymienili jakieś uwagi i posłali dokądś pierwszego w rzędzie słuchającego. Wrócił z moim ubraniem, które wódz znajomego plemienia przekazał na moje ręce. Toctollo zaraz dała mi znak i razem odeszliśmy do pokoju sypialnego.

Przebrałam się w spodnie i koszulkę, założyłam wojskowe trepy, którymi uraczył nas David.

Buty były toporne i niewygodne, ale przynajmniej miałam w czym uciekać! Teraz wystarczyło poczekać na odpowiedni moment, ulotnić się z sypialni do ogrodu, najlepiej pod osłoną nocy i dalej wdrapać się na ścianę wąwozu. Byłe tylko za wąwozem nie czekała mnie jakaś niespodzianka.

Widok wodza znajomego plemienia ucieszył mnie, ponieważ jego obecność świadczyła o tym, że eskapada Victorii jest w zasięgu możliwym do przebycia w niedługim czasie. „Ale jak niedługim? Ile czasu leżałam bez świadomości, zanim odzyskałam przytomność?” - zastanowiłam się.

- A jeśli nie uda mi się odnaleźć przyjaciół? Szczerze mówiąc, to prawdopodobne rozwiązanie. Czy jestem przygotowana na samotną tułaczkę po terenie pełnym zasadzek wymyślonych przez naturę? - bez ogródek mówiłam na głos.

Pewne elementy nagle ułożyły się w całość. Wódz albo ktoś z jego plemienia, musiał nas śledzić. Kiedy zorientował się, że po ukąszeniu jestem w bardzo złym stanie, a moi przyjaciele nie potrafią mi pomóc, przyniósł mnie tutaj, do ludzi, którzy z podobnymi przypadkami mają do czynienia na co dzień. Uratowali mnie!

Zza budynków rozległy się odgłosy śpiewów. Toctollo pomachała ręką. Posłusznie poszłam za nią. Tym razem, po przejściu przez dziedziniec, skierowałyśmy się do drugich drzwi, krótkim korytarzem przedostałyśmy się w wąskie uliczki, starannie wyłożone płaskimi kamieniami.

Byłyśmy w mieście. Parę przecznic dalej otworzyła się przed nami przestrzeń, na której mieściła się olbrzymia budowla otoczona płaszącymi ludźmi. Na podwyższeniu siedział tutejszy wódz, z

czerwonym wisiorem nad czołem, nieco niŹej wódz znajomego plemienia i trzech innych, nieznanym mi męŹczyzn. Na ich piersiach wisiały naszyjniki z zębów jaguara. Przed główną budowlą na kamiennym cokole, dymiły resztki paleniska.

DrŹałam z przeraŹenia. Ziemia pulsowała od jednostajnych uderzeń setek stóp. ZbliŹyliŹmy się do Inki. JakaŹ kobieta przekazała mi pucharek, który przechylił do ust, nie upijając ani kropli.

Następnie podał mi go. Zrobiłam podobne ruchy i wyciągnęłam rękę z pucharkiem przed siebie.

Toctollo złapała mnie za ramię a drugą ręką podtrzymała naczynie. Najwidoczniej nalegała, Źebym wypila cuchnący plyn. Zawahałam się. Bronić się? Uciekać? Szarpać? Czy w starciu z otaczającymi mnie ludźmi miałabym jakakolwiek szansę? Zresztą, skoro ocalili mi Źycie, nie chcieliby skrzywdzić mnie teraz! Chyba Źe złoŹyć w ofierze... Zaraz, zaraz - jak to było z tymi ofiarami? W

makabrycznych obrzędach, na czele z wyrywaniem bijącego serca z piersi, przodowali Aztekowie.

A Inkowie? JeŹeli załoŹylabym, Źe mam do czynienia z zaginionym miastem Inków, i tak nie powinnam być spokojna. Bo Inkowie, choć na mniejszą skalę, takŹe składali ofiary z Źywych ludzi.

Zdecydowanie odsunęłam puchar od ust. Wtedy wódz znajomego plemienia podniósł się z tronu i uderzył mnie w plecy. Był to przyjacielski gest, wódz stale pokazywał komplet uzębienia.

Wyrwał mi puchar i przechylił wprost do moich ust.

Do oczu napływały mi łzy. Przełknęłam gorycz napoju i przeraŹona czekałam, co będzie dalej.

Toctollo posadziła mnie na wolnym tronie, obok czterech Indian z ozdobami z zębów jaguara.

Zaczęły się tańce i śpiewy, brzmiące niczym ostra wymiana zdań. Powietrze wypełniła cięŹka woń jakby palonego kadzidla. Sądzę, Źe musiały być to zioła lub drewno specjalnego gatunku.

Z ziemi podniósł się kurz. Pył dusił i piekł w płucach. Kaszlałam, było coraz goręcej.

Podrygujący tłum zbliŹał się coraz bardziej. Wcisnęłam się w złoty fotel, kiedy przed oblicze 105

człowieka z czerwonym wisiorem na czole, przyprowadzono tuzin młodych kobiet o nieskazitelnych proporcjach. Zamknęłam oczy, obawiając się tego, co miało się wydarzyć. Słońce grzało coraz mocniej, kurz chrzęścił między zębami. Wbiłam paznokcie w podłokietniki. Serce biło mi gwałtownie, uderzając w rytm hałasującego tłumu. Wtem poczułam mrowienie w nogach i rękach. Nie mogłam się ruszyć, ani nawet otworzyć powiek. Ostatnią rzeczą jaką pamiętam, było nieprzyjemne uczucie bezwładnego spadania z siedziska.

KAMIENIEM I SZNURKIEM SPŁACAM DŁUG WDZIĘCZNOŚCI • TŁUMNE

ODWIEDZINY I ZAMIESZANIE W SZPITALU • PLANY POWROTU DO MEKSYKU •

JAKIEGO ODKRYCIA DOKONAŁ STRYJ? • SFORSOWAĆ POSIADŁOŚĆ FALCO •

**MAM ROLE DO ODEGRANIA • SPACER Z MANUELEM • DZIEJE CUZCO • KTO GRA
NIE FAIR? • POWRÓT DO EUROPY • CZY ZŁOTE MIASTO ISTNIEJE?**

Ocknęłam się, bo ktoś nie przestawał klepać mnie po policzku. Zamachnęłam się i odtrąciłam obcego męszczyznę. Zaraz wokół mnie zebrało się więcej nieznamymych. Wykrzykiwali coś po hiszpańsku. Nosili zwyczajne spodnie i kapelusze z szerokim rondem oraz sznurkiem pod brodą przytrzymującym nakrycie głowy na miejscu.

Czaszka pękała mi, jakby rozrosła się, nie mieszcząc w skórze. Chciało mi się pić i piekło mnie w Śołądku.

- Cinderella? - usłyszałam głos przedzierający się pomiędzy okrzykami. - Co ty tu robisz?

Zapadła cisza, a męszczyźni rozstąpili się, by zrobić miejsce Manuelowi. Falco wyglądał śmiesznie w szerokich lnianych portkach i koszuli tylko częściowo upchanej w spodniach.

Przybiegł boso. W rozczochranej czuprynie i z trzydniowym zarostem prezentował się jeszcze przystojniej niż zwykle.

- PomóŜ mi wstać - poprosiłam, oglądając zabandaŝowaną rękę.

Podniósł mnie i zaniósł do namiotu. Stało w nim kilkanaście polowych łóŝek.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Ukąsił mnie jakiś gad. Indianie opatrzyli mi rękę, a później chyba mnie tu przynieśli. Nie pamiętam, bo dali mi do wypicia jakieś świństwo.

- Napar halucynogeny.

- Tak sędę.

- A gdzie była ta indiańska wioska?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Skąd właściwie wzięłaś się w dŝungli, akurat przy moim obozie?

- Chyba najpierw powinieneś wyjaśnić mi, dlaczego bez słowa poŝegnania znikłeś z Machu Picchu. I to z naszym przedmiotem-kluczem!

- Nie było Śadnego przedmiotu-klucza.

- A skąd wiedziałeś, Śe punktem orientacyjnym pomocnym w poszukiwaniach Złotego Miasta powinny być dwa kondory?

Nie zwrócił uwagi na moje pytanie:

- Gdzieś w okolicy jest wyprawa prowadzona przez Victorię?

- Nie wiem, gdzie oni są. Na pewno martwią się o mnie, bo myślą, Śe zgubiłam się w lesie.

- Zadzwonimy do nich, jak niebo się rozchmurzy, bo telefon satelitarny tylko wtedy działa.

Przytaknęłam głową.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za to, Śe mi pomagasz.

- PrzecieŚ nie mogę najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek poznałem, zostawić na pastwę losu w środku buszu!

107

- Jak idą poszukiwania Eldorado? - zapytałam.

- Spełży na niczym. Nie znaleźliśmy najmniejszego kamienia. Na razie Złote Miasto pozostanie mitem.

- Tak. Tak będzie zdecydowanie lepiej.

- Słucham? Co masz na myśli?

- Chodzi o to, Śe lepiej będzie, jeśli naukowiec twojego pokroju zajmie się badaniami przynoszącymi wymierne rezultaty - skłamałam.

- Wkrótce nadlecą helikoptery. Jeszcze dziś wrócimy do Cuzco.

- Manuel, tak mi przykro, Śe twoje marzenie nie spełniło się.

- WciążŚ mogę marzyć. A jak twoja ręka?

- Powinien obejrzeć ją lekarz.

- W Cuzco wprost z lądowiska pojedziemy do szpitala.

Helikoptery nadleciały po dwóch godzinach. Zanim zapakowali cenny sprzęt, miałam chwilę na to, by zrobić coś ważnego. Nie mogłam oprzeć się wraŹeniu, Źe gdzieś zza liŹci wciŹŹ spoglŹdajŹ na mnie czyjeŹ oczy. Indianie Źledzili mnie nieustannie. Pragnęłam podziękowaŹ im za opiekę. Co prawda, pomylili obozy, odnoszŹc mnie do tego, w którym stacjonowała grupa Falco, ale przecieŹ

to nic wielkiego. MoŹe oni majŹ równie wielki problem z rozpoznawaniem rysów białyŹ ludzi, co my z bezbłądnym identyfikowaniem Indian czy Azjatów. Tak czy inaczej, miałam u nich dłuŹ wdziecznoŹci i postanowiłam spłaciŹ go niezwłocznie. Rozpięłam łańcuszek, na którym połykiwał

trzeci austriacki kryształ, ostatni, jakim dysponowałam. Zapięłam łańcuszek i powiesiłam go na gałęzce, razem z kawałkiem pomarańczowego sznurka, który odcięłam od odciaŹu namiotu.

Nareszcie nastał czas powrotu do cywilizacji...

Lekarze na nowo oczyŹcili ranę na ręce, zaaplikowali maŹ z antybiotykiem i przygotowali wypis ze szpitala. Przed salŹ, w której leŹałam, kłębili się znajomi, przyjaciele i Jacek. Gdy pielęgniarka, jako ostatnia opuŹciła salę, naraz wbiegli do pomieszczenia, robiŹc potworny rwetes.

- Obok leŹŹ inni chorzy! - zwróciłam uwagę.

- ZoŹka, a ty juŹ zaczynasz swoje? - zaczepił mnie Jacek i natychmiast wyŹciskał mnie po bratersku.

- Jak to moŹliwe, Źe nieprzytomna odeszłaŹ z obozu? - zapytał David.

- Indianie mnie zabrali - odparłam zgodnie z prawdŹ, nie zamierzajŹc jednak wyjawiaŹ jej do końca.

- Ale napędziłaŹ nam strachu - wybełkotał blady Maks.

- Nie pierwszy raz - trajkotał Jacek. - Siostra, mogłabyŹ choŹ raz nie wpakowaŹ się w jakieŹ kłopoty?

- PrzecieŹ nie ponosi winy za to, Źe coŹ ją ugryzło! - oburzyła się Victoria. Nosiła mocno zakrytŹ ale bardzo krótkŹ sukienkę. Niezmiennie skupiała na sobie wzrok wszystkich męŹczyzn.

- ZoŹka jest jakaŹ dziwna - stwierdził naraz Manuel. - MilczŹca.

- Wiesz, ile przeszła? - Jacek skoczył mu do oczu.

- Walka z jadem wycieńczyła organizm - powiedział Maks.

- JeŹli pozwolicie mi dojsŹ do słowa...

- Cisza! - ryknęła Cassidy. - Mówi ZoŹka.

- Jacek, jak ty się czujesz?

- W porzŹdku, nic mi nie dolega. Ale wiesz, postanowiłem preferowaŹ jednak nieco łagodniejszy

klimat. Nigdy więcej Śadnych tropikalnych puszczy!

- Mam nadzieję, Śe nie niepokoiłeś stryja moim zniknięciem?

108

- Stryj! Natychmiast do niego zadzwońmy, Śeby się nie martwił.

- Więc jednak mu doniosłeś.

- Zocha, to nie wyglądało śmiesznie. Zdarza się, Śe ludzie giną w dŚungli na zawsze, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

- Przyznaj się szczerze, Śe właśnie na to liczyłeś!

- Czy oni kiedykolwiek przestają? - zapytał Manuel.

- Raczej nie - odparł Maks.

Zeskoczyłam z łóŚka. Klimatyzacja w pokoju miała za małą wydajność, więc powietrze przegrzało się.

- Nie zostanę tu ani sekundy dłuŚej - porwałam złoŚone na krzesło spodnie i koszulkę i podreptałam do łazienki. Ubrałam się z trudem, ponieważŚ zraniona ręka była sztywna od opatrunku.

Przyznam, Śe indiańska maź przynosiła mi znacznie większą ulgę niŚ apteczna maść, zaaplikowana przez lekarzy.

W hotelu wszyscy rozeszli się do swoich apartamentów. Mieliśmy z Jackiem i Makssem chwilę dla siebie.

- Victoria wŚciekła się, kiedy po moim zniknięciu postanowiliście wrócić do Cuzco?

- Nie wydaje mi się - po zastanowieniu powiedział Maks. - Decyzję podjęła z własnej inicjatywy. My z Davidem chcieliśmy zostać i szukać cię, ale ona wolała wrócić, by do dŚungli wysłać profesjonalną ekipę poszukiwawczą.

- Pewnie miała dość komarów, much, wilgoci i całej reszty niewygód, które doskwierały równieŚ nam - odezwał się Jacek.

- Zadzwoń do pana Tomasza - przypomniał Maks.

Niezwłocznie wykręciłam numer stryja. Nie spał.

- Słucham?

- To ja Zosia. Jakby to powiedzieć...

- Odnalazła się! - uzupełnił Jacek. - Najszybciej, jak się da, wrócimy do kraju. Dość tych niebezpieczeństw!

- Jakże się cieszę! Byłem pewien, że... To znaczy... - stryj zająknął się, po czym zmienił

temat. - Z tym powrotem nie spieszcie się tak. Co prawda kategorycznie zabraniam wam wypraw do dŹungli i szukania Eldorado, ale mam dla was jeszcze jedną misję do spełnienia.

- Naprawdę? - zachwycił się Maks, jakby rozczarowany do tej pory bezowocną podróżą.

- Dokonałem ważnego odkrycia. Wracacie do sprawy lamp.

- Jak to wszystko sprytnie rozegrać? - Jacek dumiał na głos.

- Musimy wrócić do Meksyku i dostać się do posiadłości Manuela - stwierdził Maks.

Rozsunęłam zasłonę. Ulicą ciągnął się sznur samochodów, głównie rozklekotanych rżechów.

W autach siedzieli rozpromienieni ludzie, nie zważali na irytujący korek. Powróciłam myślami do rozmowy.

- Nie planujemy rzeczy niewykonalnych. Posiadłość Falco to prawdziwa twierdza otoczona wysokim murem, pilnowana przez ochroniarzy. Nie dostaniemy się do niej.

- Włamiemy się - powiedział Jacek.

Pstryknęłam palcami w daszek jego czapki.

- Nie mam ochoty być tatarem dla krokodyli.

- O czym mówisz?

109

- O tym, że zamiast kurnika Manuel ma krokodylowisko. Pupili dokarmia surowym mięsem.

Poza tym nie jesteśmy złodziejami.

- Przepraszam bardzo! - uniósł się Maks. - Falco ukradł sztabki z lamp. A my odnajdziemy je i sprawimy, że wrócą do Polski.

- Jeszcze nie wiemy, czy są cenne. Stryj trafił na podłusny kawałek srebra pomiędzy szkłem z rozbitej lampy, ale nie znalazł odpowiedzi na pytanie, do czego ów kawałek miałby służyć. Moją zadaniem sztabki było obciążenie podstawy lampki.

- Jasne! - Jacek klepnął mnie w ramię. - A żeby sztabka ładniej wyglądała w razie rozbicia lampy, ktoś wygrawerował na niej literę „K”?

- Pan Tomasz kazał nam odnaleźć sztabki, które prawdopodobnie Manuel wydobył z lamp i przemycił do Ameryki Południowej - powiedział Maks.

- Skąd stryj wie, że Manuel z innych lamp też wydobył podobne sztabki? - zapytałam.

- Sobie tylko znanym sposobem, w pobliżu pałacu znalazł zielone szkiełka. Jest pewny, że nie pochodzą z rozbitych butelek. W szkiełkach widać wyraźnie podłużne bąbelki powietrza. Takie powstawały w trakcie ręcznego modelowania szkła w hutach - wyjaśnił Jacek.

- Jeśli sztabki są wartościowe, Falco już dawno pozbył się ich. Po co miałby ryzykować, skoro mógł wziąć za nie duże pieniądze? - myślałam na głos.

- Jeśli sztabki mogą być mapą do skarbu Napoleona, jak to powiedział stryj, Manuel na pewno nie pozbył się ich. Jemu nie zależy na pieniądzach, tylko na splendorze, który mogłoby mu zapewnić odkrycie sekretnej zdobyczy, poczynionej przez feldmarszałka po bitwie pod Waterloo, a więc na polowym wyposażeniu cesarza - powiedział Jacek.

- Pan Tomasz wspominał coś o zamiłowaniu Napoleona do biżuterii - przypomniał Maks

- Raczej do kobiet, które podobno uwielbiał nią obdarowywać - zachichotał mój brat. - Jedną z nich rzekomo była Polka. Jak ona się nazywała?

- Walewska.... - pomogłam.

- Wróćmy do tematu posiadłości Falco - powiedział Maks.

- Nie sforsujemy jej - pokręciłam głową - Musimy wymyślić coś innego.

- Wybadamy Manuela.

- Ciekawe jak? - prychnęłam.

- To już twój problem. Ubierzesz się w najlepszą sukienkę i umówisz z nim na randkę.

Wycelowałam palec w przyjaciela.

- I ty to mówisz? Myślałam, że... - spuściłam z tonu.

- Też tak sądziłem do niedawna.

Jacek dyskretnie ulotnił się do łazienki.

Zrobiło mi się przykro, bo Maks wyraźnie mnie ignorował.

- Nie jestem jakąś dżównicą i nie będę grała roli przynęty - obraziłam się.

- Dobrze powiedziałaś. Nie jesteś przynętą ale zagrasz ją.

- Nie będę niczego udawała.

- Twoja decyzja. Wrócimy do Polski z pustymi rękami.

Maks złapał kurtkę i wyszedł z pokoju. Jacek pobiegł za nim, nie kryjąc złości.

Odwinęłam z ręki bandaŜ. Siniak zmniejszył się, odrobina fluidu powinna zatuszować problem. Wzięłam prysznic, ułoŜyłam włosy i zrobiłam makijaŜ. Wybrałam sukienkę w kolorze fuksji z półprzezroczystymi rękawami - bufkami.

Zebrałam w sobie całą siłę, jaką miałam, a po przygodzie w dŜungli nie zostało jej duŜo. Nie zastanawiałam się długo nad tym, co pomyśli sobie o mnie Manuel, kiedy złoŜę mu propozycję 110 spotkania. Zapukałam do drzwi apartamentu numer 2107.

- Proszę wejść - usłyszałam.

Klamka mlasnęła.

Manuel odpoczywał na sofie, studiując jakąś ksiąŜkę. OdłoŜył ją natychmiast, gdy mnie zobaczył. Zdjął okulary, w których był jeszcze przystojniejszy.

- Potrzebujesz czegoś?

- Chcę pozwedzać. Zastanawiałam się, czy moŜe miałbyś ochotę towarzyszyć mi?

- Wejdz proszę do środka, nie stój w drzwiach.

- Robi się późno. Nie chcę stracić szansy obejrzenia tego słynnego miasta, a w kaŜdej chwili moŜemy wyjechać stąd.

- Osobiście oprowadzę cię po Cuzco. Wezmę portfel i moŜemy iść. Czy mówiłem ci, Őe masz ładną sukienkę?

- W podobnych kobiety odpoczywały na takich meblach - wskazałam na stronę z albumu, gdzie na zdjęciu przedstawiono szezlong empire.

- Masz rację, sukienka jest w stylu napoleońskim.

- Znasz się na modzie?

- Raczej na historii.

- Mam nadzieję, Őe na historii Cuzco równieŜ - powiedziałam zalotnie.

W istocie Manuel mógł pochwalić się szeroką wiedzą na temat „Pęпка Świata”, jak tłumaczy się nazwę miasta.

Niespiesznie powędrowaliśmy ulicami na wschód. Zapadał zmierzch, otynkowane na biało domy pod pokryciem z pomarańczowej dachówki przypominały zabudowania nad Morzem Śródziemnym. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że spaceruję po jednym z włoskich miasteczek.

Uczucie to przysło, kiedy dotarliśmy do budowli okazałych rozmiarów.

- Inkaska? - zapytałam, nie odrywając wzroku od murów z gładzonego kamienia.

- Zgadza się. Świątynia Słońca jest jedną z najważniejszych pozostałości prekolumbijskich.

Przetrwała setki lat i niejedno trzęsienie ziemi.

- Prezentuje się solidnie.

- Zwróć uwagę, jak dokładnie budowniczowie oszlifowali i dopasowali poszczególne elementy konstrukcji.

Potwierdziłam zachwyt towarzysza, choć strona techniczna architektury mało mnie interesowała.

- Z jakiego powodu Świątynia Słońca była szczególna?

- Gdy konkwistadorzy weszli do Cuzco, zastali niebywałe bogactwa. Pałace, świątynie, ogrody, o jakich nie śnili. Najbardziej zachwyciła ich właśnie budowla, przed którą stoimy.

Wyteńczyłam wzrok, by w gęstniejącym zmierzchu ujrzeć szczegóły, którymi zachwycili się Europejczycy. Wzrok przyciągała staranność wykonania i nic poza tym.

- Nie wysilaj się, do dziś zostały same mury.

- Jak wyglądała świątynia, gdy pojawili się najeźdźcy?

- Zewnętrzne ściany i teren przy gmachu były obłożone złotem i szlachetnymi kamieniami.

Wypolerowane, odbijało światło niczym zwierciadło. W otoczeniu świątyni znajdowały się liczne posągi odlane ze złota. Wewnątrz zaś złoty i srebrny dysk. Pierwszy ku czci słońca, drugi -

księżycy. A wszystkie te luksusy przeznaczone były dla... zmarłych. Przechowywano tu mumie dostojników. Nie grzebano ich, lecz zajmowały złote trony.

- Wyposażenie nie przetrwało - bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

Kilka przecznic dalej mieściła się Plaza de Armas. Od punktu znajdującego się w centrum placu, tradycyjnie wyznaczającego środek Kraju Czterech Stron Świata, rozchodziły się gwiazdziście ułożone ścieżki. Niegdyś drogi te prowadziły do każdego miasta w państwie Inków.

Mają znaczenie symboliczne, podobnie zresztą jak samo Cuzco. Według legendy została założona przez pierwszych Inków - Manco Inca oraz jego siostrę, a później Sone, zwaną Mama Ocllo.

Nad Plaza de Armas zakradły się ostatnie pomruki słońca, barwiąc niebo na chabrowy granat, gdzieś tam muśnięty purpurą. W tle katedry płynęły wydłużone obłoki. Chodniki lśniły subtelnie w blasku słońca latarni, które niczym pochodnie okalały trawniki.

Iluminacje świetlne wydobywały niepowtarzalne piękno kościołów.

- Oto katedra - powiedział Falco. - Niestety, nie zobaczymy wnętrza, bo zamykają je przed turystami po siedemnastej. W świątyni znajduje się jedyny w swoim rodzaju obraz przedstawiający Chrystusa posilającego się tutejszymi potrawami regionalnymi, w tym świniką morską. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o peruwiańskim zwyczaju konsumowania zwierząt domowych. Przypomniałam sobie co prawda, że w Polsce zjada się króliki i zajęce, nie dało mi to jednak żadnego pocieszenia.

Na siłę zaciągnęłam Manuela do ulicznego kramu. Nie byłabym kobietą gdybym przegapiła okazję do choćby najdrobniejszych zakupów.

Przymierzyłam naszyjnik z fragmentu naturalnego koralowca umocowanego na rzemyku.

Ognista czerwień biżuterii znakomicie prezentowała się na dekolcie.

Dopasowując długość rzemyka, zastanawiałam się, co w przypadku Falco znaczy pocieranie palcem brwi. Czyżby zniecierpliwienie?

- Ładnie? - podpuszczałam go.

- Pięknie!

- Więc, o co chodzi?

- Nie jestem pewien, czy nie będziesz miała kłopotów, próbując wywieźć to za granicę.

Polecałbym pamiątki pozbawione elementów flory morskiej.

Miał rację. Nie wiadomo było, jak na koralowca zareagowałiby celnicy. A przecież, żeby dowieźć naszyjnik do domu, musiałabym przejść przynajmniej dwie kontrole celne. Poza tym nie miałam zamiaru niczego przewozić przez granice nielegalnie!

- Wezmę bransoletkę tkaną z kolorowych sznureczków.

Manuel przetłumaczył to na hiszpański. Sprzedawca włożył pamiątkę do woreczka.

Zapłaciłam sama, mimo że mój towarzysz stanowczo protestował.

- ładnych prezentów! - oświadczyłam uśmiechając się. Niezwłocznie podsunęłam nowy temat. - Naprawdę wierzyłeś, że odnajdziesz Złote Miasto?

- Przynajmniej ruiny.

- Przykro mi, że ci się nie udało.

- CóŜ... Gdyby nie poszukiwanie Eldorado, pewnie nigdy nie poznałbym ciebie.

Tkwiliśmy opodal schodów prowadzących do świątyni, wpatrzni w siebie. Jak to możliwe, że bym znając pokrętnie sprawki Manuela, spędzała z nim wolny wieczór. Podobał mi się, przed samą sobą nie mogłam zaprzeczyć. Znowu pachniał korzennymi perfumami, znowu ubrał się w spodnie i koszulę z jasnego lnu, opływające jego wyrzeźbioną sylwetkę. Robił na mnie wraŜenie, ale nie ufałam mu. Ponieważ obawiałam się, że za moment zacznę zachowywać się irracjonalnie, skupiłam się na celu naszego spaceru. Celu, którego Manuel przecieŜ nie znał.

- Masz jakieś plany na najbliższą przyszłość? - zapytałam.

- Wrócę do Polski i odpocznę trochę z dala od świata archeologii. Później może zajmę się 112 poszukiwaniami innego skarbu.

- Nie znudziła ci się pogoń za mitami?

- W każdym micie jest odrobina prawdy.

- Jak w plotce?

- Jak w plotce.

- Słyszałam kilka plotek na twój temat.

- Lepiej zajmij się plotkami o pani Cassidy. Są o wiele ciekawsze.

- Victoria mnie nie interesuje - zmieniłam ton na bardziej zasadniczy.

Musnął palcami moją dłoń. Odsunęłam się.

- Szkoda, bo powinna.

- Sugerujesz coś?

- Cokolwiek powiem i tak mi nie zaufasz - zbliŜył się do mnie. Korzenna woń ponownie zaatakowała mój nos. Staralam się nie stracić czujności, ale byłam coraz bardziej zdezorientowana.

- Dziwisz się? Twój ochroniarz chciał mnie skrzywdzić wcale nie na Sarty, a ty sam oszukałeś nas w Machu Picchu.

- Jesteś pewna, że tylko ja was oszukałem?

- Kogo jeszcze miałabym podejrzewać?

- A kto, według ciebie, grał nie fair? Moja ekipa wyznaczyła trasę poszukiwań Eldorado, a wasza ekipa poszła za nami ślad w ślad. Wyjaśnij mi coś. Nie ufasz mi, rzucasz na mnie podejrzenia, a jednak to właśnie mnie zaprosiłaś na spacer...

- Bo jesteś przystojny - chlapnęłam bez zastanowienia i zaraz tego pośałowalam, mimo że był to jedyny sposób na przerwanie trudnego wątku. - Kiedy wracasz do Polski? - błyskawicznie znalazłam temat zastępczy.

- Jutro.

- Sądziłam, że mieszkasz w Meksyku.

- Zostawiłem w Polsce interesy do sfinalizowania. Muszę wrócić.

- Masz już zabukowane bilety?

- Ja? Byłem przekonany, że Victoria i wasza trójka leci tym samym rejsem.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Te informacje mam od Victorii.

Potarłam ramiona. Robiło się coraz zimniej.

Lotnisko wypełniały chmary niecierpliwych turystów. Ostatnie chwile przed odprawą wykorzystywali głównie na upychanie pamiątek w torbach. Jacek, Maks i ja wyraźnie wpisywaliśmy się w ten obrazek. Każde z nas dźwigało w torbie cukrowe czaszki, które chłopcy kupili na bazarze jeszcze w Meksyku i parę innych pamiątek. Gdy czekaliśmy w hali odlotów, zobaczyłam tubylca, który rozłożył na kolanach styropianowe pudełko do żywności na wynos i wyjadał z niego smaczne kąski. Kiedy rzuciłam okiem do środka, w największej przegrodce zobaczyłam obdartą ze skóry, upieczoną jak kurczak z rośna, świnkę morską.

Peru napełniało mnie przerażeniem. Trudno, że bym bezwarunkowo polubiła kraj, w którym nieomal straciłam życie i gdzie ludzie zajadają się futerkowymi pupilami. A jednak stojąc w kolejce do odprawy, miałam wrażenie, że kończy się coś ważnego, że nigdy więcej nie przeżyję podobnej przygody.

Z przyjemnością wyciągnęłam się na fotelu, a te w klasie biznesowej były doprawdy bardzo wygodne. Na dobre odprężyłam się dopiero wtedy, kiedy maszyna uniosła się ponad chmury.

113

Lecielśmy nad lasem deszczowym. Już nie wydawał mi się miękkim dywanem, oazą spokoju niezmaconą cywilizacją. Odruchowo wypatrywałam złotych świątyń, złotych roślin i złotych zwierząt. Tak bardzo chciałam potwierdzić naocznie, że to, co przeżyłam, wydarzyło się naprawdę, a nie było wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Potwierdzenia takiego jednak nie znalazłam, choć

czekałam do chwili, aŜ maszyna przekroczyła linię oceanu. „Czy kiedykolwiek zyskam pewność, Ŝe ocalili mnie ludzie ze Złotego Miasta i Ŝe Złote Miasto istnieje? A moŜe faktycznie uratowali mnie Indianie z plemienia, które nas gościło, a to, co utrwaliła moja pamięć, jest skutkiem halucynacji?” - rozmyślałam, nim usnęłam.

114

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

PRZESIADKA W ANGLII • PROBLEMY PRZY ODPRAWIE CELNEJ I KONTROLA •

SPRZECZKA NA LOTNISKU • W RAMIONACH STRYJA • POWITANIE PRZYJACIÓŁ

• TERESA ZAPRASZA VICTORIĘ NA KOLACJĘ • PRZEGLĄDAM KSIĄŹKI STRYJA •

IMPERIUM INKÓW WEDŁUG POTOMKA KRÓLÓW • METAMORFOZA ANGIELKI •

JACEK ODKRYWA KARTY PRZED VICTORIĄ • KTO OKRADŁ OKOLICZNE DOMY?

• SZTABKA • POSZUKIWANIA W ŚRODKU NOCY • PROMOCYJNA PRZEJAŹDŹKA

Heathrow było miejscem, gdzie ostatecznie zderzyłam się z rzeczywistością. Barwny świat Ameryki Południowej znów był hen daleko. Na nowo wpadliśmy w wir europejskiego pośpiechu.

Zamiast radosnych twarzy, zobaczyliśmy naburmuszone lub smutne. Europa była szara i jednolita, choć londyńskie lotnisko skupiało ludzi róŜnych narodów.

- Ile czasu zostało nam do lotu do Polski? - zapytałam.

- Polecimy wtedy, kiedy zechcemy - powiedział Manuel.

- Samolotem mojej rodziny, z prywatnego lotniska - dodała Victoria. - Prosto do Wrocławia.

Przedtem jednak zjemy coś w restauracji.

WłoŜyliŝmy bagaŜe do podstawionego samochodu. Kierowca miał zawieźć je na lotnisko, Ŝeby samolot był gotowy do startu, kiedy skończymy posiłek. Po obiedzie przez godzinę przeciskaliśmy się zatłoczonymi ulicami, zanim dotarliŝmy do rozległej posiadłości państwa Cassidy, gdzie mieŝciło się równieŜ prywatne lotnisko, z którego wkrótce wystartowaliśmy.

Nawet najlepsza klasa w samolocie rejsowym nie dorównywała wygodą odrzutowcowi Victorii, w którym kabinę pasażerską przeobraŜono w wygodny salon w tonacji kremowo-beŜowej.

Fotele z regulowanymi podnóŜkami skupiały się przy lawie z orzechowego drewna. Włączyliśmy CNN, Ŝeby obejrzeć najŝwieŜsze wiadomości ze ŝwiata, póŝniej z DVD został odtworzony amerykański film sensacyjny. Nie skupiałam się na przekazie, ale udawałam, Ŝe oglądam, Ŝeby uniknąć rozmowy.

O trzy kwadranse wyduł się lot do Wrocławia wskutek długiego oczekiwania na zgodę na lądowanie. Kiedy koła maszyny dotknęły płyty lotniska, byłam najszczęśliwszą osobą na świecie.

Radość szybko ulotniła się, kiedy w trakcie odprawy celnej, służby graniczne wykryły nieprawidłowości.

- Do kogo należy brązowa waliza? - zapytała drobna celniczka.

- Jest moja - powiedział Manuel.

- Zgłosił pan jakieś przedmioty do oclenia, przewozi pan artykuły szczególnie cenne?

- W śladnym wypadku.

- Weźmiemy pana bagaż do kontroli. Zapraszamy do biura.

- Ale panowie! - przejęzyczył się.

- Tędy, na prawo - powiedziała celniczka do Falco. Jej twarz nabrała groźnego wyrazu.

- Państwo mogą iść - celnik uczynił w naszym kierunku niecierpliwy gest.

- Pospieszmy się - naciskała Victoria.

- Chcesz go tak zostawić? - zdziwiłam się.

- Może potrzebować naszej pomocy - powiedział Jacek.

- Albo wrobić w to, w co właśnie się zamieszał - mruknęła Cassidy.

- Skąd wiesz, że to coś poważnego? - powątpiewałam.

- Nie każdego straż graniczna zatrzymuje do kontroli.

115

- Wybiórczo przeszukują przypadkowe bagaż. Tym razem trafiło na Manuela.

- Posłuchaj - odciągnęła mnie na bok. - Manuel nie jest jakimś tam przypadkowym turystą.

Nazywajmy rzeczy po imieniu. Jest bosem mafii i nie wiadomo, dlaczego go zatrzymali. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej.

- Znikniesz jak on w Machu Picchu?

- Poradzi sobie. Złapmy taksówkę, żeby dojechać do Krobielowic, zanim się ściemni.

Odwiozę was tam, gdzie jest Pan Samochodzik, a sama poszukam jakiegoś hotelu.

Chłopcy tkwili przy bagażach, niecierpliwiąc się i rozglądając za taksówką. Uznałam, że czas przestać silić się na uprzejmości.

- Po co tak naprawdę przyleciałaś do Polski? - zaatakowałam.

- Chcę porozmawiać poważnie z twoim stryjem.

- Na jaki temat? Stryj nie ma przede mną i przed Jackiem tajemnic.

- Nie bądź zbyt pewna siebie.

Oparłam ręce na biodrach.

- Bardziej od ciebie nie da się.

Tymczasem Maks z Jackiem wkładali już torby do bagażnika taksówki.

Na trawie rozsypały się owoce, które stryj Tomasz zebrał do zawiniętej koszuli.

- Zosieńka, Jacek! Cali i zdrowi!

Rzuciłam się stryjowi na szyję i uściskaliśmy się serdecznie. Wzruszył się, ale nie okazał tego.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wszystko dobrze się skończyło - wyszeptał mi do ucha. -

Tak bardzo bałam się o was.

- Stryju, nie mamy tych sztabek. Nie poleciliśmy do Meksyku, nie wiem, nawet, w jaki sposób mielibyśmy ich szukać - powiedziałam, wykorzystując okazję, że nikt prócz stryja mnie nie słyszał. - Manuela zatrzymali na lotnisku w trakcie odprawy celnej. Może właśnie przez te sztabki.

- Nie sądzę, żeby sztabki zwróciły uwagę celników. Nie wyglądają ani na dzieła sztuki, ani na zabytki, tym bardziej że przez lata pokryły się warstwą patyny.

Ostatnia z taksówki wysiadła Victoria. Stryj Tomasz uklonił jej się. W jego oczach dostrzegłam znajomy błysk. Zawsze pojawiał się, kiedy Pan Samochodzik spotykał piękną kobietę.

Sądzę, że mimo niemłodego już wieku, wciąż potrafił je oczarować. Przypominał mi trochę dżentelmenów ze starych filmów, w pozytywnym znaczeniu. Wiedzą mógł zaimponować każdej damie. Nie darowałabym sobie, gdybym nie wymieniła jeszcze jednego powodu, dla którego stryj wzbudzał zainteresowanie. Krył tajemnicę, a nawet wiele tajemnic. Nigdy nie można było być pewnym, jakiego asa trzyma w rękawie. A zazwyczaj w zanadrzu miał wiele kart.

- Witam panią.

- Cieszę się, że spotykamy się ponownie.

- Pierwszy raz zupełnie prywatnie.

Z domu wybiegły bliźniaczki, a zaraz za nimi Teresa. Maks podniósł obie dziewczynki i okręcił. Piszczwały z zachwytu.

- Hej, zdobywcy buszu! - z okna krzyknął Olaf. Zza jego pleców machała Dorka.

- śnimy się! - radowały się Tola z Olą.

- Wychodzimy za mąż - poprawiła je Teresa. - Najpierw jednak musicie wyszorować zęby i uszy. Za dziesięć minut chcę was widzieć w wannie.

- Stryj nie wrócił do Warszawy? - zapytał Jacek.

116

- Teresa nie miała nic przeciwko temu, żebym został. Nie byłem w stanie zajmować się sprawami służbowymi, więc wykorzystałem zaległy urlop.

- Przez cały czas ktoś czuwał przy telefonie - powiedziała Teresa. - Przygotujcie kolację -

zwróciła się do Dorki i Olafa, kiedy zeszli na dół. - Zajmę się dziewczynkami, położę je spać, a później pomogę wam.

Następnie powiedziała do Victorii po angielsku:

- Pani mogę zaproponować pokój na poddaszu. Nie jest jeszcze wykończony, ale można w nim spać. Znajdziemy dodatkowy materac i śpiwór.

- Dziękuję bardzo za propozycję. Chciałabym jednak zobaczyć pałac w Krobielowicach, podobno jest w nim hotel.

- Droższa - powiedziała Dorka, ale Victoria nie zrozumiała.

- Hrabianka - zakpił Olaf po cichu.

- Błąd, przyjacielu - poprawił go Maks. - Lady!

- Poproszę kierowcę, zaraz mnie tam zawiezie - powiedziała, wskazując na taksówkę.

- Zapraszamy wieczorem na kolację na świeżym powietrzu - zaproponowała Teresa. -

Przyjedziemy po panią o dwudziestej pierwszej. Czy ta odpowiada to pani?

- Będę zobowiązana.

- To my jesteśmy zobowiązani - zapewniłam.

Silnik diesla zaklekotał, jakby chciał wyrwać się spod maski i taksówka potoczyła się na główną drogę.

Zrobiłam sobie najmocniejszą kawę, jaką kiedykolwiek piłam. Po perypetiach w Peru i długiej podróży czułam się jak po dwóch dobach bez snu.

- Ciekawe, co z Manuelem? - zastanawiałam się na głos, siorbiąc gorący napar.

- Przesłuchają go i wypuszczą - stwierdził Maks.

- Chyba Œe przewoził jakieś narkotyki. Ameryka Południowa jest największym na świecie wytwórcą kokainy - powątpiewał Jacek.

- Falco nie jest głupi. Nawet jeśli jest zamieszany w handel białą śmiercią ma ludzi od brudnej roboty - powiedziałam.

- Bronisz bandyty? - Maks spojrzał mi prosto w oczy.

Odwróciłam się na pięcie i poszłam do salonu. Na krześle leżał stos notatek i książek. Kubek z kawą postawiłam na stole. Przeniosłam książki i rozłożyłam się wygodnie na sofie. Z kuchni dobiegały odgłosy przygotowywania kolacji. Brzęczały sztućce i talerze. Podniosłam się, zamknęłam drzwi do pokoju i wzięłam pierwszy z brzegu tom. Książka „Konkwistadorzy”

Michaela Wooda zachwyciła mnie pięknymi ilustracjami i fotografiami, odłożyłam ją jednak na stół. Przewodnikami o Meksyku i Peru postanowiłam zająć się nieco później. Następna książka, autorstwa Jacka Pałkiewicza i Andrzeja Kapłanka, miała wyjątkowo zajmujący tytuł: „El Dorado.

Polowanie na legendę”. Zainteresowała mnie i postanowiłam przejrzeć ją ale pomiędzy kartkami piątej pozycji zauważyłam jaskrawe zakładki, które ostatecznie przyciągnęły moją uwagę.

Nazwisko autora - Inca Garcilaso de la Vega - brzmiało obco. Czcionka, którą napisano „O Inkach uwagi prawdziwe” nie zachęcała do lektury, ponieważ była bardzo mała. Mimo to otworzyłam tekst w zaznaczonym miejscu. Przetarłam zmęczone oczy, bo litery zlewały mi się w czarną plamę.

Złotymi blachami objęli się wiały tynie Słońca i pomieszczenia królewskie gdziekolwiek się

znajdowały, ustawiali wiele posągów mężczyzn i kobiet, ptaków latających i wodnych, dzikich zwierząt, to jest tygrysów, niedźwiedzi, lwów, lisów, psów i świątynników, jeleni, Huanaców, Vicuń i
117

tudzie owiec domowych, wszystkie postaci wielkości naturalnej odlewane w złocie i srebrze; umieszczali je na ścianach, w miejscach pustych i niszach, które podczas budowy w tym celu pozostawili. Pedro de Cieca w rozdziale XLIV mówi o tym obszernie.

Podrabiali ziola i rośliny, które przy murach się rodzą, i rozmieszczali je przy ścianach tak, Œe

zdawały się rosnać . Obsiewali ś ciany jaszczurkami, motylami, myszami, wielkimi i małymi ś mijami, które zdawały się po nich chodzić wspinając się i złaśając.

We wszystkich pałacach królewskich pourzą dzali ogrody i sady, w których Inka odpoczywał.

Sadzili w nich wszelkie pię kne i dorodne drzewa, sadzonki kwiatów i roś lin pię knych i wonnych, jakie w królestwie istniały. Na ich wzór podrabiali w złocie i srebrze wiele drzew i mniejszych krzewów jak prawdziwe, z liś mi, kwiatami i owocami; jedne puszczają ce pę dy, drugie wpółdojrzałe, nastę pne rozmiarów juś dojrzałych. Wś ród takich i innych wspaniałoś ci urzą dzali pola kukurydzy naś ladują ce prawdziwe, z liś mi, kaczanami, łodygami, korzeniami i kwiatami; włosy wypuszczane przez kaczan były złote, a cała reszta srebrna, jedno z drugim polutowane.

Przez kolejne fragmenty przedzierałam się z trudem, ale i z rosnącą fascynacją.

Nastę puje to, co Pedro de Cieęa pisze o wielkim bogactwie Peru i ś e jego wię kszą część

Indianie ukryli, wyję te z rozdziału XXI z pominię ciem tego, co w innych przytoczonych rozdziałach opowiada:

„Gdyby wydobyć to, co się w Peru i tych krajach znajduje w ukryciu, to nie moś na by było obliczyć wartoś ci, bo jest taka ogromna; ja natomiast szacuję ją tak wysoko, ś e w porównaniu z tym, to niewiele dotąd d posiadli Hiszpanie. Gdym była tam w Cozcu, zbierając od tamtejszych naczelników relacje o Ingach, słyszałem jak mówiono, ś e Paulo Inga i inni naczelnicy twierdzą , ś e gdyby zebrać wszystkie skarby znajdując się w prowincjach w guacach, to jest w ś wią tyniach i w grobach, to część zabrana przez Hiszpanów sprawiłaby tak mały ubytek, jak maleń ki by sprawiło zabranie jednej kropli z wielkiej beczki wody. A czynią c to porównanie jaś niejszym i bardziej oczywistym brali miarę kukurydzy, z której ują wszy garśc , powiadali:

»Tyle wię li chrześ cijanie, reszta w takich jest stronach, ś e nawet my sami o tym nie wiemy«.

Tak wię c wielkie są skarby, które w tych stronach zostały utracone. To zaś , co zdołali osiąść , gdyby tego nie wię li Hiszpanie, niewą tpliwie wszystko lub wię kszośc złoś yliby diabłu w ofierze i w ś wią tyniach, i grobach, gdzie chowali zmarłych; nie pragną go bowiem Indianie i nie poszukują dla ś adnych innych rzeczy, nie płacą nim przeciwś ś ołdu wojownikom, nie kupują nim miast ani królestw, jedyne, czego sobie ś yczą , to opleśc się nim jak upręścą , póki ś ywi, a zabrać ze sobą , gdy martwi. Chociaś ja sam uwaś am, ś e wszystkie te rzeczy powinniś my im byli wypominać , aś eby osią gnę li poznanie naszej ś wię tej wiary katolickiej, a nie usiłowali wyła cznie napchać sobie kabzę .”

Francisco López de Gómara napisał w swoich Dziejach o bogactwach królów to, co nastę puje, dosłownie przytoczone z rozdziału CXXI:

„Cała zastawa jego domu, stołu i kuchni była złota i srebrna, a przynajmniej miedziana, bo mocniejsza. Miał w swoim skarbcu posąg i ze złotej blachy, które wydawały się olbrzymami, i naturalnych rozmiarów wyobraś enia wszelakich zwierząt, ptaków, drzew i ziół, które ziemia wydaje, i wszelakich ryb rodząc ych się w wodach mórz i rzek jego królestw. Posiadał równieś

powrozy, worki, kosze, są sieki ze złota i srebra, sągi złotych polan, które wyglą dały jak drewno porą bane na opał. W koń cu nie było w jego kraju takiej rzeczy, której by nie miał w złocie 118

podrobionej, a powiadają nawet, że mieli Ingowie ogród na wyspie koło Puny, gdzie się udawali, kiedy mieli ochotę na wypoczynek nad morzem; warzywa, drzewa i kwiaty były tam ze złota i srebra, pomysł to i wspaniałość nigdy dotąd nie widziane. Prócz tego wszystkiego miał

nieskoń czoną ilość złota i srebra, które miało zostać przetworzone w Cuzcu, a z powodu śmierci Guascara przepadło, bo Indianie je ukryli, ujrawszy, że Hiszpanie je sobie zabierają i wysyłają do Hiszpanii. Wielu go póź niej szukało tam i sam, ale nie znajdują .”

Odkładając książkę, miałam łzy w oczach. Rozboliło mnie pokąsane przedramię, bo oparłam się na nim bezwiednie, zamyślona nad treścią tekstu.

- Kolację podano - Maks władował się do salonu bez pukania.

- Idę. Co z Victorią?

- Siedzi już w ogrodzie.

- Nie słyszałam, kiedy przyjechała.

- Dobrze się czujesz? Mogę zawieźć cię do lekarza. Myślę, że powinien obejrzeć cię specjalista...

- Nic mi nie dolega - ucięłam. - Oprócz tego, że jestem przemęczona. Wezmę szybki prysznic i za dziesięć minut do was dołączę.

- Pospiesz się, bo Olaf położył już mięso na ruszcie.

Upiłam parę łyków zimnej już kawy i poczłapałam na górę. Chłodna woda sprawiła, że zamiast odzyskać energię, poczułam się, jakby atakowało mnie przeziębienie. Nie miałam czasu, żeby wysuszyć włosy, więc rozczesałam je i zostawiłam rozpuszczone do wyschnięcia. Przebrałam się w ulubione dżinsy i top. Był przyciasny, prawdopodobnie skurczył się w praniu, ale nie miałam czasu na wybieranie innej garderoby. Nie spóźniwszy się ani minuty, pojawiłam się wśród przyjaciół, kiedy steki były prawie gotowe.

Victoria pomagała Olafowi przy grillu, na co z nieukrywaną zazdrością patrzyła Dorka.

Angielka jak zwykle skupiała na sobie uwagę męskiego grona, chociaż eleganckie i wyzywające ubrania zamieniła tamtego wieczora na infantylną sukienkę. Materiał z drukowanymi niezapominajkami i włosy czesane wiatrem nadawały jej niedojrzały wygląd. Gdzie podziała się silna kobieta z Peru?

- Masz jakieś informacje o Manuelu? - zwróciłam się do Victorii.

- Jesteś monotematyczna - rzucił oschle Maks.

- O incydencie na lotnisku zawiadomiłam jego prawnika.

- Nakładaj, przyjacielu! - Maks podsunął Olafowi talerz. Jacek obok podstawił swój.

Olaf zdjął mięso z ognia, układając je w misce, Œeby kaŜdy wybrał sobie odpowiedni kawałek.

- Przepraszam, najpierw panie - stwierdził szarmancko

- Panie Tomaszu, Jacek, jedzcie, bo wystygnie! - Teresa krzątała się przy gościach.

- Co was tak zajęło? - Victoria wcisnęła się na ławkę pomiędzy stryja i Jacka.

Mój brat zacisnął pięść. Cassidy zauwaŜyła to, przesiadła się jeszcze bliŜej niego. Przewrócił oczami, oszołomiony zapachem jej perfum, wyjątkowo słodkich i intensywnych. Jak zaklęty, nie odrywając wzroku od jej twarzy, otworzył pięść.

Zamarliśmy.

- Co to jest? - zaszczebiotała.

- Coś, na czym bardzo zaleŜało Manuelowi - rozwaŜnie odparł stryj.

- Jak bardzo? - złapała sztabkę.

119

- Posunął się do włamań i niewiele brakowało, by skrzywdził Zoşkę.

- NiemoŜliwe! To jakaś kompletna bzdura! - wybuchła. - Jest wpatrzony w nią jak w obraz.

Poza tym wiele moŜna mu zarzucić, ale nie to, Œe jest pospolitym przestępcą.

- Pospolitym, to moŜe i nie... - wtrąciła Teresa.

- Dajcie spokój - powiedział stryj. - Nie oskarŜajmy go tak radykalnie, bo nie moŜemy mu niczego udowodnić.

- A roztrzaskane lampy? - zapytała Dorka.

- Nie bądź naiwna. Policja nie zainteresuje się nim tylko dlatego, Œe potłukł lampy -

powiedział Jacek i wgrzył się w soczyste mięso. Œuł je przez chwilę, po czym dodał: - W przeciwnym wypadku równieŜ stryj miałby kłopoty.

- Przyznam, Œe nie nadaŒam za waszym tokiem myŒlenia - koleŜanka przygarbiła się.

- Ludzie Manuela okradli okoliczne domy. Mieszkańcy zawiadomili policję o włamaniach, aczkolwiek nie zauważyli, żeby znikło coś cennego. Okazało się jednak, że skradziono stare lampki oliwne. Te lampki były bardzo dziwne, bo za pojemniki na oliwę służyły karafinki, którym skrócono szyjki, dodano mosiężne zatyczki podtrzymujące knot i całość pomalowano, przykrywając oryginalny wzór na karafinkach. Ale to jeszcze nie koniec. Jedna karafinka ocalała, należała do pani Adeli, ciotki Teresy i Maksa. Przez nieuwagę stryj ją rozbił i wtedy okazało się, że w środku jest sztabka z wygrawerowaną literą „K”. Sądzymy, że w pozostałych lampach ukryto podobne sztabki i to właśnie na nich zależało Manuelowi. Nie znamy, niestety, przeznaczenia tych sztabek.

Victoria dłuższą chwilę dotykała kawałka srebra.

- Sztabka mogła pełnić funkcję obciążnika podstawki lampki.

Stryj pokręcił głową.

- Sztabkę zdobi staranny grawerunek. Musiała mieć zupełnie inne przeznaczenie.

- Jakże? - zapytała Angielka.

- Gdybyśmy mieli szansę obejrzeć resztę sztabek lub to, co było ukryte w lampach...

- O ile coś było ukryte... - przerwał Olaf.

- ...mogliśmy snuć domysły. Zależało mi na tym, by dzieciaki...

Jacek chrząknął, lecz stryj zupełnie się tym nie przejął. Mówił dalej:

- ...odnalazły te przedmioty u Manuela...

- Nielegalnie? - Victoria zapytała z niedowierzaniem.

- Chodziło raczej o to, żebyśmy ukradkiem rzucili na nie okiem - sprostowałam.

- Przykro mi. Obawiam się, że nie potrafię pomóc.

- Jeśli Falco wróci do Krobielowic, zagramy w otwarte karty - postanowił stryj.

- A jeśli niczego nie wskóramy? - zapytała Dorka, drapiąc się po szyi.

- Przynajmniej spróbujemy - stwierdził Jacek.

- Zasypiam na stojąco - powiedziałam, runąwszy na materac w pokoju na poddaszu.

Zobojętniało mi to, czy mam na sobie dżinsy czy piśmę, czy wyszczotkowałam włosy i umyłam zęby. Pragnęłam snu. Niewzruszonego i spokojnego, głębokiego snu.

Maks usiadł na śpiworze, co zobaczyłam kątem przymrużonego oka.

- Mam propozycję.

Ziewnęłam i przeciągnęłam się.

- Słucham.

- Chodźmy na spacer.

120

- Jest prawie północ! Powiedz, Œe Œartujesz.

- Mówię serio. Chciałbym powaŒnie z tobą porozmawiać.

- Nie wygłupiaj się. Jutro będzie duŒo czasu - wtuliłam głowę w poduszkę, cudownie miękką.

Rozległo się ciche pukanie. Ktoś jednym palcem kilka razy uderzył w drzwi.

- Proszę - powiedziałam.

Stryj wsadził głowę do pokoju. W półcieniu jego twarz zdradzała oznaki przemęczenia.

- MoŒecie oddać mi sztabkę? Jacek powiedział, Œe wy ją macie.

- Oglądaliśmy ją na dworze, a później odłoŒyliŒmy na stolik, obok musztardy -
przypomniałam sobie.

- Sprawdzę jeszcze w kuchni. Chciałbym zrobić zdjęcia i przesłać je do biura. Olaf zaoferował mi pomoc.

- Niech stryj zaczeka tutaj. Ja zejdzę na parter - odgarnęłam włosy z czoła.

- Nie - podskoczył Maks i zbiegł na dół.

Wypieki, które rozpały mu policzki, kiedy z powrotem pojawił się na poddaszu, nie wróŒyły niczego dobrego.

- Sztabka znikła!

- Poszukajmy w trawie tam, gdzie stał stół - zaproponowałam, sięgając po sandałki.

- Sprawdziliśmy juŒ z Teresą. W trawie nie ma sztabki.

Do pokoju wpadła zdyszana Teresa. Jej spodnie były zazielenione na kolanach od trawy.

Paznokcie nosiły ślady ziemi.

- Ani w kuchni, ani w holu, ani nigdzie indziej. Dorca ani Olaf jej nie widzieli, Jacek też, a bliźniaczki cały czas spały.

Nagle przecięły się przerażone spojrzenia.

- Victoria! - wrzasnęliśmy na cały głos.

Przeraziliśmy bliźniaczki, które natychmiast wyskoczyły z łóżka. Zrobił się harmider, każdy coś mówił i nikt nikogo nie słuchał. W małym holu zawrzało.

- Stop! - huknęłam najgłośniejszym głosem jak potrafiłam.

Przyjaciele zamilkli, dało się słyszeć psa sąsiadów skamłającego za oknem.

- Zaopiekujecie się maluchami? - stryj zapytał Dorcę i Olafa.

- Oczywiście - powiedział chłopak.

Pan Samochodzik rzucił na nas okiem. Wszyscy byli ubrani. I półprzytomni, ale akurat ten fakt nie mógł stanowić przeszkody.

- Jedziemy! - rozkazał.

Zmobilizował nas. Jak na komendę dopadliśmy ferrari. Stryj rzucił kluczyki Jackowi.

Musiałam się na to zgodzić, bo w tamtej chwili byłam najmniej kompetentną osobą do prowadzenia samochodu.

- Chciałeś spacer? - fuknęłam do Maksa. - W promocji masz przejażdżkę.

121

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WEJŚĆ CZY NIE WEJŚĆ? • DOWÓD RZECZOWY PROSTO Z RĄK MANUELA • DO CZEGO WYKORZYSTANO SZTABKI? • FALCO RUSZA DO AKCJI • W CZYM RZECZ Z BŁĘDNĄ ILOŚCIĄ OTWORÓW? • PRYZNAJĘ SIĘ DO WINY • ZWIERCIADŁO • HOTEL CZY PLAC BUDOWY? • ZOSTAJĘ ODDELEGOWANA JAKO PIERWSZA • JAK VICTORIA WYKORZYSTAŁA ZAMIESZANIE W SCHOWKU? • MANUEL ZA KIEROWNICĄ FERRARI • KŁÓTNIA Z HISZPAŃSKIM TEMPERAMENTEM • SKARB CENNIJSZY OD ZŁOTA

Auto gnało jak oszalałe. Ostry zakręt, przy którym stoi mauzoleum feldmarszałka, przypomniał o niebezpieczeństwie. Jacek przyhamował. Pod kołami zachrzęścił piach i ferrari wykonało niekontrolowany zwrot. Mój brat skontrolował po mistrzowsku. Przywrócił samochód na prawidłowy tor. Wcisnął gaz. Jeszcze minuta i zajechaliśmy pod pałac. Auto wtoczyło się na trawnik, daleko od zasięgu wzroku mieszkańców hotelu, tuŜ na początku parku.

- Co teraz? - zapytałam, nie mogąc złapać oddechu, kiedy stanęliśmy pod ścianą pałacu.

- Wchodzimy tylnym wejściem, od kruŜganków - zdecydował stryj.

- Nie moŜemy! - zaprotestowałam.

- Idziemy! - rzucił znajomy głos.

Odwróciłam się i zamarłam. Pomiędzy stryjem a Maksem stał Falco. Pachniał korzennymi perfumami i uśmiechał się do mnie. Nie wierzyłam własnym oczom.

- Wypuścili cię? - wypaliłam.

- Idziemy! - naciskał.

Zablokowałam drogę.

- Nie mamy prawa.

Sięgnął do kieszeni. Złapał moją rękę i położył na niej zimny przedmiot. Odeszłam dwa kroki, Ŝeby znaleźć się w świetle latarni. Trzymałam złotą broszę zdobioną turkusami. Miała formę tarczy przebitej czterema strzałami, pod którą luźno wisiały złote paciorki.

- Emblemata boga wojny - powiedział Falco.

- Victoria miała go na sobie, kiedy poznałyśmy się - przypomniałam sobie. - Zainteresowała mnie ta brosza.

- Jej kierowca podrzucił to do mojego bagaŜu, kiedy byliśmy w Londynie na obiedzie. Cacko pochodzi z czasów prekolumbijskich, jest bezcenne i nie moŜna go po prostu włożyć do walizki jak pierwsze lepsze koraliki i wywieźć na drugi koniec świata.

- Jak wytłumaczyłeś się celnikom? - zapytałam.

- Prędzej - Teresa popchnęła mnie w stronę wejścia.

W pałacu było cicho, ciemno i chłodno. Nie opuszczało mnie wrażenie, Ŝe pilnują nas duchy przeszłości tego miejsca.

Maks uchylił drzwi ostatniego pomieszczenia przed schodami w skrzydle ksiąŜęcym, po czym gwałtownie je otworzył. Nie wiem, dlaczego zwróciły jego uwagę, bo człapałam na końcu pochodu.

Manuel przekreślił włącznik.

- Ja nie... To nie moje! - krzyknęła Victoria.

Kłęcząca na podłodze i przy pomocy kombinerek przecinała druciki mocujące ogniwa bransolety. Wykonanej ze srebra, bardzo masywnej i niepraktycznej, ale charakterystycznej.

122

Przypomniałam sobie i ten element biŜuterii Angielki. Któregoś razu, w Ameryce, miała bransoletę na sobie. Jak mogłam tego nie pamiętać! Obok, na posadzce, leŜała sztabka z lampy ciotki Adeli.

Manuel schylił się po ogniwa bransolety.

- Nie wywozłem za granicę sztabek. Dałem je do przerobienia jubilerowi, który w kaŜdej sztabce zrobił otwory i połączył ze sobą jak ogniwa bransolety - przyznał. - Wywozłem gotową bransoletę. Nie było z tym kłopotu.

- Potrzebowałeś sztabek tylko po to, Ŝeby zrobić z nich bransoletę nie pierwszej urody? -

zakpiłam.

Jacek pociągnął mnie za szlufkę dŜinsów:

- Zaczynasz kąsać jak Ŝmija - powiedział mi do ucha.

Zanim zdąŜyłam odegrać się na bracie, Falco ruszył do akcji. Przypodłogowa listwa, za którą szarpnął Manuel, zatrzeszczała. Poleciały drzazgi, złamała się. PodwaŜył palcami drugą część i wyrwał ją ze wściekłością w oczach.

Za moimi plecami jęknęła recepcjonistka. Odepchnęła mnie, bo chciała zobaczyć, co obcy ludzie wyrabiają w nocy w pałacu, którym miała się opiekować.

- Proszę uwaŜać na lustro! - wrzasnęła na Manuela i wtedy zorientowała się, z kim ma do czynienia.

- Przepraszam, szefie. Nie chciałam, nie wiedziałam..

- Nie wyrzucaj sobie tego. Zareagowałaś, bo to twoja praca. Nie mogłaś wiedzieć, Ŝe mnie tu zastaniesz.

Zamachnął się, a listwy poleciały na drugi koniec sali. Uderzyły o ścianę, zostawiając rysy na tynku.

- Przypatrzcie się granicy, w której podłoga łączy się ze ścianą.

Maks zdjął sweter. Przetarł nim z kurzu podłogę przy ścianie. Podekscytowany przyjrzał się kilkucentymetrowym otworom. Falco oddał mu sztabki i pospołu z Makssem umieścili je w otworach.

Napięcie rosło.

- I co? - zapytała Teresa, ponieważ zupełnie nic się nie wydarzyło. Ani sufit nie spadł nam na głowy, ani podłoga się nie rozstała. Byliśmy zawiedzeni i zbici z tropu.

- Jubiler w każdej sztabce wywiercił dwa otwory, żeby połączyć je w bransoletę - powiedział Falco.

- Są niedowosone - stwierdził stryj.

Wtem przypomniałam sobie o czymś.

- To nie to - zaczęłam dokładnie rozglądać się po sali.

Jacek szybko to podchwycił, bo zapytał:

- Czego dokładnie szukasz?

- Gdzieś musi być jeszcze jeden otwór.

- Jesteś pewny, że mamy wszystkie sztabki? - zwrócił się do Manuela.

- Jest ich dokładnie tyle, ile otworów przy ścianie - odpowiedział Falco.

- Błąd! - powiedziałam pewna siebie. Doskoczyłam do następnej listwy. Pociągnęłam za nią ale ani drgnęła. Byłam za słaba.

Manuel delikatnie złapał mnie za ramię.

- Zostaw, moi ludzie sprawdzili pod każdą listwą na parterze. Otwory są wyłącznie tutaj.

- Czy robotnicy mogli zamurować je w trakcie wcześniejszych remontów? - Teresa zaczęła lustrować posadzkę.

- Istotnie, to prawdopodobne - mruknęłam, gładząc czubek nosa.

123

- Chwileczkę! - stryj stanął na środku. - Zosiu, byłibyśmy ci wdzięczni, gdybyś naświetliła nieco swój tok myślenia. Dlaczego twierdzisz, że gdzieś jeszcze powinny być otwory?

- Nie wiem, czy otwory, ale jeden otwór to z całą pewnością.

- Zośka, nie motaj! - stęknął Jacek.

- No już dobrze. Mam nadzieję, Tereso, że nie będziesz na nas zła...

- Nie będę zła, jeśli wreszcie wycedzisz, w czym rzecz!

- Była jeszcze jedna lampa - wyrzuciłam z siebie.

- Była? - Maks zmarszczył brwi.

- OtóŜ to. Zbiła się w szopie.

- Jak to? - zapytała Teresa z niedowierzaniem w głosie.

- To był przypadek. Naprawdę nie chcieliśmy...

- My? - naciskała.

- Dorka i ja.

Jacek spurpurowiał.

- I dopiero teraz sobie o tym przypomniałaś?

- Jacek! - zdenerwował się stryj.

Łzy zaczęły napływać mi do oczu. Nie ze smutku, a ze złości na siebie. Wtem dostrzegłam Victorię zmierzająca ku komodzie. Niespodziewanie złapała stojący na niej wazon. Manuel momentalnie zrobił zwrot i całym ciężarem runął na nią ale było za późno. Trwało to ułamek sekundy, a zdawało się że całą wieczność, kiedy flakon szybował w powietrzu przez salę.

Metaliczny dźwięk rozległ się po całym pałacu. Tafla szkła spadła z hukiem na podłogę, rozsypując się na proch. Tysiące miniaturowych lusterek ozdobiło szare płyty posadzki.

- Zwierciadło! - zapiszczała recepcjonistka.

Ze złoconej ramy zwisały szklane sopele, ostre jak sztylety. Jako że Falco był najwyższym mężczyzną w naszym gronie, sięgnął po sweter Maks'a i uderzył w pozostałości lustera, które natychmiast wypadły z ramy i rozbiły się. Później ściągnął ramę ze ściany i oparł ją o parapet.

- Po co to zrobiłaś? - fuknął na Victorię.

- Popukaj w ścianę.

Manuel wyraźnie zastanawiał się nad tym, czy aby Cassidy nie szturuje sobie z niego. Zanim zdecydował się zrobić to, o czym mówiła, zastukałam w tynk.

- Dudni głucho - poinformowałam. Opukaliśmy resztę ściany.

- Jedynie w miejscu za lustrem dudni - stwierdził stryj.

- Mamy jakiś kilof? - zapytał Manuel.

- W piwnicy jest składzik na narzędzia, szefie - odpowiedziała recepcjonistka

- Prowadź - nakazał.

Kwadrans później rozbijał tynk, pod którym ujawniły się słoma i deski. Ostrze dłuta wbijało się w drewno, na podłogę spadały drzazgi.

- Co tu się dzieje! To jest hotel czy plac budowy? - do sali wpadł mężczyzna w szlafroku.

- O co mu chodzi? - zapytał Manuel, przerywając pracę. Przetłumaczyłam mu wszystko.

- Zajmij się gośćmi - zwrócił się do recepcjonistki. - Przepróś ich i powiedz, że za ten nocleg nie zapłacą. Kucie już długo nie potrwa - otarł pot z czoła. Pod wpływem wilgoci jego włosy skręciły się bardziej niż zwykle.

Dziewczyna pobiegła do gości, którzy licznie zebrali się na korytarzu. Robili duże rwy, a recepcjonistka była tak oszołomiona toczącymi się wypadkami, w tym niespodziewaną wizytą szefa i jego dziwnym zachowaniem, że sama potrzebowała wyjaśnień. Obietnica darmowego noclegu co 124

prawda uciszyła towarzystwo, ale nikt nie miał ochoty iść spać. Woleli poczekać na rozwój wypadków.

- Dziurę w ścianie zrobił? - piekliła się kobieta z głową owiniętą w staroświecką chustkę.

- Nie godzi się robić dziur w takich starych ścianach! - zirytował się przysadzisty pan w atłasowym szlafroku.

- Szef wie, co robi - uspokajała recepcjonistka.

Z powrotem weszła do sali, zamykając za sobą drzwi.

Młotek niecierpliwie uderzał w rączkę dłuta. Jacek z Maksymem odgarniali spadające resztki na bok, żeby nie przeszkadzały. Kiedy otwór miał średnicę kilkudziesięciu centymetrów, Manuel wziął

się na sposób i najpierw odkuwał cienką warstwę tynku, potem zrywał słomę zespoloną z wierzchu szarą zaprawą na końcu wyłamywał deski. Pracowali niespełną godzinę, a dziura została powiększona do rozmiarów pozwalających przecisnąć się człowiekowi.

Victoria ośmieliła się i przelożyła nogę przez otwór.

- Rozkujcie więcej, bo nie dam rady wejść!

- Ty czekasz tutaj! - wściekł się Jacek.

- Na policję! - wtórował mu Maks.

- Zośka, włącz - brat pociągnął mnie za rękę.

Bez najmniejszego problemu przedostałam się za ścianę. Po raz pierwszy nie zazdrościłam Victorii jej posągowego ciała. Cóż z tego, że była przystojna i wysportowana? Ja byłam niższa i zwinniejsza!

Niechcący otarłam rękę o deski. Były szorstkie, zarysowałam skórę.

Wychyliłam głowę do sali.

- Potrzebuję światła.

- W aucie jest latarka - stwierdził Jacek. - Pobiegnę.

- Nie trzeba. Przyniosłem razem z narzędziami - powiedział Falco i podał mi już włączoną.

- I co? - dopytywał Jacek.

- Jeszcze niczego nie zobaczyłam. Odsłoń światło!

- Bądź ostrożna - poprosił stryj.

- Pomogę jej - Teresa sprawnie przelazła na moją stronę. - Idziemy!

- Stój! - zatrzymałam ją, chwytając za koszulkę. - Najpierw powinniśmy rozejrzeć się.

- Szkoda czasu! - machnęła ręką.

- Stój, bo wpakujesz nas w kłopoty - postanowiłam być przezorna. Mogłyśmy trafić na schody lub uskok i upaść albo zawadzić o coś głową.

Teresa ustąpiła. Omiotłam światłem sufit. Obniżał się po skosie ku prawej stronie.

- Jest wentylacja - powiedziałam, bo nie wyczułam odoru stęchlizny.

- ...skarbu Napoleona? - dotarł do mnie głos stryja.

Wytężyłam słuch.

- Zaraz przekonamy się - odparł Manuel. - Hej, tam za ścianą! Odsuńcie się - krzyknął i zaczął kuć.

- Patrz! - Teresa zauważyła coś w rogu pomieszczenia. Poświeciłam tam latarką.

- Szyjki karafinek - powiedziałam, wycierając kurz na jednej z nich.

- Właściwie to, co z nich pozostało.

- Ktoś obrysował szkło diamentem i obtłukł szyjki. No tak, ale to wywnioskowaliśmy wcześniej.

Dłuto rozłupywało ścianę, Falco walił młotem jak opętany. Donośne dźwięki utrudniały

rozmowę.

Raptem gruchnęło i fragmenty desek z impetem poleciały na środek pomieszczenia. Kurz wzbił się w powietrze, a gdy opadł, w kanciapie zrobiło się tłoczno. KaŜdy chciał coś znaleźć, Őeby sobie przypisać miano odkrywcy.

Kurz wpadł mi do gardła, wciągnęłam go do płuc i zakaszlałam. Miałam wraŜenie, jakbym połknęła łyŜkę piasku. Pył podraŜnił oskrzela, nie mogłam powstrzymać kasłania. ZauwaŜył to Manuel, poderwał mnie na ręce i wyniósł do duŜej sali.

- Gdzie jest Victoria? - wychrypiałam, łapiąc powietrze w płuca.

Prędko zajrzał do kanciapy.

- Uciekła!

Spojrzeliśmy na siebie i to wystarczyło, by ruszyć do działania. Oszkloną galerią przebiegliśmy do sieni z kominkiem.

- Przepraszam! - rzuciłam po drodze, poniewaŜ niechcący uderzyłam łokciem jakąś kobietę.

Hotelowi goście coraz liczniej schodzili się do galerii, tarasując przejście. Przezornie sprawdziłam, czy Cassidy nie ukryła się między nimi. Nie zauwaŜyłam jej.

Poślizgnęłam się na posadzce i wpadłam na ścianę. Obiłam kolano, ale adrenalina robiła swoje i nie czułam bólu. Manuel zawrócił.

- W porządku?

- Chyba tak.

Chwycił mnie pod ramiona i pomógł wstać. Poruszyłam nogą była sprawna.

- Nie traćmy czasu! - ponaglał.

Skręciliśmy w lewo. W holu panowały kompletne ciemności, nie było tu okien. Teoretycznie Victoria mogła ukryć się gdzieś. Nie myśląc o tym, po omacku poszłam przed siebie, zadzierając wysoko nogi, Őeby nie przewrócić się o jakiś mebel. Dopadłam drzwi i uchyliłam je. Pomieszczenie oświetliła niska łuna księŜycowego światła. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie szukać kontaktu.

Coś pstryknęło i znad kominka rozproszyło się blade światło kinkietu.

- Mogła pobiec na górę! Dlaczego z góry załoŜyliśmy, Őe uciekła tędy? - zaczęłam gorączkować się na głos. - A tylne wyjście? Jest jeszcze jedno wyjście!

Manuel zajrzał za ladę.

- Nie ma kluczyków. Zabrała słuŝbowy samochód.

- Skąd wiedziała... Niewaŝne!

Wyciągnęłam z kieszeni kluczyki ferrari, na szczęście Jacek oddał mi je, kiedy wysiedliśmy z auta.

- Masz! - rzuciłam Manuelowi. - Poprowadzisz.

Pobiegliśmy do samochodu. Mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa, zwalniałam z każdym krokiem. Z ulgą wskoczyłam na siedzenie pasażera. Nie nadawałam się do prowadzenia samochodu. Skrajne zmęczenie mogłoby spowodować, ŝe przy najmniejszym przeładowaniu mózgu informacjami, a dzieje się to na przykład wtedy, kiedy trzeba równocześnie zapanować nad hamowaniem, czytaniem znaków drogowych i prowadzeniem rozmowy, mogłabym spowodować wypadek.

- Przecież nie wiemy, dokąd pojechała! - uderzyłam ręką w kokpit.

- Na lotnisko.

Samochód wycofał. Opony zagarnęły piasek i zarzuciły nim na trawnik. Na ułamek sekundy znaleźliśmy w tumanie kurzu. Nim spostrzegłam, samochód mknął w stronę drewnianej kładki, nad którą rozpościerała się drewniana konstrukcja brama.

126

- Nie tędy! - wrzasnęłam przeraŝona. Jeden niepewny ruch i mogliśmy wylądować w kanale z rwącą wodą. Kładka była wąska i stara. Nawet zmęczenie nie osłabiło mojej czujności na tyle, ŝeby nie zwątpiła, czy pomost wytrzyma napór rozpędzonego auta.

- Nie ma czasu na objazdy!

Kiedy koła natarły na drewno, rozległ się głuchy odgłos. Przeprawiliśmy się na drugi brzeg, ale nie wiedziałam, czy kładka to przetrwała. W tamtym momencie w ogóle mnie to nie interesowało.

- Skąd ta pewność? - wyskoczyłam z pytaniem wyrwanym z kontekstu.

- Jaka pewność?

- Skąd wiesz, ŝe Victoria jedzie na lotnisko?

- Jeśli ucieknie do Ameryki Południowej, nikt jej nie znajdzie i ŝadne prawo nie obejmie.

Będzie bezkarna.

Z zakrętem przed sklepem, w którym pierwszego dnia pobytu w Krobielowicach robiliśmy z Maksymem zakupy, Manuel zmierzył się pierwszorędnie. Zdecydowanie mniej podobało się to hamulcowi ręcznemu ferrari i oponom, bo zawyły przeraŝliwie. Zapach palonej gumy świadczył o rajdowych zdolnościach Falco. Trudno się dziwić. W Polsce ferrari wciąż jest atrakcją tymczasem Manuel

zapewne na co dzień jeździł czy to tą marką czy innymi samochodami równej klasy.

- Dodaj gazu! - krzyknęłam, poczuwszy się pewniej.

Zrobił to po męsku - mocno i pewnie, ale nie gwałtownie. Pasował do tego samochodu jak nikt do tej pory. Jechaliśmy szybciej i szybciej. Auto precyzyjnie wchodziło w zakręty. Na prostych zbliżało się do środkowej osi jezdni.

Duże emocje i adrenalina nie przeważały zmęczenia. Biłam się ze snem, walczyłam o pozostanie przy świadomości. Przypomniałam sobie, że obok siedzenia mam napój energetyczny.

Otworzyłam puszkę. Wypiłam go duszkiem.

Przed nami pojawiły się światła innego samochodu. Za moment znikły. Droga prowadziła przez wieś, była kręta i niebezpieczna. Szybka jazda mogła skończyć się fatalnie, gdyby ktoś szedł

ciemnym poboczem i w porę nie zauważył pędzącego auta. Jakby mało było nieprzychylności terenu, asfalt wił się po pagórkach, co jeszcze bardziej ograniczało widoczność. Mimo to Manuel mocniej wcisnął pedał gazu. Ze strachu zmrużyłam oczy. Uliczne latarnie migały w bocznych szybach jak światła stroboskopu w dyskotecce.

Samochód wjechał na szczyt pagórka i na mgnienie chwili wzniósł się w powietrze.

Opadając, dobił zderzakiem do podłoża. We wstecznym lusterku dostrzegłam fontannę iskier, ale Manuela nie powstrzymało to przed dalszym pościgiem.

Nagle, za następnym wzniesieniem, okazało się, że jesteśmy na równej wysokości z białym opłem, za kierownicą którego siedział nie kto inny jak Victoria. Falco odważnie wyprzedził ją i nie zważając na to, czy z naprzeciwka nie nadjedzie inny samochód, zahamował, ustawiając ferrari w poprzek drogi. Podjął się ryzykownego manewru, samochodem zarzuciło, ale perfekcyjnie skontrolował.

- Nie wysiadaj! - krzyknęłam, kiedy mężczyzna otworzył drzwi. Opel zwolnił, prawie zatrzymał się.

- Nie bój się, Victoria nie ucieknie. Jeśli pojedzie dalej i tak uniemożliwimy jej wylot z kraju.

Victoria wypadła z opła i z pięściami rzuciła się na Manuela.

- Oszalałeś?

- Chciałem uczciwie zakończyć tę sprawę.

- Uczciwie?!

Tutaj nastąpił potok hiszpańskich słów. Przez dłuższą chwilę kłócili się w tym melodyjnym języku. Scena ta przypominała moje kłótnie z bratem. W końcu zabrał jej kluczyki i odstawił opła na

pobocze.

Victoria, nie odzywając się do mnie, zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Nie podobała mi się taka konstelacja, nie czułam się pewnie, wręcz odwrotnie - osaczona we własnym samochodzie.

Wbrew obawom, bezpiecznie dotoczyliśmy się do pałacu. Już w parku widać było błyski policyjnych syren. Granatowy ford mondeo z charakterystycznym białym paskiem zaparkował na podjeździe, niemalże w drzwiach.

- Nie uprowadzili cię? - Jacek najwyraźniej był zdziwiony widząc mnie z Manuelem i Victorią, zmierzających do sieni.

- Akcja jest pod kontrolą.

- Chodźmy do restauracji. Wszyscy już tam czekają, nawet goście hotelowi. I przerażony stryj. Kiedy wyszliśmy zza ściany, okazało się, że waszej trójki nigdzie nie ma. Momentalnie stryja dopadły złe przecucia. Znając ciebie, był pewien, że wpadłaś w kolejne tarapaty.

- Wezwał policję?

- Recepcjonistka zadzwoniła dużo wcześniej, jak usłyszała, że ktoś buszuje po pałacu.

- I dopiero teraz przyjechali?

- Bez komentarza - rzucił krótko.

Miejsca w restauracji było niewiele, toteż kiedy zebrali się w niej gapie, panował spory tłok, ze stryjem w punkcie centralnym.

- Zośka, ja kiedyś przez ciebie cięsko zachoruję!

- Co teś stryj opowiada!

Mój wzrok padł na drewniane pudełko leżące na barze. Z dębowego drewna złuszczał się lakier.

- Otwieraj pan to wreszcie! - niecierpliwił się mężczyzna w atlasowym szlafroku.

- Zosiu...

- Czy to właśnie dla tego pudełka ryzykowałam tak wiele?

Odhaczyłam mosiężny zaczep i podniosłam wieko. Zawiasy zaskrzypiały, dając do zrozumienia, że nie podoba im się naruszanie ich spokoju.

Na atramentowym, częściowo spłowiałym aksamicie spoczywał przedmiot przypominający splecione karmazynowe sznurki. Od razu zaczęłam się bać, że plecionki mogą być zetlałe i rozpadną się na proch, zanim zostaną zbadane.

- A gdzie biśuteria? - zapytał jeden z gapiów.

Stryj przeniósł pudełko bliśej źródła światła, nie dotykając jednak czerwonego przedmiotu.

- Ukradli brylanty! - Śachnął się ktoś inny.

- Znowu jakaś kradzieś? - wyrwało się policjantowi.

- Szanowni państwo, mamy przed sobą przedmiot bezcenny, znacznie rzadszy niż najlepszej klasy kolie czy pierścienie z drogocennych kamieni - rzekł Pan Samochodzik

- Królewski wisior - westchnął Manuel.

- Pozwolę sobie wytłumaczyć państwu, Śe odnaleźliśmy inkaską koronę królewską. Inka, czyli władca Inków, nosił czerwony wisior na czole jako oznakę najwyższego dostojęstwa.

- Pan raczy Śartować! - oburzył się męśczyzna w atłasowym szlafroku. - Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak bogatym państwem było inkaskie imperium? Hiszpanie wywieźli stamtąd kilka ton złota, a pan insynuuje, Śe król tamtejszych ziem nosił na czole coś takiego?

128

- Czy pan wie, Śe oskarśa pan o niewiedzę wybitnego historyka sztuki, sławnego w świecie detektywa? - oburzyła się Teresa. Granatowy odcień na jej włosach zaśnił groźnie jak na skrzydłach mrocznego kruka.

- Czy to aby na pewno insygnia królewskie? - powątpiewał Jacek.

- Mośna tak powiedzieć. Oczywiście pełną jasność uzyskamy po zrobieniu pełnego zestawu analiz laboratoryjnych.

- Drodzy państwo, koniec przedstawienia! - wszem i wobec oznajmił policjant.

Stryj zabezpieczył pudło z wisiosem oraz inne rzeczy, które znajdowały się w skrytce. Goście hotelowi niechętnie, ale porozchodzili się do pokoi.

- Pani i pan muszą pojechać z nami - mundurowy zwrócił się do Victorii i Manuela.

- Resztę tu obecnych prosimy o stawienie się jutro na posterunku w celu złośenia zeznań - powiedział drugi policjant.

Wisior nie zrobił wraśenia na przedstawicielach władzy, gdyś nie protestowali, kiedy zajął się nim stryj. Nawet nie sprawdzili jego personaliów, choć nie powinni pozostawiać równie cennych eksponatów w rękach obcych, nawet jeśli ci mówią Śe pracują w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Za Cassidy i Falco oraz policjantami wyszłam na dwór. Znad stawów, częściowo okalających pałac,

dochodził Śabi rehot, wyjątkowo donośny. Niebo zasnęło się chmurami, okolica zachodziła mgłą która skraplała się na liściach drzew i spadała tu i ówdzie symulując deszcz. Mimo to na dworze było parno. Gorąca noc i duŜa wilgotność kojarzyła mi się z dŜunglą.

Victoria wsiadła do radiowozu, natomiast Manuel zamienił kilka słów z policjantem, po czym zbliŜył się do mnie.

- Pięknie wyglądasz w tej czerwonej bluzce i dŜinsach.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Wybacz.

Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami i nawrzeszczeć, Őe mnie oszukał, bo odkąd poznaliśmy się, ciągnął tę nieuczciwą grę. Zamiast tego stałam jak oniemiała i nie mogłam się ruszyć. Przycisnął mnie do siebie stanowczo i pocałował. Nie broniałam się.

- Wracaj do pałacu - powiedział. Instynktownie czułam, Őe nie chciał, Őebym była świadkiem jego poraŜki.

- Idź juŜ - popchnął mnie delikatnie za drzwi, które następnie zatrzasnął. Furkot silnika oznajmił mi, Őe radiowóz odjechał.

Gwałtownie uchyliłam skrzydło wrót i przez szparę precyzyjnie się na dwór. Odgłosy policyjnego samochodu ustały, ale gdzieś na końcu alei, na wysokości pomostu, odbijały się jeszcze pomruki niebieskiego światła.

Raptownie wzdrygnęłam się. Dałam parę susów naprzód i przetarłam oczy, nie dowierzając.

Mogłabym przysiąc, Őe dostrzegłam zarys człowieka galopującego na koniu. Postać szybko rozmyła się jednak w gęstniejącej mgle.

W wejściu do holu zderzyłam się z bratem.

- Słyszałaś?

Był podekscytowany.

- Nie.

- Nie słyszałaś rŜenia konia? - zapytał.

- Nie.

Emocje ścisnęły mi gardło. Przeczekałam chwilę, zanim mogłam mówić.

- Nie słyszałam rŜenia, ale widziałam postać na koniu. Myślałam, Őe to omamy.

- Janek Walończyk - wyszeptaliśmy razem, ściskając się tak serdecznie, jak tylko rodzeństwo to potrafi.

ZAKOŃCZENIE

Po nocnych perypetiach marzyliśmy głównie o śnie. Spać, spać i jeszcze raz spać! Każdy organizm ma granicę wytrzymałości, swoją przekroczyłam wielokrotnie poprzedniego dnia.

Czasem, kiedy okoliczności tego wymagają, poznajemy siebie z zupełnie innej strony, znajdujemy wewnątrz naszych ciał siłę, jakiej na co dzień nie bylibyśmy w stanie wykrzesać za śladne skarby.

Formalności na policji załatwiliśmy, kiedy wszyscy doszli do siebie. Trwało to całe przedpołudnie i kosztowało Teresę dwie paczki kawy, ponieważ tylko smolista ciecz była w stanie przeprowadzić na nas skuteczną reanimację. Pojechaliśmy na posterunek całą gromadą dwoma samochodami.

Przesłuchania skończyły się wieczorem, dlatego postanowiliśmy przedłużyć pobyt w Krobielowicach do następnego dnia i wyruszyć do Warszawy z samego rana. Należało nam się zasłużony odpoczynek. Nie należałam na wyjazd widząc, że stryj Tomasz w domu na wsi czuje się jak ryba w wodzie. Stres ustąpił i stryj mógł prawdziwie odetchnąć. Długo spacerował po sadzie, doglądając drzew. Nazbierał też wiadro jesiennej odmiany jabłek, jeszcze zielonkawych, twierdząc, że dojrzeją w mieście. Również poszwendłam się po ogrodzie, zjadłam co ładniejsze mirabelki zebrane z trawy i wróciłam do domu.

- Dokończymy malowanie przedpokoju, a one niech coś przygotują - powiedział Jacek, mrugając do Maksa porozumiewawczo.

- Tylko nie wpuszczajcie do kuchni Teresy! - dodał ten drugi i wzięli się do mieszania farby.

W lodówce był spory zapas pomidorów, więc postanowiłyśmy przyrządzić sałatkę z czosnkiem i ze śmietaną. Zmagałam się z upartą skórką czosnku, kiedy w domu rozległy się spazmy bliźniaczek.

Rzuciłam scyzoryk na blat i wbiegłam na górę. Uspokoiliam się dopiero na widok Klary pakującej ubrania dzieci.

- Ale miał być ślub! - tupnęła Ola.

- Mamy już welony! - wtórowała jej Tola.

- Jakie welony? - zdziwiła się Klara.

- Z firanek ciotki Adeli. Teresa znalazła je specjalnie dla nas - powiedziała Ola.

- Będzie ślub? - zapytała Tola.

- Jaki ślub?

- Oj, mam! Nasz z Maksem i Jackiem.

- Chłopcy o tym wiedzą? - Klara zawahała się.

- Jasne, Źe wiedzą! - siostry odparły chóralnie.

Zegar przy schodach wybił ósmą.

- Przykro mi, ale nie mamy czasu. Zbierajcie zabawki. Za kwadrans chcę was widzieć w aucie.

Wracając do kuchni usłyszałam rozmowę Jacka z Maksem. Cieszyli się z wyjazdu

„młodych”, jak nazwali bliźniaczki, a raczej z tego, Źe ominęła ich zabawa w ceremonię ślubną.

Rozsiąpił się przelotny kapuśniaczek, nie moŜna było zjeść kolacji na dworze, więc z Teresą i Dorką zaaranŜowałyśmy stół w kuchni. Przykryłyśmy go lnianym obrusem, na którym stanął talerz ze świecami, bo w domu nie było Źadnego świecznika. Obok znalazł się chleb na desce do krojenia i sałatka przyrządzona w największym garnku, Źeby dla nikogo nie zabrakło. UsmaŜyłyśmy teŜ

naleśniki z dŜemem na deser.

Zapach czosnku w mgnieniu oka zwabił wszystkich do kuchni. Rozlałyśmy pomidorową papayę do misek przy pomocy chochelki. Niebawem pomieszczenie wypełnił gwar rozmów 131

toczących się w rytm wybijany łyŜkami o ścianki naczyń.

- Poddasze wciąż nie pomalowane... - westchnęła Teresa i natychmiast zaśmiała się. - Nigdy wcześniej nie przeŜyłam podobnej historii. Koniecznie muszę to zrelacjonować znajomej dziennikarce.

- Niech pisze, co chce, byle nazwisk nie poprzekrecała - mlasnął zadowolony Maks.

Niespodziewanie o czymś sobie przypomniałam.

- Gdzie jest moja dzida?

- Co takiego? - Olaf wytrzeszczył oczy.

- Dzida? - nie dowierzała Dorka.

- Zośka dostała ją w ramach wymiany podarków. Indianie uznali, Źe jest wodzem plemienia, zresztą do tej pory nie wiemy dlaczego? - Maks podrapał się za uchem. - Dzida została w buszu.

Nikt nie miał głowy zajmować się patykami, nawet najbardziej odjazdowym, kiedy chodziło o twoje Źycie!

Smętnie pokiwałam głową. śalowałam, Œe cenna pamiątka nie przyleciała z nami do Polski.

Była jedyna w swoim rodzaju...

- Myślę, Œe znam rozwiązanie zagadki związanej z moim przywództwem - powiedziałam, wrywając się z zadumy. - Austriackie kryształy. Błyszczały w słońcu i w świetle ogniska. Indianie musieli uznać je za...

- ...za przedmioty szatana! - dokończył za mnie Jacek.

- Oni nie znają szatana - stwierdziłam.

- Nie w sensie dosłownym - powiedział stryj. - Przynajmniej jeśli mowa o Indianach nie mających kontaktu z cywilizacją.

- Zastanawiam się, czy ciotka Adela wiedziała, Œe lampa jest cenna, skoro tak bardzo zależało jej na niej - Teresa zmieniła temat.

- Tego raczej się nie dowiemy. Poza tym, gdyby znała wartość lamp, tej drugiej nie trzymałaby w szopie - odparł Pan Samochodzik.

- Wie stryj, co słyhać u pani Sabiny? - zapytałam.

- Ciągłe przebywa w Meksyku. Przygotowuje wystawę. Martwiła się o was, ale uspokoiłem ją, Œe wszystko w porządku.

- Skąd Manuel dowiedział się o lampach? - zainteresowała się Dorka.

- Trudno powiedzieć. Wymyśliłem następującą hipotezę - stryj smarował chleb. - W trakcie remontu pałacu, Falco dostrzegł otwory, do których dopasowaliście sztabki. Później moŒe trafił na rozbitą lampę, a moŒe kilka lamp znalazł w podziemiach pałacu? W jakiś sposób odkrył, Œe sztabki są kluczem. Ale kilku sztabek mu brakowało. Zapewne pomyślał wówczas, Œe kiedy Polacy tuŒ po wojnie sprowadzili się do Krobielowic, a pałac był opuszczony, ludzie mogli część wyposażenia budynku porozkradać. Mogli zabrać takŒe lampy. Postanowił szukać ich po okolicznych domach, zatrudnił oprychów, którzy dokonali licznych włamań.

- UwaŒam, Œe to mało prawdopodobne rozwiązanie - stwierdził Jacek. - Manuel to inteligentny człowiek. Nie mógł zakładać, Œe przedwojenne lampy przetrwały wszystkie moŒliwe zawieruchy dziejów i czekają gdzieś na komodach i w witrynach, aŒ przyjdzie po nie Falco i wydobydzie sztabki.

- Częściowo masz rację. Równocześnie z nielegalnym poszukiwaniem lamp we wsi, Manuel monitorował wszystkie moŒliwe aukcje, wysyłał ludzi na pchle targi i do antykwariatów. Chodziło mu o to, Œeby zebrać moŒliwie największą ilość lamp i wydobyć z nich sztabki. Nawet gdyby brakowało dwóch lub trzech, mógłby próbować wydedukować, w jaki sposób działają na 132 mechanizm otwierający skrytkę.

- Nie mógł po prostu rozwalić ściany, tak jak to w rezultacie zrobiliśmy?
- Równie dobrze mógłby burzyć każdą ścianę po kolei. Nie wiedział ani jak wygląda skrytka, ani gdzie się znajduje.
- Skąd więc pewność, że w ogóle istnieje?
- Manuel sądził, że trafił na ślad napoleońskich kosztowności, które feldmarszałek zdobył zaraz po bitwie pod Waterloo, ale nie ujawnił tego.
- Coś mi się tu nie zgadza. Czy stryj nie uważa, że odnalezienie królewskiego wisiora Inków przez historyka zafascynowanego tematyką kultur prekolumbijskich, nie może być przypadkowe?
- Poza tym - weszłam bratu w słowo - wciąż nie rozumiem, skąd w pałacu feldmarszałka wziął się tego rodzaju skarb. Nie zdziwiłabym się, widząc brylanty, rubiny czy złoto. Ale inkaski wisior?
- Wisior przetrwał, bo nikt nie przypuszczał, że ma tak ogromne znaczenie. Posunę się do stwierdzenia, że ludzie nie mieli zielonego pojęcia, z czym mają do czynienia.
- No dobrze, ale skąd wisior Inki w Krobielowicach? - dociekał Maks.
- Do sekularyzacji majątek w Krobielowicach należał do władz kościelnych, znajdował się tu klasztor. W pewnym okresie, kiedy z Nowego Świata napływały różne wyroby, ludzie pragnęli posiadać coś z obcego kontynentu, co należało do Azteków, Majów czy Inków. Można rzec, że zapanowała moda na tego typu akcesoria, podobnie jak w średniowieczu czymś właściwym było posiadanie relikwii. Księża również mieli swój udział w podboju Nowego Świata, zajmowali się chrystianizacją na szeroką skalę. Niewykluczone, że któryś z nich przywiózł z Peru wisior, który następnie trafił do opata krobielowickiego klasztoru.
- I ten opat ukrył wisior w schowku? - zapytała Dorka.
- Całkiem możliwe. Myślę, że kiedy feldmarszałek otrzymał pałac, wisior już tam leżał, ale nie zwrócił na niego uwagi.
- A karafinki? - następny temat podrzucił Olaf.
- Prawdopodobnie feldmarszałek odkrył schowek i postanowił umieścić tam swe kosztowności. Chciał również zabezpieczyć sztabki, żeby nie dostały się w niepowołane ręce. W tym celu własnoręcznie przerobił karafinki na lampy. Karafinkom obciął szyjki, by do środka włożyć sztabki. Do obciętych karafinek zlecił dorobić obejmy na knot i klosze, tak że z buteleczek powstały lampki.
- Dlaczego nie zamówił w hucie gotowych lamp? - zapytała Teresa.
- Pewnie dlatego, że wymiary karafinek odpowiadały idealnie do schowania sztabek - stryj, jak

zwykle, wykazywał się ogromną cierpliwością. - Zastanawiam się jednak, skąd ksiąŜę wziął aŜ

tyle jednakowych karafinek i to pochodzących z polskiej huty? Choć jeŝli weźmiemy pod uwagę jego Ŝyciorys, to Ŝe przestawał z Polakami, biesiadował z nimi niejednokrotnie, moŜna przypuszczać, Ŝe dostał karafinki od jakiegoŝ znajomego.

- JeŜeli feldmarszałek ukrył sztabki, będące kluczem do schowka, dlaczego w sekretnym pomieszczeniu nie było skarbów? - zapytał Jacek.

- Kosztownoŝci feldmarszałka zostały po jego ŝmierci spienięŜone przez rodzinę. KsiąŜę być moŜe zaplanował ukrycie ich w schowku, ale nie zdąŜył. Przypominam, Ŝe zmarł w tragicznych okolicznoŝciach, po upadku z konia.

- Dalej nie wyjaŝnione pozostaje pytanie: jak to moŜliwe, Ŝeby pasjonat historii prekolumbijskiego ŝwiata, szukając skarbu feldmarszałka, przez przypadek odkrył inkaski wisior? -

draŜył Jacek.

133

- Moim zdaniem, to nie moŜe być przypadek - powiedziałem.

- I ŝlusznie. Nie wykluczam co prawda, Ŝe Manuel połączył poszukiwanie wisiora i skarbu feldmarszałka, niemniej jednak podobne przypadki się nie zdarzają. Falco jako znakomity naukowiec miał dostę do przeróŜnych dokumentów na całym ŝwiecie. Zapewne przeglądając jakieŝ archiwum, moŜe na zachodzie Europy, przypuszczalnie hiszpańskie, napotkał informację o tym, Ŝe inkaski wisior trafił do dzisiejszych Krobielowic.

Naleŝniki cieszyły się duŜym powodzeniem, dlatego Dorka postanowiła dosmaŜyc jeszcze jednã porcję. Olaf zgłosił się na asystenta szefa kuchni. Mieliŝmy niezły ubaw obserwując tę dwójkę. Pomagali sobie, przeszkadzając równocześnie.

- Teoretycznie wyjaŝniliŝmy zagadkę zielonych lamp. Mimo to ciãgle mam wraŜenie, Ŝe kompletując układankę zgubiliŝmy jakieŝ puzzla. Gdy byłem w posiadłoŝci Manuela, zauwaŜyłem, Ŝe Victoria sprawnie porusza się po domu, zna rozkład pomieszczeń...

- Siostrzyczko, ty naprawdę nie domyŝlasz się, w czym tkwi sedno sprawy?

- Oni byli małŜeństwem - powiedział stryj ze stoickim spokojem.

- Wspierają się i walczą ze sobã - stwierdził Jacek. - Kochają się i nienawidzą.

- Byli? - głos ugrzął mi w gardle.

Jacek zaśmiał się.

- Stara miłość nie rdzewieje!

- Przejdźmy się - szepnął mi Maks.

Nie miałam wielkiej ochoty na spacer, zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że rozmowa z Maksem mnie nie ominie. Najpierw zmieniłam ubranie, wkładając spodnie, które nosiłam w dżungli i obszerną bluzę chroniącą przed ukąszeniami komarów.

Mława ustała. Nad lasem, który teraz wyglądał jak czarna plama, w zachmurzonym niebie zrobiło się rozdarcie. Na sad padały z niego rdzawe macki zachodzącego słońca.

- Którędy? - zapytałam.

- Proponuję drogę nad skrajem lasu. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

- O czym chcesz rozmawiać? - udawałam, że nie znam powodu, dla którego Maks zaproponował spacer.

- O nas.

- O nas? - zachowywałam się, jakby mnie to zdziwiło.

- No bo... Wiesz... Kiedy tu przyjechaliśmy, wydawało mi się, że my... To znaczy, że między nami... Sama wiesz, o co mi chodzi.

Milczałam.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Słucham cię.

- Sądziłem, że możemy być kimś więcej niż zwykłymi znajomymi - wyrzucił z siebie.

- Byłam przekonana, że przyjaźnimy się - powiedziałam nieco wykrętnie.

- Zakochałaś się w nim?

- W kim?

- Daj spokój, Zośka! Nie rozmawiajmy ze sobą jak dzieci. Zakochałaś się w Manuelu Falco.

- Ty to powiedziałaś.

- Ale nie zaprzeczysz?

Zatrzymał się przede mną i złapał za ramiona.

- Gdybyś tylko chciała, moglibyśmy o tym zapomnieć.

Maks trzymał moje ramiona w uścisku. Fakt, że nie próbowałam umknąć, ale jednak 134

poczułam się nieswojo. WłóŚyłam ręce do kieszeni.

- Nie Śartuj.

- W tej chwili zupełnie brak mi poczucia humoru.

WciąŚ staliŚmy twarzą w twarz. Tymczasem w kieszeni wyszperałam nieznaną przedmiot.

Zacisnęłam na nim rękę. Był zimny, a w stosunku do wielkości - cięŚki. Nie przypomiŃałam sobie, ŚebyŃm coŚ podobnego kiedykolwiek wkładała do kieszeni. Więcej! Nigdy takiego przedmiotu nie posiadałam!

Wspięłam się na palce, objęłam przyjaciela i pocałowałam go w policzek, wykorzystując moment, by zerknąć na to, co trzymałam w ręce. Zrobiło mi się gorąco, ale nie z powodu towarzystwa Maksa.

- Bądźmy przyjaciółmi - powiedziałam.

- Dokąd idziesz?

- Muszę skonsultować się ze stryjem.

- Tak nagle? - zmarszczył brwi. - Jeszcze przed chwilą...

- Stryj, Jacek i ja Śyjemy w kalejdoskopie przygód. Nasze Śycie potrafi zmienić bieg o sto osiemdziesiąt stopni w parę sekund.

- Nie nadaŚsam za tobą. Chcesz powiedzieć, Śe na środku łąki trafiłaś na trop nowej przygody?

- Nowa przygoda? Czemu nie! I nie drwij, bo doświadczenie mi mówi, Śe mogłaby zacząć się choćby na łące. Najpierw jednak trzeba zamknąć sprawę inkaską.

- Byłem pewien, Śe juŚ się zakończyła.

- TeŚ tak sądziłam jeszcze przed chwilą - stwierdziłam i wyrwałam się z uścisku kolegi.

Ile tchu pognałam do domu. Pod błahym pretekstem odciągnęłam stryja od towarzystwa.

Powędrowaliśmy wzdluŚ szosy biegnącej przez wieś.

- Stało się coŚ? - zapytał.

- Nie wiem.

- Jak to: nie wiesz? Zdaje się, Śe chcesz mi o czymś powiedzieć?

- Właśnie tak, stryju. W przeciwnym wypadku sumienie nie da mi spokoju.

Podaliśmy stryjowi przedmiot znaleziony w kieszeni. Mógł przyjrzeć się mu dopiero wtedy, kiedy

znaleźliśmy się w strumieniu światła padającego z ulicznej latarni.

- Skąd to masz? - ton stryja stał się oschły.

- Znalazłam w spodniach, które nosiłam w dŚungli.

- Inkaską statuetkę?

Zamilkłam. Usiadłam w trawie na poboczu, nie zwaŜajac na to, Őe jest mokra. Stryj przycupnął obok.

- Czy to własność Manuela albo Victorii?

- Raczej nie.

- Raczej? Zosieńko - dotknął mojego podbródka, Őeby spojrzeć mu prosto w oczy - jesteś nieswoja, czuję to, odkąd wróciliście z Peru. MoŜesz powiedzieć mi o wszystkim, nawet jeśli Falco lub Cassidy namówili cię do czegoś złego.

- To nic z tych rzeczy, stryju.

- Więc skąd masz posąŜek bóstwa wyrabiany tradycyjną metodą dokładnie w ten sam sposób, w jaki robili to Inkowie, zanim w Peru pojawili się konkwistadorzy? A moŜe to tania podróbka, pełno takich na tamtejszych straganach.

Wypolerowane złoto odbijało zimną poświatę księŜyca, który pokazał się na czystym fragmencie nieba. Figurka przedstawiała stojącego człowieka o proporcjach odpowiednich dla 135

małego dziecka. DuŜa głowa dominowała nad resztą ciała. Na twarzy odznaczał się szeroki, spłaszczony nos i olbrzymie oczy okolone wzorem imitującym rzęsy. W uszach dyndały kolczyki zrobione z okrągłych blaszek.

- Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, posąŜek jest oryginalny.

- Co tak naprawdę wydarzyło się w Peru? - zmruŜył oczy.

- W dŚungli stało się coś niewiarygodnego. Kiedy wsiadłam na pokład samolotu do Europy, doszłam do wniosku, Őe to wszystko to był sen na jawie, projekcja marzeń, która odtworzyła się w moim umyśle, kiedy pokasana przez węŜa miałam halucynacje. Teraz trzymam w ręce dowód, Őe niczego sobie nie wymyśliłam...

- Jaśniej, proszę!

- Dostałam tę figurkę od Indian, którzy uratowali mi Őycie. Zabrali mnie z obozowiska, widząc, Őe moi współtowarzysze nie są w stanie mi pomóc i zajęli się mną na swój własny sposób.

Jestem pewna, Őe gdyby nie oni, nie przeŜyłabym zatrucia jadem. PosąŜek musieli niepostrzeŜenie włoŜyc mi do kieszeni... - zawahałam się. - Stryju, czytałam fragmenty zaznaczone w książce...

- Plemię, które opiekowało się tobą Zośka, czy to plemię było podobne do innych plemion amazońskich, jakie czasem widuje się w telewizji?

Wbiłam wzrok w księżyc. Ten sam księżyc oświecał złotą osadę w dżungli. W końcu nie wytrzymałam napięcia:

- Stryju, byłam tam! Byłam w... - ucięłam, bo Pan Samochodzik kładąc palec na ustach, dał mi do zrozumienia, że bym zamilczała.

- Są słowa, które nigdy nie powinny paść.